

WĘDRÓWKI

LESTER K. B.

FANTASTYCZNE I HISTORYCZNE.

p r z e z

J. J. KRASZEWSKIEGO.

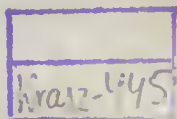
◆◆◆◆◆

T O M I.

W. WELLEN.

W DRUKARNI S. BLUMOWICZA.

1838.



Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. —
Wilno 1836 d. 30 maja.

Cenzor Leon Borowski.





1.

CHARAKTERYSTYKA PODAŃ GMINNYCH.

Są pewne charaktery ludzi, które częstém spotykaniem stały się wszystkim znajome i którym nawet język nadał osobne nazwiska, takim jest Don Kwichot hiszpański, Jacques Bonhomme i Pan Prud'homme i Pan Tranquille francuzcy, takim jest John Bull angielski (1), a u nas Pan Zabłocki, Hawryłło z Połocka, Filip z konopi i t. d. — Każda z tych osób mająca wyobrażać panujący jeden z narodowych charakterów, weszła w przysłowie i zwykle przystosowana bywa do żyjącej swojej kopij.

(1) John Bull, uosobiony Anglik dzisiaj. dawniej inną zupełnie myśl nasuwać musiał, bo w średnich wiekach jeden John Bull, był sławnym reformatorem.

Trzeba więc wiedzieć co to są za figury, aby je wszędzie rozpoznać i zaleterminować, trzeba znać wszystkie ich przymioty, nałogi, słowem cały ich charakter moralny i fizyczny.

Zacznijmy od najstarszego — Filipa z konopi. O niego kłóca się filologowie — jedni powiadają, że się nie w porę wyrwał z konopi, drudzy, że miał wieś konopie i był sobie na sejmie czy sejmiku, gdzie się także wyrwał nie stosownie.

Ale nam to rzecz obojętna — dość, że się wyrwał, bo to stanowi wszystko. — Z resztą znamy pana Filipa i całą jego familją i wiemy czego się trzymać.

Dawniej Pan Filip nosił się po polsku z tatarską, miał długie wąsy konopiaste, rzemieniny pas, wygoloną głowę, był chudy, wysoki, bibuła nie pośledni i gawędziarz nicumiarkowany.

P. Filip lubił gości, lubił piękne kobiety, którym bardzo niezgrabnie prawił grzeczności — lubił wino, które pijąc zawsze na kontusz rozlewał, lubił kaszę jaglaną, którą sobie gębę parzył, lubił polowanie na którym zawsze był głodny, zmokły i zziębły, bo się niewczas wybierał, lubił wszystko, a do niczego wziąć się nie umiał.

Kiedy był młody, sądzono z wielomówności jego, że będzie wielkim mówcą, ale ta nadzieja prędko zgasła, bo wezwany na oratora, wieszował raz pannie młodej, której mąż był bez nosa i uszu, że sobie spokojnego temperamentu obrała męża, drugi raz na pogrzebie, chwalił ubogiego Kasztelanica, że był wzorem bogaczów.

Probowali go ojcowie Jezuici, ale jak zobaczyli, że P. Filip zawsze o tém mówi, o czém by milczeć powinien, dali mu pokój.

Ożenił się więc, i z wielkiém jego podziwieniem, żona w dzień ślubu powiła mu syna. — Potém pomnożyła się jeszcze jego familija, i zaczął mieć dla wieku znaczenie pewne między sąsiadami.

Wprędce jednak wszyscy go odstąpili, bo się niewiedzieć jakim sposobem, bez najmniejszej złej chęci, śmiertelnie zadarł z Wojewodą. — Został więc w domu i kontentując kilką łaskawszemi przyjaciółmi, siedział w konopiach, zatrudniony swemi dziećmi.

Synów jego było dwunastu — i dla tego to dzisiaj, tak się familija ta nadzwyczajnie rozrosła, że już i drzewa jencnealogicznego zrobić niepodobna.

Umarł stary P. Filip, w sam dzień, kiedy na niego spadła ogromna sukcesyja.

Dzieci odziedziczyły, z matemi odmianami stosownemi do ducha czasu, cały jego charakter i wszystkie nieszczęścia; ale niemyślcie żeby odziedziczyły ów wielki spadły na nich majątek — rozwinął się proces, dziedzice drugiej linii zapłacili, Pani Filipowa nie miała czém poprzeć sprawy i nic niedostała. Przysłali jój tylko adwersarze stare krzesło, stary zegarek w szyldkretowej kopercie i starego konia niby to wierzchowca — na pamiątkę po stryju.

Tym sposobem liczna familija Filipów bez majątku siedziała długo w konopiach, a potem rozbiegła się po kraju, po różnych stacjach i kondycjach.

Znałem wielu Filipów dzisiejszych, wszyscy choć we frakach i bez wąsów i bez wygolonej łysiny, tenże sam mają charakter, co ich protoplasta.

Dosyć trzpiotowaci i ciekawi, pojmują rzeczy prędko, ale w głowie ich liczne wiadomości, bez klasyfikacyi leżą jak groch z kapustą. W interessach nieumiejętni i nieśmieli, nieumieją dać sobie rady, chociaż bardzo dobrze wiedzą co potrzeba robić. Radzą wszystkim dobrze, a sobie najgorzej i niezawodną jest rzeczą, że długo wyrozumiawszy, jak sobie postąpić potrzeba, czy to skutkiem żywo-

ści, czy braku zastanowienia, czy szczególniejszej organizacyi, robią przeciwnie jak zrobić mieli.

Nieszczęście ściga ich we wszystkich stanach, we wszystkich położeniach życia w każdym wieku. Panny Filipówny, choć ładne, pełne życia i wesołości, zostają zawsze pannami, a wielu z nich zdarzały się gorsze jeszcze od tego przypadki, o których ze smutku i żalu mówić nawet nie chcę.

Jeżeli chcesz tylko poznać członka tej rodziny, uważaj bacznie, na następne znaki.

Kto mówi o weselu przy pannie opuszczonej od męszczyzn i zwiedzionej — To Pan Filip.

Kto przy Doktorze, czyta komedje Moljera — To Pan Filip.

Kto chwali artystę jakiego, przed drugim popisującym się w tymże samym przedmiocie, na przykład Paganiniego przed Lipińskim, Pannę Wołków przed Meyerową — To Pan Filip.

Kto wlatuje z wesołą twarzą między smutnych — To Pan Filip.

Kto się ubiera jasno na pogrzeb, a czarno na szlub — To Pan Filip.

Kto się pyta matki — Coż to za brzydka

pauna?— To moja córka— odpowiadają mn—
I to Pan Filip.

Kto choruje na swoim weselu, serdecznego śmiechu dostaje z rozpacz i oślepie zostawszy malarzem, ogłuchnie będąc muzykiem, straci rękę kędąc bióralistą— To nieszczęśliwy Filip jakiś — niezawodnie!

Kto— i t. d. i t. d. i t. d.

Z tych przykładów dość jasno poznać można Panów Filipów, dodam tylko, że każdy metr tańców kulawy i professor filozofii pijak, jest także niezawodnie, tego samego pochodzenia.

Bliziućki kuzyn Filipów z konopi, jest sławny ów navigator Pan Zabłocki, którego uboga familja błąka się po całym kraju.

Ci którzy pochodzą od niego, mają daleko mniej zdolności od Filipów, mniej jeszcze majątku, a więcej zarozumienia.

Najśmieszniejsze biorą imiona — Tertuljanów, Agapitów, Fulgencjuszów, Apollinów i t. d. Wszelkiego rodzaju śmieszności i głupstwo należą do nich wyłączenie.

Familja ta uboga, trudni się tysiącznemi spekulacjami, na których naturalnie wychodzi jak ów prapradziad wyszedł na sławnym swoim mydle.

Jeden z nich skupuje zboże w największy głód i chowa go spodziewając się jeszcze więk-

sze go głodu i drożyzny, aż póki mu myszy i stęchlizna niedadzą do zrozumienia, że czas przedawać i tracić.

Niepoprawny stratą na zbożu nasz Tyburcy, kupuje obligi wszystkich bankrutów, potem spekuluje fasolą i grochem, siemieniem, nożkami baraniami, a nakoniec zazwyczaj wraca do instynktowego handlu świec i mydła, który mu się udaje, tak jak reszta.

Umiera zostawując dzieci jak maku, a pieńędzy jak na próbkę.

W charakterze jego panujące jest głupstwo i zarozumiałość, niesposobność do niczego, a chęci do wszystkiego. — Projekt handlu lodem między Chinami i Ameryką, o któryrn świeżo (przeszłego roku) czytaliśmy, jest niezawodnie konceptem jednego z téj familij.

Pan Hawryłto z Połocka daleki kuzyn dwóch poprzednich, najgorzej udarowany od natury bogaty, a głupi i kontent ze swojego głupstwa, jest ostatnim szczeblem, téj troi-stój drabiny. Szlachcic to od dziadów i pradziadów.

Chodzi z wąsami, w kapocie, gada trochę z chłopską, woli wódkę od miodu, a miód od wina, a piwo od wody, nie umie czytać i nie dba o nic. Szanuje księdza plebana, przypomina dawne czasy, płacze i pijany zasypia. F'a-

milja jego dzisiaj przezwała się Hreczkosiejami, ale jest jednak tą samą w prostej linii.

Gruba niewiedomość i kalibrowe do wieku głupstwo odznacza Hawryłów, w mieście idąc przez ulicę śpiewają, jedzą bułki i pokazują palcami, na wsi chodzą w płocienną lub bajowej kapocie, kiedy im co mówią o książkach trzęsą głową — Szczególniejszym jednak i niepojętym fenomenem dzieciom swoim uczyć się każą i radzi są, żeby niebyły zupełnie głupiuteńkie — ale starszy Pan Bóg, jak Pan Hawryło.

Rysy ich twarzy, bardzo przypominają niektóre pijane twarze Teniersa.

Z resztą wyznać potrzeba, że wszyscy są bardzo uczciwi ludzie, nabożni, rzetelni, a nadewszystko wesołego humoru.

Do tego zbioru gminnych obrazków, dodać należy pannę, którą Flondrą lub flonderką nazywają. — Niedaj Boże znać jej nikomu! kochać — Broń Boże — ożenić się — za wszystkie skarby świata. Pauna Flondra, umywa się raz w tydzień, nosi suknię dłuższą o ćwierć łokcia od siebie i zbloconą, trzewiki nowe a przydeptane, pończochy białe, ale powalane i całe w obwarzanki — Nieczesze się chyba na niedzielę, je pieczone palcami, uciera nos serwetą, nosi gruszki w chustce od nosa. gry-

zie orzechy i daje kochankowi do zjedzenia, pluje na sam środek pokoju, mówi powoli i przeciągając, ziewa szeroko, czyta brudne tylko (to jest odcytane) książki i czeka męża do sześćdziesięciu lat życia, przeglądając się w zapstrzonym od much lustrze.

Ma 50,000 posagu — rzadko mniej.



2.

WIECZERZA CAGLIOSTRA.

*Scipione*

— Chi é mai l'audace,
Che turba il mio riposo?

— Io son

— Son io!

— Oh Dei!

P. Metastasio.

I.

Czy wiecie kto to był Cagliostro?
Jedni wam powiedzą, był to kuglarz—
Drudzy nazwą go szarlatanem,
Inni wielkim czarnoksiężnikiem,
Inni niepospolitym łotrem,
Inni niezłym rysownikiem—
Jedni będą go nazywać Józefem Balsamo,
Drudzy Hrabią Cagliostro,

Trzeci synem jakiegoś Sułtana,
 Albo półkownikiem angielskim,
 Albo kawalerem jakimś francuzkim,
 Albo Hollendrem,
 Albo Włochem i Sycylijczykiem—

Zapytacie się co robił Cagliostro, odpowiedzą wam ze wszystkich stron:

—Rysował piórem obrazki dla Kardynałów,
 —Wylewał bronzowe figurki na StradePellegrini,
 —Woził swoją żonę na sprzedaż,
 —Był we Francyi, Niemczech, Rossyi, Turcyi, Anglii, w Grecyi i Bóg wie gdzie, i Bóg wie po co.

—Odgadywał hieroglify piramid,
 —Leczył chorych i wskrzeszał umarłych,
 —Robił złoto i kamień filozoficzny,
 —Kradł djamenty od Anglików,
 —Pokazywał sztuki, od najmniejszych do największych—

—Miał wielką sławę i umarł w Castel S. Angelo.

—Żona go wydała, przyjaciele odstąpili, narobił wiele szumu za życia i umarł cicho jak raca, która pękłszy w powietrzu, spada na ziemię i rozsypuje się w proch— w nic— i zostawuje pamięć póty tylko, póki drugiej nie puszcza.

Ale te wszystkie wiadomości, nie są jeszcze dostateczne, do poznania dokładnego człowieka, który razem z Hrabią Saint-Germain, starał się w końcu tego szalonego XVIII wieku, przypomnieć dawne czasy Alberta, Nostradamusa, i innych pół czarnoksiężników, pół oszukańców.

Józef Balsamo urodził się podobno w Parmie, a wychował w Rzymie, młodość jego wrząca i niespokojna, wodziła go w różne strony, w różne zatrudnienia, zaczął od robienia rysunków dla jakiegoś Kardynała, ale powiadają, że i w tém już oszukiwał, napuszczając sztychy tuszem, aby uchodziły za roboty ręczne i drożej przedane być mogły.— To oskarżenie zdaje się być fizycznie niepodobne do prawdy, raz że sztychu napuścić tuszem do niepoznania, niemożna, drugi raz kupujący amator, jako amator poznać by się musiał na tém, na czém lada kto poznać się potrafi.

Potém ożenił się Józef Balsamo, z Lorenzą Feliciani, córką bronzownika mieszkającego na Strada Pellegrini w Rzymie. Mógłbym nawet powiedzieć z historyczną pewnością, w jakim kościele szlub brali, ale zdaje mi się, że się każdy bez tój wiadomości obejdzie.

Odtąd zaczęły się wędrówki Cagliostro, po

całym świecie, w zupełnie niewiadomym celu, professją jego była alchemja, czarnoksięstwo, leczenie niewyleczonych i wszystko co się zdaje niepodobnem do zrobienia, on robić ofiarował się. Należał także jako głowa, do wielu tajemniczo-szalonych stowarzyszeń rozsianych po Europie.

Długoby było opisywać jego podróże;— coraz sławniejszy i pewniejszy siebie Balsamo, przezwiał się Hrabią Cagliostro i dobrał jeszcze wedle potrzeby pół tuzina innych nazwisk na odmianę.

A sława jego rosła, prawiono dziwy o jego tajemnicach magicznych i kabalistycznej umiejętności, znaleźli się niedowiarkowie, nieprzyjacie, rozpoczęła się wojna piśmienna i tu Cagliostro ogłosił pochodzenie swoje wschodnie i wychowanie w Afryce i odkrycia na piramidach.

W Anglii oskarżony o kradzież djamentów, wspólnie z żoną, uciekł do Paryża i złąd się bronił, ale ówczesne pisma perjodyczne francuzkie wzięły stronę anglików i w jednym z nich pokazały się opisy scen obrzydliwie rozpustnych i szkaradnych, które miały się dziać w akademii Cagliostrowej, założonej dla kobiet.— Szkoła ta była obrzydliwem urzeczywiscze-

niem, marzeń grubego epikureizmu i zwierzęcego stanu natury.

Zyskiwał najwięcej na Alchemii— współczesne pamiętniki dowodzą, że był nawet wzięty od osób najwyższej arystokracji francuskiej— w nagrodę niebrał złota tylko drogic kamienie.

Powiadają że potem Robespierre starszy miał z nim jakieś tajemnicze narady i Cagliostro w czasie terroryzmu przebywał choć nie długo w Paryżu.

Wyczerpując wszystkie sposoby z bogacenia się i tracąc zawsze na wszelkiego rodzaju rozpustę, to co zebrał dając lekcje robienia złota; nadto stawszy się znajomym, aby mógł kogo oszukać, Cagliostro wrócił nareście z odmiennem nazwiskiem do Rzymu, w którym bał się prześladowania, i spodziewał się jeszcze zysków. Żona, którą woził zawsze z sobą, i o którą nie a nie nie był zazdrosny, powróciła z nim także. Wyjechała piękną i wesolą, wróciła starą i zgryzioną, na tę samą Strada Pellegrini.

II.

Niewiem czy długim mamieniem ludzi, czy szczególnym jakim wypadkiem, nie wiele przekonawszy o prawdziwości swojego czarno-

księstwa, Cagliostro na starość sam sobie u-
wierzył.

Oszukiwał kiedy chciał jeszcze pieniędzy,
ale tajemnie, w nocy, czynił doświadczenia
sam dla siebie, czytał kabalistyczne demono-
grafów księgi, wyciągał wnioski jakieś z ró-
żnych fenomenów imaginacyi, i chciał przy
końcu życia przynajmniej odkryć wielką ta-
jemnicę którą oddawna udawał, że znalazł.

Czasem sam śmiał się z siebie — ale kiedy
noc nadeszła wlokąc za sobą dziwne marze-
nia i domysły, puszczał się znowu w dawne
doświadczenia i wracał do porzuconych ksią-
żek.

Udręczenie jego rośło w miarę czasu i co-
raz żywszych nadziei, niemógł złapać tego wę-
zła którym się nasz świat wiąże z światem
tajemnym, światem dusz, światem metafizyki
i magii.

Znuudzony, długo jeszcze próżno się szarpał,
mięszał leki, wywoływał chaldejskie zaklęcia
zapomniane oddawna, zbierał talizmany i wzy-
wał wszystkich duchów, jakich znał iniona.

Napróżno — wszystko napróżno — proszki
i płyny wsiękały w ziemię, słowa leciały z wia-
trem, zaklęcia szły bez odpowiedzi. A śmierć
była coraz bliżej — ciało wycieńczone rosko-
szami, chorobami, duszą i kłopotami, drżało ca-

łe, marszczyło się — oczy gasły, włosy wypadały, próchniały zęby i głos chrząpł w gardle. Trzeba się było spieszyć — nie tracił godziny — siedział i pracował, ale już nie nad złotem, które porzucił, nie nad eliksyrem życia, z którego śmiał się w oczy Hrabiemu S. Germain — tylko nad czarnoksięskim dusz wywoływaniem.

W dzień krył się w laboratorium pustego domu nad Tybrem, wieczorem przyjmował kilku zaufanych przyjaciół i cudzoziemców łatwowiernych, w nocy chodził na smętarze, odkopywał trupy, czatował na upiórów, zaklinał djabłów — i nikt nie przyszedł.

Próżne usiłowania wysuszyły go do reszty. twarz jego świeciła kośćmi, a oczy małeńkie zapadły — w takim to stanie rysowany Cagliostro żyje po dziś dzień w rycinie Chodowickiego.

Ktoby go widział z okropném udręczeniem zawiedzionych nadziei na twarzy, w sercu i głowie, pomyślałby, że go żywcem szarpał diabli, których tyle razy wzywał napróżno. Długi czas tak upłynął i niebyło komu nawet litować się nad nim, bo się nikomu nie zwierzał.

W kilka miesięcy Cagliostro trochę czoło rozmarszczył i dłużej zaczął bawić z przyja-

ciółmi, i śmiać się nawet czasem, jeśli któryś z nich co śmiesznego powiedział — widocznie był weselszy. Musiała na to być przyczyna, ale wszyscy na próżno łamali głowy, a nikt zapytać nie śmiał. Widziano że nie miał pieniędzy, że był szukany po Rzymie przez sbirów, że zostawał coraz w gorszem niebezpieczeństwie — cóż go tak rozweselać mogło?? Nikt nie wiedział, nawet żona, która zaczęła powoli pokutować, modlić się i niemogąc już grzeszyć, żałować za grzechy; co uczyniła według najupowszechnionego bardziej zwyczaju. Nikt nie wiedział, że Cagliostro odkrył wielką tajemnicę.

III.

I była na małej uliczce najbliższej Coliseum, kawiarnia, a raczej karczemka i garkuchnia, gdzie dawali tłusto sławne maccaroni z oliwą i doskonałe przepiórki i wino gęste i czarne, a mocne jak spirytus. Nadedrzwiemi wisiała tablica wyobrażająca Ś. Antoniego, któremu szatan kusiciel przynosi talerz maccaroni pływających w tłustości i było napisano nazwisko świętego i czułe wezwanie do przechodzących z dwoma pomyłkami w dwóch słowach, co dowodziło, iż artysta więcej był zajęty Ś. Antonim, niż jego nazwiskiem i in-

teressem gospodarza. — Uczęszczali do tego domku najwięcej ciekawi podróżni oglądający Coliseum z takim zapałem, że zapomniawszy o jedzeniu, musieli się kontentować, tą najbliższą garkuchnią.

Znajome są z nieporządku i nieochędstwa wszystkie traktjery rzymskie, cudzoziemcy często wyrzekają się jedzenia, widząc przygotowania do niego, i nawet w czasie największych ścisów, jak bywa na Conclave, gospodarze nie starają się ulepszyć swoich zakładów, ani ich usługi, ani wewnętrznego porządku.

Takie są najpierwsze, cóż mówić o ostatnich domach tego rodzaju? Garkuchnia pod Coliseum nicustępowała w niczem najbrudniejszym, a miała jeszcze do siebie, że była małeńka i całą usługę w niej odbywał jednooki Transteveranin Beppo i czterdziestoletnia Margaretta, niegdyś cudo piękności, wzór wszystkich malarzów, lecz wycieńczona chorobą, żółta, zmarszczona i zła jak całe piekło.

Wieczorem w oddalonym tym i zapomnianym domku zbierali się jacyś ludzie ubrani czarno, najwięcej starzy, a między niemi zawsze był Cagliostro. Chód ich, miny i mowa wszystko było tajemnicze, dziwne, jedli mało, pili dużo, a najwięcej rosprawiali. Gospo-

darz chociaż miał skrupuły i podejrzenia, bo się coraz w większej liczbie zbierali, nie im jednak nie mówił, bo płacili dobrze.

Jednego wieczora wszyscy goście byli w bardzo wesołym humorze, chodzili żywo i śmieli się, zacierali ręce i jeden z nich Maestro Spirido podskakiwał nawet z radości, ale gospodarz chociaż słuchał ciekawie podedrzwiami, nie się nie dowiedział, prócz tego, że skaczący Maestro Spirido miał trzewiki z twardej skóry, bo tak niemi stukał po podłodze, że nic więcej słychać nie było. Poszedł więc sobie i zasnął spokojnie, a w chwilę Maestro skakać przestał i usiadł z innemi do rozmowy.

Rozmowa ta była wcale zajmująca.

Zaczynał ją Niemiec, który akcentem niemiecko-genueskim, patrząc w niebo i wzdychając tak mówił.

—Signori! czytaliście Leibnitza?

—Czytałem, zawołał Maestro Spirido, jest to filozof matematyk, który nam się na nic nie zdał.

—A jego monady? rzekł Niemiec— czyż nie są piérwszym wschodem do dłúgiej drabiny?

—Ten piérwszy szczebel nie ma drugiego, odpowiedział Spirido skacząc, nasz Cagliostro lepićj zna dusze i prowadzi je, nie, nie rozu-

mowaniem do głowy, ale zakłęciem przed oczu ciała.

—Głupstwo! odpowiedział Niemiec— jakże można oczyma ciała widzieć duszę niematerjalną — Myśl jest tęj saméj natury co dusza, weź że ją Panie Spirido w garść i pokaż mi ją materjalnie, kiedyś tak mądry.

Maestro Spirido najeżył się cały i stanął.

—Niewierzysz, zapytał Niemca— więc jesteś profanem nie adeptem? Wiara jest pierwszym warunkiem zobaczenia cudu!

—Będę wierzył jak zobaczę, odpowiedział Niemiec.

—Na kiedy twój wielki dowód Cagliostro? na kiedy twój tryumf.

—Na jutro, odpowiedział Cagliostro, z oczyma spuszczone mi w ziemię zamyślony.

—Czy będzie kto prócz nas?

—Dwie kobiety— moja żona i jej wychowawica, odpowiedział Cagliostro.

—I powtórz jeszcze, kogo wezwiesz na twoją nieśmiertelną wieczerzę.

—Najlepszych biesiadników— najslawniejszych, odpowiedział Cagliostro dumnie i pomistrzowsku, podnosząc się z krzesła.

—Piérwszy,— Aleksander Wielki, który jak wiecie ogromnym pijał puhaem— druga roskoszna, miła, nieporównana Królowa Kleo-

patra, której całe życie było długą biesiadą miłosną. Trzeci — Cezar Borgio, co tak długo po swoim niesmaczném winie chorował, czwarta siostra jego Lukrecja, żona tylu księząt, kochanka tylu kochanków — potem sławna Bartłomiejową uczą Katarzyna Medicis, potem śpiewak domu — Wielki Neron — potem.... Cagliostro zatrzymał się i zapytał.

—Kogo chcecie więcéj?

—Katona z Utyki — zawołał Niemiec.

—Nie zapomnij Sardanapala — dodał inny.

—I Królowéj Semiramidy.

—Fausta —! krzyknął Niemiec.

—Don Juana! zawołał hiszpan — a jeśli można Kolumba!

—Zaponmieliście najważniejszego — Rabelais.

—Kto to był? zapytał Cagliostro.

—Nauczyciel wesołości, mistrz dobrego humoru, najpoczeiwszy człowiek swojego czasu, będzie nam służył za tłumacza, jeśli nie zapomniał wszystkich języków, które umiał za życia.

—Proszę o Ludwika XI odezwał się głos z kąta.

—Ja o Cromwella.

—A ja o wesołego Benwenuto Cellini?

—Raphaela Urbino! krzyknęły dwa głosy.

—Dość, dość! przerwał Cagliostro, będąc wiedział kogo wezwać, i nie zapomnę Wielkiego Alberta!

—Koniecznien — krzyknęli wszyscy!

Potém uciekli — bo ktoś zapukał do drzwi. Spojrzeli po sobie — Wszedł mężczyzna siwy, ale dość rumiany i żywy, skłonił się wszystkim bardzo grzecznie i ściskając za rękę Cagliostrowi zawołał.

—Ach przecież się spotykamy! leciałem jak szalony z Paryża na zapowiedziane cuda — wszystkie margrabinie desperują się po mnie, a ty możesz na mnie nie czekać.

—O Hrabi! odpowiedział Cagliostro, bez ciebie bym nie zaczynał — będziesz sędzią jutrzejszym, ty coś żył kilkaset lat, znałeś pewno wiele z tych osób, z którymi będziemy mieli honor wieszerać jutro — osądzisz czy się odmienili po śmierci.

—Wszak to Hrabia Saint Germain? — zapytał jeden z przytomnych.

—Tak jest, — odpowiedział drugi.

—Ale słyszałem że umarł?

—Kto? ja? krzyknął Hrabia, który to usłyszał, ja? ja? jabym miał umrzeć? to jest nie-darowana impertynencja! Jabym miał umrzeć?

—Z przypadku, poprawił się zaczerwieniony niedowiarek.

—Dla mnie nie ma przypadku! zawołał Hrabia kilkaset lat żyjąc umrzeć! ot tobym się wykierował! i kiedyż? w najspokojniejszym z wieków, najprzyjaźniejszym dla wielkich ludzi! Proszę żebyś pan wiedział, że ja nie umieram,— dodał surowo.

Nastąpiło milczenie i goście powoli rozchodzić się zaczęli.

—Na jutro, o północy, do Kolizeum!!

—Jutro do Kolizeum.

—Jutro.

I domek wkrótce był pusty.

IV.

Ze skrzyneczką pod pachą, zmarszczoném czołem, Cagliostro szedł nazajutrz o godzinie jedenastej do Kolizeum.

Obok niego milczący spieszył Hrabia, także ze szkatułką ukrytą pod płaszczem.

Za nimi szły dwie kobiety — jedna z nich niosła zawiniątko, druga długą laskę.

Noc była chmurna przeciw swojemu zwyczajowi, obłoki białe, siwe, granatowe, pędziły się po niebie, księżyc zachodził już.— Zdaleka błyszczał Tybr i kopuła Watykanu i Anioł na wierzchołku Kastelu — oni szli w milczeniu.

Przyszli nareście do jednego z wejść Ko-

lizeum, które trzeba wiedzieć, że jest przemienione w znacznej części na kaplice — warty stoją u wejścia.

Cagliostro spotkał o kilka kroków czarną jakąś figurę.

—Czy gotowo wszystko?

—Gotowo — odpowiedziała.

—Stół i potrzeby do uczy?

—Gotowe.

—Łóżka?

—Gotowe.

—Kwiaty i wina?

—Są.

—To dobrze — rzekł Cagliostro i wchodził. Potem odwrócił się i zapytał.

—Warty czy spią?

—Jak zabite, mozem na to rachować do jutra.

I weszli w ten gmach bez końca, podobny do pałacu Baltazara na jednym nowym angielskim obrazie. Na ścianach i w otworach okien błyszczały światła, gradusy ostawione były światłami, stół ogromny połyskiwał od nich, cały ubrany w kwiaty, szklanne i srebrne naczynia.

Tu i ówdzie czarne figurki przechodziły się w milczeniu, tak małe w proporcji gmachu, jak muszka na ścianie domu.

Z góry wiatr dał i pochyłał płomieniem

świąteł, milczenie było uroczyste, wielkie, tajemnicze, i oczekiwanie stało odmalowane wszędzie.

Cagliostro wszedł i światła zabłysły podwójnie i błyszczące naczynia odbiły mocniej światło i cichość stała się większą dwa razy, oczekiwanie dwa razy wyraźniejsze — i sukna pasowe, któremi obwieszone było wnętrze Kolizeum, pochyliły się i zadrżały. Sowy i nietoperze szumiąc wylleciały ze wszystkich gmachu zakątów — przytomni uczuli dreszcz przechodzący po ciele i włosy powstające na głowie.

Wszystkie figurki czarne zbiegły się do Cagliostrowa, ale nikt nie przerwał milczenia.

Tymczasem dwie przybyłe kobiety rozestawiły czarne sukno na ziemi i Cagliostro zrzuciwszy płaszcz ukazał się w ubiorze białym ze złotem, wziął laskę i stanął.

Wykreślił na suknie koło, krédą białą i drugie krédą czerwoną i trzecie niebieską i czwarte, piąte, szóste aż do siedmiu. Potem przez te koła poprowadził linję i drugą prostopadłą do niej i jeszcze kilka póki koło nie zostało podzielone promieniami dwunastą. A nad każdym promieniem napisał liczbę arabską a raczej indyjską, bo ją Arabowie od Indjan przejęli.

Nad kołem powiesił lampę i w środek koła wbił skazówkę jak w kompasie.

Chwilę czekali— cień pokazał godzinę 12stą, wszysej spojrzeli po sobie, potem na mistrza, i czekali.

Z szkatułki, którą przyniósł, wyjął Cagliostro proszek jakiś i sypał go dmuchając na płomień lampy— potem zawołał — „Aleksandrze Macedoński!“ — i wlepił oczy w łóżko stojące na pierwszém miejscu przed stołem.

Wielki męszczyzna w szyszaku i sukni pąsowej leżał na łóżku i tarł ręką po czole— wszysej go zobaczyli razem i kilka osób krzyknęło. Cagliostro i Hrabia St.-Germain powitali go.

Ale on był zmarszczony.

—Po co tu jestem? zawołał po grecku.

—Królu, chcieliśmy cię widzieć— odpowiedział czarnoksiężnik pokornie — prosimy cię na ucztę.

—Głupiec jesteś z twoją uczcią — zawołał Aleksander, — umarłem jak wiesz z pijaństwa, czy chcesz mnie drugi raz zameczyć? czy myślisz mnie pokazywać za pieniądze, jak za moich czasów smoka skórzanego pokazywali oszukańcy? Zgniotę cię —

I porywał się z łóżka.

—Mam doskonałe wino, — zawołał Cagli-

stro, — i kilku poctów i piękną Frynę i dwa wieńce laurowe.

Aleksander Macedoński zamilkł. Cagliostro wrócił do sukna i szkatułki.

Cagliostro wziął pierścień z wyciętą na kamieniu piękną twarzą kobiecą i rzucił go w ogień i zawołał: „Królowa Kleopatra!“

I w téj chwili usłyszeli wszyscy szelest od jednego wejścia i pokazała się kobieta, małeńka, dosyć otyła, nie bardzo biała, z odkrytą piersią i rozpuszczonými włosami, na ustach miała siny uśmiech, na piersi ranę, na głowie kwiaty, w ręku grono winne.

— Ach! — zawołała.

Król Macedoński spojrzał i z pogardą odwrócił oczy. Ona obejrzała się i machinalnie usiadła, przechylając się na jedném z łóżek o dwa miejsca od Aleksandra. Obojętna, nawet nie zapytała po co przyszła mimowoli.

A czarnoksiężnik nie tracił czasu, i rzucił rękawicę złotem szytą na ogień i schrzypłym głosem neodwracając się, wymówił:

— Cezar Borgia!

Blady i wysoki męszczyzna usiadł nagle przy Kleopatrze, nalał wina i pić zaczął; strój jego był bogaty, mina znudzona. Obrócił się i spojrzał po gmachu, po otaczających go osobach, zmarszczył się na widok Macedończyka.

bezwstyduie zajrzał w oczy Kleopatrze, skrzywił usta i zamilkł.

A mistrz wziął czarną zasłonę kobiecą obszytą perłami i rzucił w ogień wołając:

— Lukrecja Borgia.

Cezar obejrzał się zdziwiony. Wśród Kolicum szła kobieta wysoka, blada, czarnooka, usta jej były dumne, głowa podniesiona, krok śmiały; spójrzała na brata i zawołała: „Co to jest?”

— Nie wiem — odpowiedział Borgia, — jesteśmy w Kolicum, i jak uważam w towarzystwie kuglarzy i aktorów.

Lukrecja nie siadła, ale z rozognioną twarzą przechodziła się w koło stołu. Stanęła przy Aleksandrze, zmierzyła go od stóp do głowy i zapytała tonem rozkazującym.

— Kto jesteś?

— Pan świata! — odpowiedział syn Filipa — Aleksander Wielki. A ty kobieto?

Lukrecja odwróciła się i poszła.

A mistrz wziął w ręce parę trzewików z łaamy złotej na korkach i rzucił je w ogień i zawołał:

— Katarzyna Medicis!

I pokazała się strojna, wysoka, stara kobieta, z wielkim wachlarzem w ręku, twarz jej była pełna wyrazu, oczy pełne ognia i pano-

wanie zdawało się nad nią unosić. Weszła, stanęła i zamyśliła się. Nikt jej nie witał.

A mistrz wziął w ręce miecz błyszczący i położył go na ogniu i zawołał:

—Semiramis!

Wszyscy się obejrżeli i zobaczyli w długiej białej sukni kobietę zupełnie do Katarzyny Medicis podobną, młodszą tylko od niej. Cesarz Borgia przemówił coś do niej i podobno prosił ją siedzieć (nie wiem jakim językiem) bo Semiramis usiadła.

A mistrz wziął w ręce rozwiązaną przepaskę kobięcą i złamany kwiatek korony i zawołał:

—Messalina!

Pokazała się kobieta średniego wzrostu, w poszarpanych sukniach, twarzy pięknej, ale pomieszanéj i zbłoconéj; pokaleczona cała i skrwawiona. Smutna i drżąca usiadła na gradusie i płakać zaczęła, zdawało jej się, że przyszła znowu straszna chwila śmierci, której ona sama sobie zadać lękała się.

A mistrz wziął miecz obosieczny i księgę i rzucił je w ogień wołając: „Katon z Utyki.“

Łysy, wysoki, w jednéj tylko wełnianej białéj sukni z czerwonym u dołu paskiem, pokazał się męszczyzna, pierś jego była rozdarta i skrwawiona, a oczy podniesione do

nieba, a z ust jego zdawał się wychodzić czarodziejski ów wyraz „nieśmiertelność!!“

Zgadnijcie kto temu bohaterowi samobójcy, najpilniej się przyglądał? — Messalina! — ona chciała pojąć z kąd wziął siłę zadania sobie śmierci, której ona w pół umarła dokończyć wahała się jeszcze.

Lecz jej uwaga przerywana została nagłym dreszczem i bojaźnią, gdy mistrz rzucając na ogień lutnię i węgiel rozżarzony, ogromnym głosem wezwał:

—Neron!

Wpadł z trzaskiem, jak gdyby jeszcze powoził czwórkonny wóz wśród cyrku, usta miał otwarte, jak do śpiewu, a oczy wpadłe i blade od razu rzucił na Messalinę, potem okręcił się i zaśpiewał i machnął ręką jak gdyby ścinał głowę!

Ale już wszyscy nowego czekali przybylca, bo mistrz rzucił puchar i dwa kwiaty w ogień i zawołał:

—Sardanapal!

Straszdytło jakieś pokazało się u wnijscia. Suknie jego płonęły na nim, ciało płonęło, włosy miał opalone i wieniec z róż suchych i czarę pustą do czerwoności rospaloną, w ręku, a oczyma szukał pewnie nałożnic swoich, biedny bohater rokoszy.

—Potém Cagliostro spiesząc się coraz bardziej i niepodnosząc prawie oczu, rzucił duży zwój papierów na ogień i przyklękając krzyknął.

—Wielki Fauscio!

Ale Faust który się spuścił z góry w tym momencie nie był wielki, owszem mały, brudny, czarno ubrany, łysy, z twarzą okrągłą, z wielkimi zapracowanemi rękoma, wszedł uśmiechnął się, spójrzał i z pogardą odwrócił.

Ledwie się pokazał, mistrz rzucił znowu w płomienie książkę i duży kielich szklanny pełen wina.

—Doktor Rabelais! zawołał.

Wielki i długi śmiech odpowiedział na pytanie, pokazał się czerwony i tłusty, z wesolą twarzą, w todze i birecie sławny Rabelais.

Wszedłszy podniósł biret grzecznie i dopadłszy najbliższej czary i wina, wdzięcząc się do Kleopatry, wzniósł zdrowie.

—Niech żyją, umarli!!

Przez wzajemną dla siebie grzeczność, wszyscy goście wypili zdrowie swoje, a mistrz długą kopję rzucając w ogień krzyknął.

—Don Kwichot z Manszy.

Na sławnym swoim nieodstępnym koniu,

wjechał rycerz blady, wzdychając i witając przytomne damy.

—Pany i panowie, zawołał, oto znowu na świat przybywam walczyć za niewinność, za za cnotę, przeciw zbrodniom i uciskom, lecz uważcie jaka jest boleść moja, przybywam sam, bez lubej mojej i wiernego giermka. Bez nich coś pocznę, będę się błąkał dwa razy smutniejszy, nieszczęśliwszy dwa razy i ręka moja będzie bezsilna i pierś tylko westchnienia rodzić będzie i oczy moje tylko łzy wylewać! O! oddajcie mi Sanszo Panse i Dulcyneę Królowę Tobozo, wszak ona jest moją świętym węzłem miłości, a giermek przestał być Królem na wyspie Baratarja! Oddajcie mi ich!

—Cicho zawołał Rabelais, zsiądź z konia i idź usiądź przy Aleksandrze Wielkim, będziecie dobraną parą na wieki wieków.

Don Kwichot poleciał co prędej powitać bohatera, który go zmarszczony odpychał, pytając:

—Z kąd tego warjata puścili?

A mistrz lał tym czasem w ogień merkurjusz i rzucał roztluczone jaje i wołał:

—Krzysztof Kolumb!

Poważna figura w skórzanym kaftanie, z krezą, w kapeluszu z piórami, z łańcuchem złotym na szyi, pokazała się, a Rabelais który się

podjął mówić i pić za wszystkich, odwrócił się z zachmurzonym czołem.

—Precz z tym wielkim człowiekiem, który z piekła wyszedł, żeby odkryciem drugiej połowy ziemi, dać nam złoto którego i tak było za wiele i chorobę nową, która za sto dawnych stanęła. Precz, precz!!

Kolumb z pokorą i wytrwałością odsunął się niezmarszczony i poszedł do Katona.

Papierowa korona paliła się na ogniu i Cagliostro wołał:

—Ludwik XI.

Drżący, blady, przestraszony, pokazał się i stanął i chciał wracać. Krew! krew! zawołał i zakrył sobie oczy,— wszyscy się odwrócili od niego, a on obejrzał się lisim wzrokiem szukając w koło Oliwiera Djabła i Pustelnika Tristana.

Za nim stanął Neron, przed nim sławna Katarzyna Medicis.

Ale już mistrz odstępując się od ognia, rzucił w niego garść prochu. Nastąpił wystrzał na który wiele osób przytomnych krzyknęło i padło, a głos mistrza wołał:

—Barthold Schwarz!

Wiele oczu zwróciło się, ale nikt nie przybywał.

—Nie przyjdzie, zawołał Hrabia Saint Germain.

—Czemu? krzyknął Cagliostro, cóż za figura ten mnich niemiec, żeby mi miał odmówić zaproszenia.

—Nicumartł, odpowiedział Hrabia.

—Barthold Schwarz! nicumartł!

—Dla tego że nieżył, odpowiedział Francuz i dla téj saméj przyczyny nie przyjdzie.

Trochę zmarszczony Cagliostro do nowego zabierał się zaklęcia, ale już prawie niewiedział kogo wezwać więcej, ktoś mu podszepnął Homera. Wziął natychmiast pierwszą księgę Illiady i spalił i zawołał— Homer.

Zamiast jednego weszło na zawołanie Illiady kilkunastu starców obdartych, ślepych po większej części, wyżółkłych i chudych. Szli i każdy z nich spiewał swoją Rapsodję. Wszyscy odstępili się daleko, niechcąc aby się który z nich obtarł łachmanami o piękne ich suknie, nawet Aleksander Wielki, udawał, że ich niewidzi. Oni szli i spiewając wyciągali ręce po jahuźnę.

Cagliostro przykląkł i wznosząc laskę w górę, a rzucając astrolab, tygielek i proszek jakiś na ogień, zawołał: *Albertus magnus!*

Potém powstał i ciekawie spójrzył na około.

Łoskot dał się słyszeć, pokazała się w górze postać ognista, a przy niej nietoperz, sowa, wąż, trupia czaszka i cyrkiel, potem zmieszało się to wszystko razem i z tego wszystkiego wyszło— nic.

Wsyscy byli zdumieni cudem i przyznali, że *wielkie nic* było samym Albertem.

Pocém zasiedli do biesiady.

V.

Nikt sobie wyobrazić niepotrafił zamieszania, jakie na tój uczcie panowało, reprezentanci tylu wieków i tylu rzeczy, rozmawiali tłumnie wszystkiemi prawie językami świata. Ale co było cudowniejszego niż przy wieży Babel, to, że się wszyscy rozumieli. Mógłby kto myśleć, że jedną razą marzony przez Leibnitza i ojca Kirchera język powszechny, nagle się z tego chaosu urodził.

Wkrótce nawet osoby, które z początku milczały przez charakteryzującą ich dumę, zeszły z piedestału wielkości swojej i zniwelowane śmiercią rozmawiały z sobą.

Ale i tu jak w każdym na świecie towarzystwie, nie które osoby przeczuły jednostajność swoich charakterów, poznały się jedném wejrzeniem i połączyły w osobne grona.

Za łóżkiem Aleksandra Wielkiego stawał Don

Kwichot i z całą powagą dla siebie i dla bohatera na jaką się mógł zdobyć, opędzał muchy latające mu koło nosa, na co bohater nie uważał.

Niedaleko od niego zeszły się Katarzyna Medicis, Semiramis, Lucrecja Borgia— dalej rozmawiały Messalina z Kleopatą— dalej Neron, Ludwik XI i z tyłu ich Sardanapal rozprawiali.

Faust musiał sięść przy doktorze Rabelais, za którym z tyłu milczący stali Homerowie.

Zostali sami Katon i Kolumb, ale się wkrótce połączyli, a Cezar Borgia wlaźł między Nerona i Sardanapala.

Cagliostro tryumfujący i jego adepci przyglądali się temu widokowi osobliwemu, słuchali rozmowy, badali wejrzenia, niemogąc pozbyć się strachu, jaki ich opanował na widok cudu.

Wina płynęły nieprzerwaną strugą z flasz do kielichów, z kielichów do ust, a potrawy znikwały równie prędko, i nie dziw; można być głodnym nie jedząc tak długo, naprzykład jak Aleksander W. od swojej śmierci.

Najzabawniejsze było zdumienie dawnych nad wynalazkami dzisiejszemi i nowszych umarłych przekonywających się z ust starożytnych bohaterów, jak dziś starożytność w księ-

gach defigurują. Każdy pytał o familiją, o kraj swój, i każdy prawie dowiedział się, że familij nie miał, a kraj zlał się w masę z innymi. Homerowie o nic niepytali, kontenci, że im Rabelais dał jeść i pić, ale się niezmiernie zdziwili, kiedy im opowiedział historją ich Illiady, ich sławy i ich zjednoczenia w jedną osobę. Natychmiast jeden z nich najsilniejszy podniósł głos mieniąc się jedynym Homerem, a ich oszustami nazywając. Z tą kłótnią i bitwą, którą ledwie Don Kwichtoś uśmierzył.

Niepodobna opisać wiele prócz tego nagadano na tój sławnej wieczerzy, bo każdy spieszył się, żeby jak najwięcej powiedzieć i usłyszeć.

Wszyscy prawie pokłócili się o wielkość swoją na końcu.

Miało się na brzask, kiedy mistrz pożegnawszy dostojnych gości i podziękowawszy im za *łaskawe przybycie*, oznajmił że czas, aby wrócili z kąd przyszli.

Na te słowa wrzask powstał okropny, groźby, przekleństwa, proźby, rzucili się nawet niektórzy do kamieni na mistrza, ale on poszedł do lampy, wymówił dwa słowa, wywrócił ją — i wszystko znikło.

I światła i stół i czasy i łóżka i biesiadnicy.

Zostali tylko adepci, a w chwilę Cagliostro

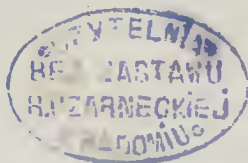
wziąwszy swoje zawiniątko, laskę i pudełko, razem z przybyłemi kobietami i Hrabią Saint-Germain wyniósł się z Kolizeum tryumfujący.

VI.

W kilka dni, jeden z adeptów Cagliostro, Maestro Spirido, skutkiem wrażenia, jakie na nim sławna uczyniła wieczerza, dostał gorączki i przed wezwanym doktorem nie przytomny całą wygadał tajemnicę. I tegoż samego dnia Cagliostro ze swego Laboratorium nad Tybrem porwany został.

Publikowano potem jego process, w którym i o tej wieczerzy niezapomniano. Skazany na wieczne więzienie, umarł w Castel S. Angelo.





3.

NASZA GAWĘDKA O SZAREJ GODZINIE.



Śmierć goni — wieczność czeka.
Napis na drzwiach winiarni.

Kiedym był w mieście i kiedy się zdarzyło zejść w kilku wieczorem, nie było nic rokoszniejszego od naszej trzpiotowato-filozoficznej rozmowy. Często nie obejrzeliśmy się, jeśli kompanja była dobrana, jak wśród gawędki uleciał czas od szarej godziny do północy. Ludzie, którzy uważali że rozmowa nadto dla nich nisko lub wysoko idzie, wychodzili milczący na bilard, do kawiarek, modystek, na tańczące wieczory, na wieczory grające i t. d.; my zostawaliśmy, po niemiecku, z fajkami, rozebrani, bez chustek, bez przymusu, bez próżnych etykietalnych dla siebie względów; zostawaliśmy improwizować komedje, śmiać się

z ludzi i z siebie, bzdurzyć o fraszkach, gawędzić o wielkich rzeczach niepojętych.

Przyznać potrzeba, że marzenia Hoffmana w sławnej jego kawiarni, przy fajce, przy wazie ponczu, nie były pewno słodsze wielkiemu marzycielowi niemieckiemu, jak nam te wieczory, przy fajce także, przy fortepianie, przy porterze czasem i przy tém świetle czerwonym piecyka, które powinien być jedynem światłem każdego fantastycznego obrazu.

O słodkie godziny zapomnienia całego świata! Cóż mnie wówczas obchodziły śmiechy, które ktoś sobie robił ze mnie daleko, krytyka płowa najętego dziennikarza, plotki głupie próżniaków, i drwiące spojrzenia najemuików księgarskich—co mnie obchodziły wszystkie świata sprawy, kiedym uniesiony w inny kraj, daleko, marzył, mówił, myślał tak, jak gdyby nie było wczoraj ani jutra, ani ludzi, ani świata.

Na stole miałem książkę; w ręku miałem jedyną i nieodstępną przyjaciółkę-- fajkę, w okółto byli ludzie, ludzie którzy choćby potem poszli szydzić ze mnie, w téj chwili rozumieli mnie i myśleli na współkę ze mną. Na cóż mi była reszta?

Nic niema podobnego wdziękowi do przyjacielskiej, poufalej rozmowy serc i dusz: wówczas ludzie nikną, względy potworzone dla

głupców przez głupców, ustają; wszystko się ściiera, łączy, zléwa, i myśli związane w jeden wieniec ulatują wysoko, wyżej niżby same pójść mogły.

O młody wieku, to są twoje najdroższe rokosze, to zapomnienie i zaparcie się siebie i jutra, to spoufalenie i zlewianie się, którego niedowierzający starcy znać nie mogą, bo się boją wszystkiego, bo wszystko ich zdradziło, bo przeżyli złudzenia swoje.

Pamiętam jedną wieczorną rozmowę, bo takie rozmowy nigdy się nie zapominają. Zaczęliśmy od nagrobku Szekspira, potem mówiliśmy o Księdzu Bace, potem o ostatnim kondukcie.

—Znałem tę panię,— odezwał się jeden;— była bardzo ładna, świeża, wesół, rumiana; widziałem ją przed kilku dniami, obiecałem jej przynieść bukiet rezedy z naszego ogrodu. Dziś idę z bukietem, spotykam kondukt, a na wozie widzę odkrytą trumnę, poznaję ją, rzućcam bukiet rezedy, i czy uwierzycie, o małym nie zapłakał. Rezeda dłużej kwitła od niej.

—Rzecz bardzo naturalna,— przerwał drugi,— bo rezeda później od niej kwitnąć zaczęła.

—Porównanie — rzekł trzeci — jak jedno tak drugie niestosowne; rezeda żyje w proporcję tyle ile człowiek; dzień rezedy jest ro-

kiem człowieka; człowiek kocha, rezedę kwitnie, a potem oboje umierają. Na nieszczęście twoja panna nie kwitnąc umarła, ale też ogrodnik wiele poobcinał nierozkwitłych gałązek.

—Nadto gruntownie brać chcesz każde porównanie,— rzekł pierwszy;— nie jednak nie mam przeciw niemu, ale nie wiem dla czego mi smutno, kiedy widzę rzecz jaką przeżywającą człowieka.

—Cóż chcesz, ludzie żyją, czują, a życie i czucie niszczy; rzeczy i rośliny są tylko i wegetują, i dla tego dłużej trwają. Tak samo jak widzisz zeschnięty kwiatek długo leżący w szlam-buchu, mógłbyś długo widzieć człowieka w grobie. Ale na końcu prawo zniszczenia spełnić się musi; trzeba się usunąć z drogi, żeby zostawić miejsce drugiej rezedzie i drugim ludziom. Z resztą kto czuje i wierzy w nieśmiertelność, kto widzi, że człowiek dla niczego i bez powodu stworzony być nie mógł, temu myśl śmierci nie jest straszną. Czy on tę nieśmiertelność będzie widział jak Pitagoras, czy jak Plato, czy jak Leibnitz; czy będzie uważał duszę za wędrownicę, czy ją rozbierze na plastyczną, na zwierzęcą, na boską i t. d. i t. d. — to wszystko jedno; dość, że będzie widział jakąkolwiek nieśmiertelność.

—W interesie człowieka,—przerwałem;—jest wierzyć w inne życie; nie chciałbym umierać z męczarnią zupełnego zniszczenia i uważać, że jeden wielki człowiek potwierdził czynem myśl moją. Kato Utyceński dwa razy czytał djałog Platona, nim się zabił.

—O! z tą myślą nieśmiertelności jakże rokosznie umierać,—rzekł inny;—co za wielka i piękna chwila, w której się człowiekowi jedyna tajemnica świata odkrywa, w której wchodzi do tego kraju marzeń swoich i widzi to co tylko przeczuwał. Być może, iż jego wyobrażenia ziemskie inaczej się tam zrealizują, lecz jakkolwiek bądź, *wielkie może* Doktora Rabelais odkrywają się.

—Ach! jakże się ztamtąd nędznie nasz świat i mądrość nasza wydawać musi,—zawołał milczący towarzysz, który dotąd fajkę tylko w ustach trzymał;—nasze teorie, nasze podziały dusz, nasze wywyższenia nad zwierzęta. Mości Panowie, — rzekł głośniej, — my nie jeszcze świata naszego nie znamy, my nie rozumiemy braci naszych zwierząt, ani ich mowy, ani ich myśli, nie umiemy cenić ich rozumu, który w dumnym głupstwie naszym, instynktem nazywamy, nie wiemy nic o życiu roślin, o życiu kamieni, o życiu wszystkiego co nas otacza i powiedzieliśmy sobie: „Czło-

wiek jeden żyje, czuje, rozumuje.“ Ślepi! czyż nie widzicie, kamień uderzony o żelazo daje znak czucia — iskrę, dwa płatki różnych metalów, dwa płatki marchwi i buraka przyłożone drżą i wyrzucają iskrę galwaniczną. Nie jest że to znak życia i wewnętrznego działania? A z resztą — dodał siadając — możecie mnie mieć za warjata, kiedy chcecie.

—Ja się za ciebie ujęmę, — rzekł inny; — jest jeszcze bez wątpienia wiele tajemnic w przyrodzeniu, ale świat będzie długo, ludzie wielcy się nie przebiorą — dójdziemy do wszystkiego mój drogi — tylko cierpliwie. Ja uważam magnetyzm, zwińrzęcy, galwanizm, elektryczność, za szczeble do niepojętych odkryć. Kto chce nicch się śmieje.

—Wolałbym żebyś mi pozwolił ziewać, — odezwał się P. Jacek z kąta; — albo żebyśmy tę rozmowę zawrócili w inną stronę, bo możemy bez żartu dostać od tego zapalenia mózgu. To zupełnie tak, jak gdyby kto ścisnąwszy pięści i zęby ze złości chciał wleść na gładką wieżę bez drabiny i schodów, z dobrą wolą tylko.

—Mówiliście o śmierci, — zabrał głos natchmiał Innocenty; — pozwólcie żebym wam na dokładkę do śmierci Katona i Rabelego, dodał jedną anegdotę, za której prawdę zarę-

czam, a która wam pokaże, że niekoniecznie potrzeba być filozofem, żeby sobie z śmierci żartować.

Pan Sędzic MN. żył lat trzydziści kilka bardzo przykładowie i wesoło, zatrudniał się kartami, kieliszkiem i wszystkim, co mu tylko najmaterjalniejszy epikureizm za dobre podawał.

W starożytności mógłby był może ująć za niezłego *porcus e grege Epicuri*, ale dziś, kiedy na imię filozofa trzeba więcej nauką, jak praktyką zasłużyć, miano go tylko jak Scarrona za wesołego birbanta. Pędził życie tak szybko jak by go miał kilkaset lat w zapasie; przestrzegali go lekarze — on się śmiał tylko — ale rok za rokiem straszna godzina była coraz bliżej, łysina coraz większa, nogi coraz cieńsze, ręce coraz żyłastsze, twarz coraz bardziej pomarszczona. Ale on nie dbał o to jak o złamany szeląg, bo miał dar nie dbać o nic — o opinię, o majątek, o nie — i jak owi biesiadnicy starożytności, co stawiali trupa wśród uczt, żeby im przypominał że śmierć blisko i z czasu korzystać potrzeba — on coraz bardziej ze wszystkim się spieszył, a wesół był jakby nigdy umrzeć mu nie wypadło.

Przyszli nareście gońce śmierci: reumatyzmy, astmy, kaszle, podagra i suchoty. Póki

mógł chodził jeszcze, jak nie mógł położył się -- ale zawsze wesół -- przyjaciele ledwie mu wmówili żeby wezwał doktorów. Przyszli i pokręciwszy głowami zaczęli kurować, choć wiedzieli, że nie wykurują.

Na to trzeba było więcéj niż ich sztuki -- bo Sędzic wyezerpnał swoje życie i zkađ że go wziąć było dla niego.

Leżał więc na śmiertelném łożu i powoli sam zaczynał czuć, że już blisko końca. Jednego więc poranka, po długim i smutném jak się zdawało rozmyślanu, cichym głosem prosił służącego, aby do niego wezwał starą pannę Ildefonsę, kuzynkę jego pięćdziesiąt-letnią, strasznie nabożną i okrutnie brzydką, ale brzydką co się nazywa.

Panna Ildefonsa pospieszyła do chorego i znalazła go z miną bardzo *serio* i oczyma wlepionemi w ziemię.

Usiadła przy łóżku -- chory patrzył w nią jak w tęczę -- patrzył milcząc -- patrzył i nie spuszczał oka.

Po długim milczeniu, w ezasic którego Sędzic ciągle się w nią wpatrywał, Panna Ildefonsa odważyła się nareście zapytać.

—Kazałeś mnie Pan wezwać; czy mogę mu być na co potrzebną?

Sędzic patrzył jeszcze; potem podniósł się trochę i odezwał.

—Nic to Pani, chciałem się jój tylko przypatrzeć, żebym się nie tak zląkł djabła, jeśli mi się z nim spotkać przyjdzie.

Odwrócił się i skonał.

—Przyznajcie rzekł opowiadający, że podobna przytomność umysłu, jest bardzo rzadka w umierającym.

—Nie wątpię o tém, odezwałem się— lecz niecenię nic a nic konceptu P. Sędzica, bo nie przyjmuję za dobre powodów, które go do tego stanu przywiodły. P. Sędzic umarł jak żył bez myśli i przekonania o niczém, nie dbając tylko o śmierć, bez nadziei nieśmiertelności, bez pojęcia jój.

—To prawda— Pan Sędzic, rzekł ktoś z boku, umierał jak ta księżna, która wśród burzy na okręcie ułożyła dwa wiersze wesołe, żaląc się, że mając dwóch mężów umierała panną. Zapomniałem jak się nazywała, figuruje wszakże w każdym zbiorze anekdot. Wątpię jednak żeby jak Francuzi mówią, miała *conscience* pojęcie, wyobrażenie tego co czyniła, co się z nią działo. Kobięta najdziwniejsza, jest zawsze kobięta, żadnej rzeczy nie bierze dalej jak powierzchu. W książce woli styl od rzeczy, gładką deklamacją od myśli, żart

wesoły lub kalambur od jeniałnego pomysłu, w życiu woli eleganta od poczcziwego człowieka, woli mirliflorka od filozofa, kochanka dwugodzinnego od męża i figurkę porcelowaną od posagu marmurowego. Kobięta jest zawsze kobięta. S. Simoniści szaleją szukając w nięj przymiotów przeciw naturze. Zwierciadło może odbijać głębokość, ale nigdy głębokiem nie będzie, bo tylko odbija i ma tylko powierzchwnię.

—Dajże pokój kobiętom, stary kawalerze, odezwał się P. Jacek, nie ma reguły bez wyjątku.

—I zapewne, rzekł zapalony Antigines — ale nikt niczaprzeczy, że co jest najlepszego w kobietach to powierzchowność — wdzięki.

—Ach! a serce — zawołałem — a czucie, a ich ciągła miłość, a ich poświęcenia.

—Wszystko da się tłómaczyć ich słabością i łatwem zaciągnięciem nałogu. Uczucia w nich są nałogami — ich miłość!! — nieznani innęj, prócz macierzyńskięj — a i ta dla tego tylko jest tak mocna, że kobiety w dzieciach siebie kochają.

—Spójrzawszy w człowieka, aż wstyd jak jest czarny! rzekł P. Jacek — egoizm! sam egoizm wszędzie i wyłączenie.

—Która godzina? zapytał jeden ziewając.

Możem gadać jeszcze — wszak rano — aleś ty się znudził — zaśnij na kanapie.

—Ja znudził! ja! otto — takie podejrzenie! panowie — zawołał, żeby wam dowieść żem się nie znudził, zaczynam rozmowę *du capo* i chcę wybrać przedmiot, któryby potrwał najdłużej.

—Chcesz widzieć nas znudzić, na dowód żeś się sam nie znudził — szepnąłem, ale mnie nikt nie usłyszał, bo się wszyscy spierali, jaki jest przedmiot o którymby najwięcej mówiono i pisano i o którymby zawsze można do niewyczerpania mówić i pisać.

—Zastanówcie się tylko nad życiem i człowiekiem — rzekł najdłużej milczący, a łatwo zgadniecie.

—Miłość i śmierć — rzekł P. Jacek.

—Brawo, slinksie, zawołali wszyscy śmiejąc się i jeden zaraz podchwycił.

—Nic prawdziwszego — są to dwa przedmioty, o których musiał pisać, każdy kto pisał, które każdy malarz malował, każdy poeta spiewał, każdy snycerz modelował, o których każdy człowiek myślący myśli i o których zawsze dość myśleć, pisać, spiewać, malować — zostanie.

Są to dwa wielkie koła, na których się życie obraca, rzekł drugi — a że się nigdy ten

przedmiot niewyczerpnie, to dla tego, że każdemu jest właściwy, każdy go podług siebie traktować umie i może.

— Miłość i śmierć — miłość jest pierwszém zatrudnieniem i potrzebą życia, a śmierć jego skutkiem.

— Śmierć! powtórzył jeszcze jeden — jaka jest śmierć najstraszniejsza?

— Najdłuższa jak mi się zdaje?

— Ta o tyle tylko straszna, o ile każda męczarnia straszną być może.

— Jabym nie lubił umrzeć prędko, naprzykład od piorunu, od kuli w serce — jabym chciał wiedzieć co robię — czuć że umieram.

— Umieraj więc z choroby, z suchot naprzykład — ale wiedz, że jeśli się zastanowisz tylko sam pojmiesz, że czuć chwili śmierci nie podobna — Bo żeby uczuć co, trzeba być przed wypadkiem i po wypadku czułym, a z drugiej strony śmierci wcale inne jest życie.

— Nierozumiem — metafizyka!! odpowiedział P. Jacek i stuknął ręką o krzesło.

— Ci którzy do długiej dożywają starości — rzekł młody jeden uczeń medycyny — ci najstraszniej umierają. Wyobraźcie sobie w ich położeniu — oto naprzód umierają ich nogi, potem ręce, potem uszy, potem oczy, potem włosy, potem piersi, potem myśl konna i czu-

cie, wszystkie organa tępcją, funkcje ich ustają i życie maleńkie, obcięte, coraz drobniejsze, mniej znaczne, życie w którym są tylko męczarnie, powoli, szczegółowie, po kropelce upływa i niknie.

—Po prawdzie powiedziawszy, według najpowszechniejszój na świecie reguły, stworzenie które traci siłę reprodukcyjną powinno zaraz umierać, bo reszta jego życia jest tylko dodatkiem bardziej przykrym niż potrzebnym. Potrzecie na zwierzęta — one do śmierci posiadają ten dar, patrzcie na rośliny — łodyga ich usycha kiedy nasienie dojrzało. W nich się to najlepiej okazuje, zwierzę i roślina co rok rozpładają się, a kiedy dożyły czasu, że się rozpładzać niemogą, giną. Człowiek wprowadzie inaczej co do funkcij reprodukcyjnych jest udarowany — ale za to część życia, musi żyć łupinami dawniej zjedzonych owoców.

—A któż temu winien? przerwałem — sam człowiek który sił swoich nadużywa — inaczej mógłby nie być wyjątkiem z reguły — Ale dość téj medycyny!

—I zapewne, rzekł P. Jacek — dajmy pokój tym funkcjom, bo ja tego nic nie rozumiem, nadto głęboko po prawdę chodzicie, a nade wszystko na co tyle technicyzmu, który tylko adeptom jest zrozumiały?

—Będę ci tłumaczył, rzekł medyk spocony rozmową.

—Dziękuję— nie jestem ciekawy, odpowiedział P. Jack— wolę praktykę od teorii.

—Ot i urwało się— rzekłem poczekawszy chwilę i widząc, że po koncepcie P. Jacka, który powszechną wzbudził wesołość, nikt się nieodzywał, wszyscy dęli w fajki tylko i pochichu dymem i nudą wzdychali. Urwało się o miłości i śmierci, weźmy co innego.

—Co innego? zawołał uczeń medycyny— więc obmawiamy, wszak nie ma wątpliwości, że nas obmawiają ludzie, czemuż nie oddać wet za wet?

—Zgadzaś się, bo to bardzo rozweseli rozmowę— rzekłem, ale powiedz mi wprzód przyszły doktorze, z kąd się urodziło to prawo oddawania wet za wet?

—A! już ciż— jest to jak myślę coś nakształt prawa natury— nieuczyłem się Psychologii.

—Ale przyznaj, dodałem, że wet za wet jest strasznie barbarzyńskie i nierozsądne— Co za powód żeby być złym, głupim, żeby zrobić to lub owo, dla tego, że nam to ktoś zrobił. Jeśli to jest prawo natury, czego może zemsta dzikich ludzi dowodzi, w tym jak we wszystkim, christianizm obdarzył nas słodsze

i rozumniejszém prawem darowania winy i uczynienia dobra za złe.

A teraz, mości panowie, żebyście mi darowali ten ustęp, który wam pewnie niesmakuje, powiem wam zabawne zdarzenie.

—Słuchajmy!

—Działo się w Wilnie, dnia wczorajszego.

—Świeża nowina! odezwał się jeden— zacierając ręce, zaniosę ją zaraz idąc z wizytą, do pierwszego domu po drodze.

—Nie będziesz miał téj przyjemności, odpowiedziałem, nie jest to anegdota, ale tylko obrazek. Wiecie, mówiłem dalej, że jestem trochę gastronom i często w brew zdolnościom kieszeni, lubię dogodzić gębie -- wiecie dobrze, że nigdzie się stale nie stołuję, i jadam gdzie mi się zdaje lepiej. Oddawna widujecie już jak około pierwszej ciągnę zawsze na obiady do domu Millera, nie koniecznie może żeby tam miały być najlepsze, ale że tam najwięcej się osób zbiera i najpocieszniejsze ożginały. Wczoraj więc moim zwyczajem, wzięwszy długi surdut piaskowy i wpakowawszy woreczek w kieszeń wybrałem się tam trochę wcześniej, a to z przyczyny, że niemając zegarka, niewiedziałem godziny. Na dobre mi to wyszło.-- Znalazłem bowiem w sieniach długi rejestr płaszców i surdutów,

który mi się kazał domyślać, że sala musi być pełna. To mnie zawsze cieszy niewymownie, wszedłem więc w bardzo dobrym humorze. Szmer był wielki, brzęk i huk dobywanych korków wróżył dobrze.

Przywitawszy ile było znajomych, usiadłem za jednym z stolików mniejszych, nieuważając na towarzystwo jakim sobie obrał.

Po zupie dopióro podniosłem oczy. Naprzeciw i obok mnie siedziały dwie figury strojne z wytrzeszczonemi oczyma, jeden młody, drugi stary; oba oczywiście świeżo do miasta przybyli. Starszy miał frak granatowy, z tych dohrze znajomych fraków, z długim kołnierzem, z cienkimi połami, z guzikami w półkole, które przed rokiem 25 były w modzie; pod frakiem miał kamizelkę zapiętą aż pod brodę dywtykową; wyżej chustkę na wielkiej formie, białą, z końcami haftowanemi czerwono w kwiatki, na brzuchu miał dewizki, w których koryfejem był znajomy każdemu ogromny kluczyk z pąsowój jakiejs massy; pantalony były białe letnie mimo chłodnego powietrza; buty na wysokich obcasach; na wierzch tego stroju paradnego wisiął płaszcz letni zielony, taki jaki to gotowy kupują Żmudzini, nie wiem w Rydze czy w Mitawie. Twarz jego była czerwona, oczy duże, spój-

rzenia śmiałe, włosy nastrzępione do góry; znać było że na wsi miał znaczenie i powagę, bo nie niezmięszany wielością i rozmaitością osób, patrzył w koło i gadał głośno do syna. Bo drugi towarzysz był jego synem.

Pan syn, imieniem Alfons, miał także frak granatowy, oczywiście przerobiony z ojcowskiego, co potwierdzały szerokie rękawy i nadto długi stan, przytém kamizelkę otwartą sukienną z metalowými guziczkami, szaraczkową, chustkę podpiętą wysoko i dwie szpilki z fałszywych turkusów, pantalonu szerokie granatowe, buty z grubéj dość skóry i płaszcz słowo w słowo taki jak ojcowski. Po tych płaszczach, których obawiali się oddać w sieni służącemu, poznać ich było można za fryców. Syn miał twarz opaloną, kolczyk u lewego ucha i pierścionek jakiś na drugim palcu prawej ręki.

Kiedym skończył zupę, oni dopiero mieli zaczynać obiad. Ojciec nie używszy dzwonka stojącego na stoliku, zawołał naprzód głośno.

—Fagas! héj! chodź sam tu?

A gdy nikt nie przyszedł, syn powtórzył szarpiąc przechodzącego lokaja: „Słyszysz, ojciec mój woła.“

—Czego Pan potrzebuje?

—Co tam macie na obiad?

—Oto karta.

—Jedenaście potraw! — zawołał ojciec licząc palcem i trzęsąc głową, a zawsze tak głośno, że wszyscy musieli być radzi nie radzi uczestnikami jego uwag. — Cóż to myślisz że ja to wszystko będę jadł? — Syn pokręcił głową. Lokaj spiesząc się dodał:

—Niech Pan wybiera, — nie mam czasu, co Pan każe podać!

—A od czegoż tu jesteś? — zawołał syn, zawsze głośno, — he?

—Daj nam rosółu na dwie osoby.

Biędzy Onufry poleciał za rosółem — przynosi.

Ojciec zajrzał w wazę, pomięszał łyżką, powąchał i skrzywił się. — Lura nie rosół, bez włoszczyzny, — zawołał. — Hej! sam tu! Co to za rosół dałeś? — krzyknął na służącego tak mocno, że wszyscy jeść przestali i spojrzeli na nasz stół.

—Jaki rosół Panie? — podchwycił Onufry; — rosół z kury.

—Ale jaki?

—Taki jaki wszystkim daję.

—Obrzydliwość! — zawołał ojciec, a służący poszedł nie czekając dłużej. I ojciec z synem musieli się mrucząc wzięść do jedzenia. Za każdą łyżką nowe były żale, porówna-

nia — a rosół znikł z wazki co do kropli, tylko mięso zostało.

— Czy jeszcze jesteś głodny Alfonsie? — zapytał ojciec.

— I nie tatuniu.

— Możebyśmy spróbowali drugiej potrawy, tylko pewno nas zedrą, pewno zedrą! Ha! już kiedy wisieć to wisieć. Hej! sam tu!

— Co Pan rozkaże?

— Co macie więcej?

— Sztukamięs.

— Na biało? — zapytał ojciec.

— Nie, z truflami, — odpowiedział Onufry.

— Daj nam porcję, tylko znów nie taką porcję jak tego rosółu, po pół skrzydełka mięsa i jakiego, takiego żeśmy nie jedli.

— A cóż ja temu winien?

— I nie ja, fagasie, bo mi się jeść chce.

Tą razą Żmudzin już tak wszystkich gości zaintrygował, że wszyscy pękając od śmiechu, patrzali tylko na niego. On wziął to za niemyślny znak współczucia i obracając się do przytomnych, zawołał.

— Chociaż nie mam szczęścia znać Panów Dobrodziejów, ale muszę przyznać, że nie wiem jak Panowie tu jeść mogą?

Wszyscy się śmiali.

Panowie się śmieją, — rzekł ojciec; — a ja dalibóg zły jestem, w takim mieście jak Wilno.

I widząc że wszyscy się odwrócili, zamilkł.

Onufry przyniósł sztukę mięsa i oba moi towarzysze zacięcie jeść zaczęli.

— Pół butelki piwa! słyszysz pół butelki piwa, daj tu pół butelki piwa! — zawołał ojciec.

Przyniesiono.

— Nie butelkowane, — zawołał, — zwietrzałe! fe! dalipan! słyszysz fagasio, już tu więcej nigdy nie przyjdę, a jeszcze zabawię dni z dziesięć.

— Jak wola pańska, — rzekł Onufry i uciekł. Skończyli nareście i otarli usta.

— A komu tu się płaci? — rzekł ojciec.

— Może Pan oddać mnie, — odpowiedział służący.

— Wieleż się należy?

— Za dwie porcje rosołu pięćdziesiąt groszy.

— Co! pięćdziesiąt groszy! — wrzasnął Żmudzin, porywając się; — 50 groszy! 50 groszy! za dwie porcje rosołu! 50 groszy! a to niesłychane zuchwalstwo! Ja tobie dam pięć potraw za pięćdziesiąt groszy w domu. U nas w Szawlach w najlepszym traktjerze potrawa po groszy dziesięć. 50 groszy! a to zgroza.

— Taka cena, inaczej być nie może; — rzekł Onufry.

—A niechby go tem wszyscy porwali, żeby tu miała postać moja noga! Słyszysz, a odtrąćże cośmy mięsa nie zjedli?

—Wolno było jeść.

—Ale kiedy nie chciałem.

—To cóż ja na to poradzę?

—A za cóż ja będę płacił, kiedy nie jadłem?

—Proszę Pana wziąć tę kurę do kieszeni, bo ja nie mam czasu długo się tu rachować, — rzekł Onufry; — oto już inni wołają wszędzie. Za dwie porcje rosółu groszy 50, za dwie porcje sztukamięsy...

—Dwie porcje! warjat czy co! a któż ci kazał dawać dwie porcje! ja kazałem tylko jedną.

—Było dwie osoby, — odpowiedział Onufry.

—To cóż że dwie osoby, czy ty mi będziesz prawa dyktował fagasie, — rzekł Żmudzin; — dwie porcje! cztery chude kawałeczki mięsa i u niego to dwie porcje. Chcesz obedrzeć, chcesz korzystać z przybyłych; odwołuję się do Panów, — rzekł patetycznie, — czy jest tu sprawiedliwość? Cztery kawałeczki mięsa i dwie porcje. Jak uważam to robi pół rubla srebrem! pół rubla za cztery porcje, pół rubla! a bodajeś skamieniał, jeżeli też to proszę Panów, jest sumnienie w tych ludziach!

—Za piwo groszy dziesięć!

—Jezu Chryste, pół butelki! ja myślałem że

ty przynajmniejj tój beczczności mieć nie będziesz; ja ci dam dwa garnce lepszego sto razy piwa za dziesięć groszy. Pół butelki i za to płacić i 10 groszy! a niechby cię wszyscy porwali, nimby tu moja noga postąła,

—Trzy złote groszy dwadzieścia wszystkiego, -- odezwał się stojąc jak na węglach służący.

—Już dalibóg jak żyję takich rzeczy nieśty-szałem, -- odpowiedział Żmudzin wśród powszechnego śmiechu; -- a toż widzisz gapiu, że wszystkiego piwa nie wypilem.

—Niech Pan pije!

—Idź do trzysty i z piwem! niechby cię tam porwali; chodźmy Alfonsie z tój jaskini łotrów.

—A cóż Pan nie płaci?

Żmudzin szukał sakiewki i kłął okropnie, włożył naprzód rękę w kieszenie od surduta, wyjął chustkę, kapciuch, tabakierkę, nóż, rękawiczki -- ale tam sakiewki nie było. Poszedł do bocznej kieszeni -- wyjął papiery, okulary, listy jakieś -- ale i tu sakiewka się nie znalazła, szukał w kamizelce i tu jój nie było.

—Zapomniałem pieniędzy, -- rzekł z najlepszą miną. -- Alfonsie czy masz pieniądze?

—Ani grosza Tatuniu?

—A tożem ci dał złoty, a matka musztyna na drogę.

—To w domu ostało się, -- odpowiedział syn.

—To wasan, — rzekł Żmudzin do Onufrego, — przyjdź do mnie po pieniądze do domu; stoję na Końskim Targu, naprzeciw żydowskiego szpitala, na dole.

—A gdzie ja tam Pana będę szukał, -- rzekł służący,

—No to coż kiedy nie mam przy sobie?

—Nie trzeba było jeść.

—To coż, nie wierzysz? -- rzekł Żmudzin.

—Nie znam Pana.

—To chodź ze mną.

—Nie mam czasu.

—I coż będzie?

—Nie puszcze ztąd Pana, póki nie zapłacisz.

—A! kanalja! no proszę! o już dalibóg tego nadto; naści Alfons, idź mi przynieś z domu sakiewkę, a ja tu zostanę.

—Myślicie, że się awantura skończyła na tém -- o nie wcale, bo Alfons przyszedł w godzinę bez sakiewki, i po nowych przekleństwach, nie wiem jak przecież wydobył się, przysięgając, że tu więcej nie postanie nasz bohater; a Onufry, któremu przez wspaniałość zostawił pół szklanki piwa, mówił żegnając go, że da na mszę do Ostrój bramy, aby go Bóg od podobnych gości uwolnił.

—Nie jest to wcale tak zabawne zdarzenie, jakieś zapowiedział, — przerwał P. Jacek.

—Ja przynajmniej winien temu nie jestem, — odpowiedziałem, — chyba brak talentu opowiadania, bo w istocie trzeba było być świadkiem, żeby uczuć całą śmieszność téj sceny, w której głos, poruszenia, jest, miny, wszystko było wiele znaczącym — obnażona z tego wszystkiego, temu tylko może być zabawną, kto sobie zada pracę domyślać się reszty ominionych szczegółów.

—W mieście! — zawołał P. Jacek, — tysiąc podobnych zdarzeń nas spotyka. Gdyby nawet nie zajmować się tylko samými miejskimi ciągłými oryginałami i tychby dosyć było dla zabawy.

—Dodajcie do tego, — przerwałem, — to co wam zapomniałem powiedzieć, że ten sam mój towarzysz stołu kupił tego samego dnia, bez żadnego targu, drogi dość muślin kolorowy (który niewiem jak nazywają) dla córki i P. Fiorentini nie miał przyczyny uskarżać się wcale na niego jak ten nieszczęśliwy Onufry. Powiedźcie mi jak zgodzić to skępstwo i rozrzutność.

—Nie myślę się w to zaciekać, rzekł P. Jacek — pozna już godzina, muszę spieszyć do domu.

—I cóż tam robić będziesz.

—Naturalnie spać— i tego wam wszystkim życzę.

—A ja siadam dopiero do roboty, odpowiedziałem.

—O jedénastéj w nocy?

—To mój zwyczaj, w dzień nic zrobić nie mogę, w nocy jestem sam, wszędzie cicho -- wszystko spi -- jest jakaś rokosz tajemna w takiej pracy -- a żaden z was pewnie wyobrazić sobie nie może skutku jaki na mnie sprawuje odgłos dzwonka bernardyńskiego, dającego mi znak do snu -- o czwartéj!

—Nigdy tym sposobem zdrów nie będziesz, -- rzekł uczeń medycyny; -- sen najzdrowszy przed północą.

—Słyszę to oddawna a jednak -- -- -- Dobranoc wam! -- Dobranoc -- Dobranoc!



4.

ŚMIERĆ RABBI BEN DAWIDA.

—I jak to było— Rachel?

—Stało się, że o północy jak kur zapiał raz pierwszy i złe duchy powychodziły z dziur swoich czyhając na duszę dzieci Syonu, usłyszeliśmy w izbie ciężkie jęki, a matka Ben Dawida wstała i poszła do ognia i zapaliła błonkę i obeszła izbę od łóżka do łóżka, aż przyszła tam, gdzie spał Ben Dawid i nastawiła ucha i posłyszała, że jęki te, były jej syna. A on spał i ciężko oddychał i przez sen płakał i jęczał. A twarz jego była blada, tylko wśrodku z każdej strony czerwoną plamą naznaczona, a ręką prawą trzymał siwą brodę mocno, a lewa spuszczonea była za łóżko.

I zabolało i rozkroiło się serce matki, kiedy zobaczyła to i pomyślała— Niedozżyje liczyby lat swoich, a ja jego nie on mnie płakać będzie!

I poszła i płakała.

Aż usłyszeliśmy jak Meludames (przekręcone nazwisko złego ducha) stukał do drzwi i zadrżeliśmy. Bo w izbie niebył już Machabubes i nic nie odpowiedział i wiedzieliśmy, że przyszła godzina śmierci.

Nagle drzwi otworzyły się i nikt nie wszedł, tylko duch śmierci z nożem, aleśmy go nie widzieli.

I matka patrzyła na syna — ale dusza jego, była w piersiach jeszcze, a zły duch ostrzył nóż na progu.

I widzieliśmy jak Ben Dawid drżał pod pierzyną, bo czuł już nóż blisko — ale dusza jego była jeszcze w piersiach i jęczała jak Daniel w jamie lwiej.

A na ścianie zadrżała śmiertelna koszula i karty Talmudu poruszyły się jak gdyby je Ben Dawid przewracał, a jego ręka ścisnęła brodę siwą.

Nagle westchnął okropnie i męczył się — bo nóż ducha był w piersiach jego — i porwaliśmy pierzyny i bety i poduszki i rzuciliśmy na niego, aby skonał prędzej — i skonał.

Napełniliśmy żalem, płaczem i krzykiem dom cały i podarliśmy suknie i stanawszy na progu jęczeliśmy, aby drndzy wiedzieli, że w

domu naszym wyszedł duch z ciała Ben Dawida, i aby wyleli wodę naczyń swoich, żeby w niej duch zły nie opłukał skrwawionego noża, który był w piersiach Ben Dawida.

A jak tylko na brzask się wzięło, przyszedł zielony wóz i skrzynia i Ben Dawid pogrzebiony został, a my prowadziliśmy go aż do grobu z płaczem i jękiem, bo nie dożył lat swoich i dusza jego powróci jeszcze męczyć się na tym świecie.

O! przeklęty dzień i godzina śmierci jego, zawołał Aaron rwąc włosy, w naszym domu był sen jeszcze i zapomnieliśmy wylać wody naszej, a duch opłukał w niej nóż i na dom nasz padło nieszczęście długie. Tej samej nocy i godziny córka moja powiła dziecko nieżywe w boleściach wielkich!!

I pobiegł do Rabina, a Rachel poszła do domu.



5.

WYLECIAŁA BABA Z KWASU.



Każdy z nas słyszał kiedy był dzieckiem, następną historyjkę, bez sensu (ale za to rymowaną).

Onego czasu,
 Wyleciała Baba z kwasu,
 Uderzyła się o piec,
 Wyleciał z niej malowany chłopiec,
 Aż tego chłopca baran i owca.
 A z tego barana,
 Mleko i śmietana—
 A z téj śmietany,
 Kościół murowany,
 A z tego kościoła,
 Żydowska szkoła,
 A z téj szkoły,
 Wyleciał żyd goły!

Reszta téj ciekawój powieści, która jest najściślej romantyczną (bo niéma sensu) do naszych czasów nie doszła. Dalecy od tego abyśmy mieli profanować to arcydzieło dorabia-

niem końca, tak jak to czynili jeometrowie niektórzy, względem ksiąg Apollonjusza Paergejskiego, starać się tylko będziemy o ile możliwości pozostały tekst rozświecić, i wyciągnąć z niego jeśli się uda, utajony cel, który naturalnie mieć musiał. Bo cóż niema celu? nawet głupstwo wielu osób ma za cel oczywiście podniesienie wartości tych, którzy lubią świecić mądrością między głupcami!!

A naprzód wnioskuję z pomieszanych w niej *sacra profanis*, że musiała być utworzona albo w XVI wieku, albo w końcu XVIII, albo nakoniec w XIX. Pieśni które nam z XVI wieku zostały innym wcale językiem pisane, i pod względem układu od tego apologu, nie równie wyższe, chociaż niższe co do imaginy i wynalezienia, naprowadzają na myśl, że koniec XVIII lub nasz XIX wiek widział urodzenie tego pełnego zapachu, ułamku poezyi.

Leżąc wybierając z XVIII i XIX wieku, każdy spostrzeże, że dzisiejsze płody poetyczne, mają trochę więcej związku, a przynajmniej tajną nić, którą się cała rzecz wiąże, tak na przykład w tych wierszach;

Wlażł na gruszkę,
Rwał pietruszkę,
O! jak słodka cebula!

w tych wierszach jest jeszcze pewien tajemny początek, związek, pewne powinowactwo myśli, bo gruszka, pietruszka i cébula należą równie do roślin. W téj zaś poezyi przedmioty składają *Tohu Bohu* czyli Chaos nieodwikłany i nie zawodnie XIX wiekowi nie właściwy. Staje więc na tém, że poezja ta jest z wieku XVIII.

Niepospolity krok tym domysłem zrobiliśmy; duch czasu, okoliczności, fakta historyczne powinny nam teraz pomódz w odgaśnieniu tego problemu.

Wprzód jednak rozbierajmy częściowo.

Zaczyna się od starożytnéj formy wstępowéj, z wyraźną pretensiją użytéj, pretensiją podobną do szumu góry przed połogiem, która mysz urodzić miała.

Potém wychodzi Baba. Baba u nas jest to wyobrażenie, które w podaniach gminnych oznacza razem istotą złą, i nikiemną. Dowodem obszernego znaczenia tego słowa jest użycie jego w licznych i rozmaitych sensach. Raz Baba jest czarownicą, stworzeniem o garbie, o jednym zębie, o tajemniczych obrzędach, potém Baba jest zatykadłem komina, workiem starym wypchanym słomą— jeduém niczém, potém nadano jéj jeszcze znaczenie ciasta wyrosłego do góry, a często zakalcowego i pró-

żnego w środku, наконец wyobraża jeszcze kłoc drzewa nieociasany, a mocno tłukący.— Wszystkie te nikczemne przedmioty oznacza wyraz Baba, który skutkiem tego nasuwa wyobrażenie rzeczy, po której się nic spodziewać nie można— jednego niczego.

Z tego *nic*, przez małą bardzo czynność, a raczej przypadek rodzi się chłopiec młody, *malowany*, to jest piękny podług najpospolitszego znaczenia — czerwony i biały — krew z mléką. Chłopiec zaś młody oznacza nadzieję, początek, wielkość w kolebce. Dotąd więc urodzenie chłopca ze stariej Baby, przez nic nieznaczący i w innym przypadku guzy tylko rodzący sposób, oznacza — urodzenie bezprzyczynne prawie nadziei z niczego.

Chłopiec ten, sam jeden z początku w następnym dystychu rozradza się na dwie rzeczy, na barana i owcę, oczewiste *incrementum* nadziei, oczwiste wyrośnięcie niczego.

Lecz niedość tych cudów, oto nadzieja ta — to *nic*, cudem nowym wypada z tamtąd z kąd się jej najmniej spodziewać wypadało — Z barana — mléko i śmietana! Idzie więc do góry wszystko, rośnie najdziwniejszym sposobem tak dalece, że z mléka i śmietany wypada — kościół murowany! to już najwyższy punkt wzniesienia się!

Redukujmy więc to zrównanie algebry gminnej, do najprostszój formy.

Widzieliśmy nic, z którego rodziło coś, powiększało się, rosło i wyszło na rzecz wielką.

Bo kościół oznacza bez wątpienia rzecz z ludzkich i ziemskich rzeczy najwznioślejszą, najwspanialszą.

Ale tu najwyższy punkt wzniesienia i to cośmy niczém i czémś rosnącym widzieli zniżać i upadać zaczyna — Oto już kościół powstawszy z niczego zmienia się w szkołę żydowską, a z niej schodzimy na jedno nic, na żyda — na żyda gołego, na rzecz prawie równą téj od której wyszliśmy.

Niektórzy filozofowie dodają jeszcze jeden dystych, który że się z główną myślą, téj osobliwszój allegorij zgadza, wypisujem

A z tego żyda,
Wyleciała bięda!

Bięda! to gorzej niż nic, spadamy więc stopniem niżej od tego, z czegośmy do góry polecieeli.

Teraz rozumiem, że już każdy pojmie myśl główną i ogólną, téj zawikłanej filozoficzno-fantastycznój zagadki.

Ma ona oczywiście oznaczać to, co z każdej filozofij i z filozofij XVIII wieku wypadło, to

co Salomon powiedział — *Vanitas vanitatum!*

Nadzieje z niczego się rodzą, idą wysoko. a rzeczywistość rzuca je znowu nisko — i ludzie tak samo, rodzą się zwierzętami, wyrastają na pół bogów, umierają zwierzętami znowu! —

Wszystko wyrasta z niczego — i z wszystkiego nic będzie na końcu. Największa! najważniejsza filozoficzna prawda, najpopularniejsza, najrozumialsza.

A koby na jój poparcie szukał jeszcze czego niech patrzy na świat, niech czyta Agrippy *de Venitate scientiarum* (z kąd Russo ukradł swoją konkursową rozprawę, osobliwie część przykładową), niech czyta Salomona, niech czyta wszystko co chce i niech myśli.

Wyniknie i z niego i z czytania na końcu to co z téj bajki — nie!!



6.

ROMEO I JULIA.

DO PANNY SYDALJI N.....

— 2844 —

Tal misero fine ebbe l'amore di Romeo e Giulietta, como udito avete, e come a me pellegrino da Verona racconto!

Luigi da Porto.

Nie wiem czy jest co bardziej upokarzającego dla ludzi nad to, że w połowie ich życia los działa, nie oni. Świadkiem tego wszystkie znajomości trafunkowe, które jednakże często na długie lata wpływają i rozrywają się oddaleniem, które przypadek sprowadza, a człowiek naprawić nie umie.

O! jak straszna jest znajomość dwojga ludzi, którzy poznawszy się, rozbiegają przeciw swojej woli i potem długo, do śmierci się nie widzą. A jednak takie znajomości są często naj-

droższém wspomnieniem, najpiękniejszą nadzieją towarzyszącą do grobu. Ci, których poznamy, żeby utracić, zostają w duszy droższymi od tych, których mamy nie znając; — ale dość téj perory, którą ludzie pewno fałszywie rozumieją, lub nie rozumieją wcale.

Tomik Shakspeara leżący przypadkiem na stoliku, przypomniał raz Pani, że Shakespeare pisał *Romeo i Julję*, chciałaś Pani, żeby Romeo i Julja mogły być po polsku, bo Pani umiesz czuć piękności Shakspeara.

I ja nie raz potém, myślałem nad tém samym; lecz tłómaczenie zdawało mi się nadzwyczajnie trudne, a sztuka przelana dzisiaj na nasz język musiałaby znacznym uleść odmianom.

Nie mogąc więc zadość uczynić żądaniu, które koniecznie uskutecznić chciałem, tysiąc robiłem projektów. Kiedy przypadkiem wpadłem na Novellę włoską z XVI wieku, zamykającą całą powieść o Romeo i Julji, powieść z której Shakespeare zrobił tragedję. Zdaje mi się, że nie można być obojętnym na ten pomnik, który posłużył do odkrycia, wiele w Romeo i Julji jest jego, a wiele cudzego, przedsiębiorę więc zdać Pani sprawę z powieści włoskiej, nie mogąc jój porównywać z Shakes-

pearem, bo go nie mam pod ręką. Zostawuję tę pracę komu innemu.

W Edycji Medjolańskiej (1804) klasyków włoskich, pod tytułem: *Edizione delle Opere Classiche Italiane dedicata al cittadino Melzi d'Eril, vice-presidente della Rpblica Italiana* (Nro 41), w *Raccolta di novelle dall origine della lingua Italiana fino al 1700-- Volume II. do pag. 175*,-- znajduje się powieść ta, z której Shakespeare ułożył swoją tragedję, wzięwszy z niej nie tylko wypadki i imiona osób, ale cały ruch i układ rzeczy, a nawet wiele całych myśli. Powieść ta jest prawdziwą, *Luigi da Porto* wypracował ją bardzo starannie; nosi tytuł następujący:

„*Storia di due nobili amanti con la loro pietosa morte, avvenuta gia in Verona nel tempo del Signor Bartolomeo della Scala e scritta da Luigi da Porto.*“

Położona w tym zbiorze po Belfegorze Machiavellego, bardzo od Włochów cenionym, nie ustępuje mu co do języka, stylu i obrobienia. Porównanie jęj z Shakespearzem bardzo ciekawe, może na nieszczęście niebyłoby dla niego korzystne; bo już i tak niektórzy dzisiejsi francuzcy pisarze zaczynają go nazywać prostym dramatizorem kronik, zapomniawszy, że jemu winni jeszcze cały systemat sprze-

eźności i mięszania wielkich rzeczy z drobnemi, że jemu winni połowę swoich myśli i odmianę smaku. Jeżeli też i jego jenjusz nie przeżyje swoją sławą XIX wieku, nie wiem czyj potem odważy się prosić o nieśmiertelność.

Wydawca téj powieści (Medjolański) całą jej historję pod względem literacko-bibliograficznym opisuje dość starannie; powiada on (1), że niektórzy przypisują wykończenie novelli sławnemu Piotrowi Bembo.

Dwa pierwsze wydania téj powieści ukazały się w Wenecji: pierwsza u *Benedetto Bindoni* r. 2535 *in 8vo*, drugie u *Marcollini* 1539 *in 8vo*. Trzecie zebrał i wydał w Vizencji, *Cavaliere Michelangiolo Zorzi*, który także poezję L. da Porto do tego wydania dołączył.

Pierwsze zaś wydanie miało być staraniem Piotra Bembo, którego list z Padwy 10 Lutego 1531 roku do Bernardyna da Porto, brata Ludwika (autora) (2) chęć mienia téj powieści w swoim rękn poświadcza. Z różnicy wy-

(1) Alcuni credono, che il gran Pietro Bembo, lume chiarissimo della volgar favella, vi ponesse mano, e la conducesse a quel singolar grado di perfezione, di cui vedesi adorna.

(2) Vol. III. Li. VI. Listów Piotra Bembo.

dań i listu tego domyśla się więc wydawca, że Bembo dosypał swojego, trzyma się zaś co do główniej osnowy wydania Bindoniego, niewzgardzając, jak sam powiada, i innemi, którychby wyjątki dodały wartości powieści.

Luigi da Porto, autor z dobrej i dawnej familji vicenckiej, synem był Bernarda i Elżbiety *di Niccolo Savorgnano*, służył w wojsku Rzplitej Weneckiej i był Kapitanem lekkiej jazdy (1); później wrócił do rodzinnego miasta i tu umarł (2), mając lat 44 r. 1529. Był przyjacielem Piotra Bembo Weroniki *Gambara*, Emilji *Pia de Montefeltro* i wielu innych znacznych osób, Gonzagów, Książąt Urbino, do których mu przystęp urodzenie i talenta dawały.

Powieść o Romeo i Julji przypisał krewnej swojej Lucynie Savorgnana.

Zaczyna od oznajmienia, że opowiadanie to słyszał od wojskowego towarzysza Weroneńczyka, wiecznie zakochanego i mnóstwo miłosnych novelli umiającego, i mówi jego słowami. Czas wypadku oznaczony jest rządami Bartolomeo della Scala, za którego to się dzia-

(1) Cavaì leggieri.

(2) Vita di M. Luigi da Porto, premessa alle sue rime e Novelle Vizenza 1751 pel Lavezzari.

ło (i za którego żył ojciec Weroneńczyka).— Była więc w Weronie dwie znaczne familje Cappellettich (1) i Montecchich (2), poróżnione śmiertelnie dawną jakąś niesnaską, ale już o tym czasie kiedy się powieść zaczyna, uśmierzała się kłótnia i schodziła na powolną nieprzyjaźń, bez bitew, które wprzód z obu stron, śmierci wielu osób były przyczyną.

Opowiadający, ażeby oznaczyć lepiej stan, w jakim te nieprzyjazne familje między sobą zotawały, dodaje, że po większej części ludzie mówili do siebie. Gdy tak prawie są pogodzeni, nadchodzi karnawał, w czasie którego Antoni Cappelletti, człek wesoty i lubią-

(1) *Cappelletti sono chiamati quei soldati a cavallo, che per altro nome son detti Albanesi. Adri. Politi. Ditt. Toscano. Z tad nazwisko Cappellettich.*

(2) Pzzerobiono nazwiska na *Capuletow* i *Montagu*, a dziś znalazł się jeden podróżny (*Prince Pueckler Muskau. Memoires et voyages*), który utrzymuje, że Shakespear niepotrzebnie przeniósł scenę z Anglii do Werony, bo (według tego podróżnego parkomana) miało się to dziać w Anglii!!!! Wielka i niedarowana wiadomość ta pochodzi ztąd, że w Anglii jest familja *Montagu* (z której była sławna Lady Montagu); nie wart jednak ten błąd refutacji, bo nie dawno jeszcze (1826) widziano w kościele Kapucynów w Weronie grób Romea i Julji u wchodu.

cy zabawy, daje u siebie rodzaj balu dzień i noc trwającego, na który zbiega się całe miasto Werona. Idzie tam także w masce jeden z Montecchich, chłopiec młody — Romeo.

Tu poznaje on Julję i ona jego, a nie czekając dalej oboje zakochali się w sobie. — To nagłe pokochanie się, jak zwyczajnie u novelistów, jest tylko skutkiem nadzwyczajnej piękności obojga.

W tańcu Julja staje między Romeo a Marcuccio Guercio (pierwszy i ostatni raz wspomnianym tu w powieści), który, powiada autor, był takięj natury, że i w Lipcu i w Styczniu zimne miał ręce (1). Z jednej strony Marcuccio trzymał ją za rękę, z drugiej Romeo (2); odezwała się więc Julja do Romea.

—Błogosławione przyjście twoje, Signor Romeo!

—Jakto? błogosławione przyjście moje?

—Tak! błogosławione przyjście twoje, bo

(1) Z tego to Shakespeare wniósł sobie czy ułożył, że wprowadzając Marcuccia na scenę, trzeba mu nadać zimny i przedrwiwający charakter. Nie znał zapewne niemieckiego przysłowia: *Warme Haende, kalte Liebe* — i *kalte Haende, warme Liebe*. Fizjologowie niech rozsądzą, czy to przysłowie jest bezzasadne.

(2) W tańcu, który nazywa autor *torchio* i *cappello*.

mi rozgrzewasz jedną rękę, gdy Marcuccio mrozi mi drugą.

I na téj rozmowie koniec ich pierwszego widzenia się. Po balu oboje myślą, obojga myśli autor wypisuje. Potém niespokojny i zakochany Romeo, aby Julję zobaczyć, przedzięra się kilkakrotnie pod jęj okna. Zaczynają się tajemne nocne rozmowy -- ale zdaleka tylko, bo on na dole, ona w oknie.

Julja pokazuje się na balkonie -- on sądząc, że to kto inny; uciekać chce -- ona poznaje i woła go po imieniu.

—Romeo, co tu sam robisz o téj godzinie?

A on poznawszy ją odpowiada:

—To, co mi miłość każe.

—Kiedy tak dłużej czynić będziesz, Romeo, możesz umrzeć.

—Pani, -- odpowiedział Romeo, -- mogę umrzeć łatwo i umrę pewno której nocy, jeśli mnie nie poratujesz. I wszędzie równie jak tutaj śmierć idzie za mną, ale chcę umrzeć najbliżej ciebie, jak mogę, ciebie, z którąbym żyć tak gorąco pragnął, gdyby niebo i tyś zezwoliła.

—Jabym temu nie była przeciwna -- ale nieprzyjaźń naszych domów?

—Wierz Juljo, ja żądam ciebie tyle, ile człowiek tylko żądać czegokolwiek może -- jeśli ty

zechcesz być moją, jak ja chcę być twoim -- reszty się nie boję.

Charakter téj rozmowy nierównie jest zimniejszy od Shakspearą — zdaje się czytając ją, że się długo znają, kochają długo i długo o połączeniu się myśleli, które między sobą dość zimną krwią roztrząsają. Niema tu wcale tych uniesień, które były powodem śmiechu z Shakspearą zimnemu Wolterowi i podrzeczniaczowi P. Joui (1), nie ma téj karykaturalnej prawie miłości, która kazała wnosić Panu de Balzac (2), że Shakspeare w Romeo i Julji stroił sobie żarty z miłości i umyślnie śmiesznie ją przesadzoną wystawiał; --- a my to wszystko w prostocie ducha wzięliśmy za prawdę, co on wyśmiewał.

Włoska rozmowa jest bardzo prosta, bardzo naturalna, Julja z góry zapowiada, że tylko *onestamente* żyć może z Romeo i ze swoją miłością nie nadto gorąco dotąd się oświadcza --- może więc być narcście, że P. Balzac odgadł tajną myśl Shakspearą — niech sądzą znawcy, a ja nieuwierzę, wielki jenjusz nie zmęczy się długą choć przesadzoną ekzaltacją w dobrej wierze utrzymaną, ale by niewy-

(1) *Les Hermites en Prison*— P. Jai et Joui.

(2) *Contes Bruns. P. de Balzac. Les Trois Soeurs.*

trwał w tak długim żarcie,* w tak długiej i fałszywej myśli--- a potem, koniec tragedij może być żartem? Prawda! dawniejsza miłość, dziś śmiało za żart uchodzić może--- dziś, kiedy miłość jest tak złuna i rozumna.

Oto druga rozmowa włoska, niemniej rozumna od pierwszej.

—Za cóż mi każesz dręczyć się tak długo? czy nie masz litości nademną, że codziennie o jednym czasie, idę z tej ulicy patrzeć tylko na ciebie.

—O! ja się lituję nad tobą, ale cóż więcej mogę uczynić? chyba cię prosić żebyś nie przychodził.

—Puść mnie do swego pokoju--- tam wygodniej rozmawiać będziem. A Julja obrażona (quasi sdegnando) odpowiada.

—Romeo, ja cię tyle kocham, ile można kochać bez grzechu, i czynię co tylko cnota moja pozwala, zwyciężona twoją miłością; ale niemyśl długo mnie uwodzić, lub cieszyć się mojem kochaniem jak kochanek tylko--- porzuć te myśli bo są próżne. Ażebyś dłużej nie wystawiał się na niebezpieczeństwa, na które narażasz życie swoje, przychodząc tu w nocy-- powiadam ci, że jeśli mię wezmiesz za żonę, oddam ci się cała i pójdę wszędzie za tobą, bez żadnego względu.

I tu Julja radzi kochankowi, aby się udał do braciszka franciszkana Lorenzo spowiednika jój, któremu załatwienie téj sprawy radzi powierzyć.

Brat Lorenzo (1) opisany jest jako filozof wielki i czarnoksiężnik— na szczęście jest on także najlepszym przyjacielem Romea, któremu się we wszystkich innym skrytych tajemnicach swoich, powierza. Przyjmuje on zwierzenie się Romea i pośrednictwo w ich miłości w nadziei, iż tym sposobem dwa poróżnione domy pogodzi.

Julja idzie się spowiadać i tajemnie zaślubiona zostaje swemu drogiemu Romeo — zaślubiny ich ukrywane być muszą, bo ojciec jest temu przeciwny — nadzieja pozostaje w odwłóce. Lecz właśnie jakby naumyślnie odradza się silniéj znowu nienawiść dwóch domów tak dalece, że do bitwy przychodzi. Nie chce jój Romeo dzielić z innemi, aby którego z krewnych Julij nie zabił, ale gdy jego strona przegrywa, zwyciężony gniewem i zemstą, napada na Teobalda Cappelletti, zabija go, a tą śmiercią przestraszonych Cappellettich rozpędza. Zabójstwo jest tak jawne, że nie można nawet myśleć go ukrywać — cały dom Cap-

(1) *Dell' ordine Minore di Osservanza.*

pellettich czyha na niego, musi więc uciekać z Werony, lecz wprzód u mnicha Lorenzo pod pozorem spowiedzi spotyka się z Julją.

—Co pocznę bez ciebie? zaczyna Julja, serce nie da mi żyć dłużej — lepiej żebym poszła z tobą, gdziekolwiek się obrócisz, utnę te długie włosy i pójdę jak twój sługa, będę ci służyć tak dobrze, tak wiernie jak nikt lepij niepotrafi.

—Nie daj Boże, duszo moja droga, abyś gdy pójdziesz, szła zemną inaczćj jak żona— wiem że ta sprawa długo tak zostać nie może i pókój nastąpi. Ty Juljo przeżyjesz dni kilka bez mego ciała, a dusza moja zawsze będzie z tobą. Jeśli się to, jak myślę nieukończy, inaczćj poradzim sobie.

Romeo wyjeżdża do Mantui— Julja zostaje niepocieszona, twarz jćj blednie i oczy od łez gasną, widzi to matka i czule ją o przyczynę smutku wypytuje.

—O córko moja! równo mi z życiem droga, czego się tak dręczysz, że i chwili bez łów nie jesteś? jeżeli żądasz czego, powiedz mi, wszystko co mogę uczynić, aby cię pocieszyć.

Lecz Julja cóż może powiedzieć matce? milczy i biedna matka, myśli że młoda, sama, tęsknieje bez męża. Idzie więc do ojca i namawia go aby ją za mąż wydał — jeden z Ilra-

biów *di Lodrone* przeznaczony zostaje za męża dla Julij.

Myśląc, że rozweseli i uszczęśliwi córkę, matka spieszy do niej z tą nowiną.

—Ciesz się córko moja, za kilka dni będziesz miała mężem sławnego i godnego *gentiluomo* i ustanie przyczyna twego płaczu, której chociaż mi powiedzieć nie chciała, alem ją dociekła za łaską Bożą, i tyłem z twoim ojcem pracowała, że ci się stanie zadość.

Julja płacze znówu, ale matka niewyobrazając sobie, aby ją ta nowina martwić mogła, myśli tylko, iż jój niewierzy, potwierdza więc znówu wszystko i za ośm dni wesele obiecuje.

Tu płacz Julij powiększa się jeszcze i nakoniec przychodzi wyznanie, że obiecane zamęście nie cieszy ją wcale.

—Czegoż więc żądasz, mów, a ja ci uczynię.

—Umrzeć matko— i nic więcej!

Madona Giovanna nie mogąc już pojąć co ma robić, prowadzi ją do ojca, i przed nim Julja wymawia się od projektowanego męża.

—Chcesz że wstąpić do klasztoru? woła ojciec. Ale i na to nie zgadza się Julja-- matka i ojciec pojąć nie mogą, co się z nią dzieje. Przy-

ciśniona uwiadania Julja, przez zaufanego sługę Piotra i brata Lorenza, Romea, aby ją ratował, a on odpisuje, iż za 8 lub 10 dni jakimkolwiek sposobem porwie ją z domu rodziców. A tym czasem rodzice przyspieszyć chcą związek z *Conto di Lodrone* i nagłą, ostatni ratunek w bracie Lorenzo i do niego ucieka się Julja.

Prosi więc matki bardzo zrzęcznie, aby jej znowu spowiadać się pozwoliła.

—Matko moja, niechęć abyś się dziwiła, iż ci przyczyny płaczu mojego nie mówię,— bo ja go niewiem sama, lecz czuję w sobie jakiś smutek który mi własne życie zbrzydził— nie pochodzi on od tego co ty matko i ojciec mówicie, ale pewno z popętnienia jakiego grzechu, którego sobie przypomnieć nie mogę. A ponieważ przeszła spowiedz bardzo mi pomogła, pozwól mi spowiadać się znowu, a w bliską Wielkanoc, przyjąć słodkie lekarstwo ciała pana naszego.

Co za koloryt włoski, w téj pomięszanej miłości i nabożeństwie, księżach i kochankach, spowiedzi i schadzkach.

Matka zezwoliwszy na żądanie córki, prowaździ ją do kościoła, gdzie Julja prosi na spowiedzi Lorenza o pomoc jakąkolwiek— w mawia mu, że jej pomódz może jeśli tylko zechce, opisuje swoją miłość i wierność dla Ro-

mea, a brat Lorenzo nakoniec, złamany jęj proźbami. obiecuje, że przez przyjaźń dla Romea, zrobi dla niej to czego by nikomu nieuczynił— ale pod warunkiem ściślej tajemnicy.

Julja więc prosi o truciznę! Zakonnik odmawia wystawując jęj wielki grzech z tąd, a raczej wielką szkodę jęj młodości i wdzięków, potęm podaje jęj następny sposób połączenia się z Romeo.

—Wiesz, że grób Cappellettów jest w naszym kościele. Ja ci dam proszek, który wypiszy, będziesz przez czterdzieści ośm godzin mnięj więcęj tak jak spiąca, a żaden choćby najbieglejszy doktor niedojdzie żeś żywa, potęm bez wątpienia pochowają cię, jak innych twoich przodków w waszym grobie, a ja jak czas przyjdzie wezmę cię z tamtąd, i schowam w swojej celi, póki nie będę szedł na kapitułę do Mantui, gdzie cię z sobą w sukni mniszej do męża zaprowadzę. Lecz czy nie będziesz się lękać krewnego twego Teobalda nie dawno tam pochowanego?

—Ojcie ! odpowiedziała Julja, będę miała odwagę przejść przez to piekło, żeby się z Romeem połączyć!

Przedewszystkiem jednak kładnie za warunek Lorenzo, aby napisała własną ręką do Romea, nim zaśnie, który sądząc ją w istocie u-

marłą, mógł się z rozpaczry rzucić do jakiej stateczności — Bo wiem — dodaje mnich, że cię kocha nad wszystko — Oddasz mi list, a ja go wiernym prześlę posłańcem.

Te słowa powiedziawszy idzie mnich do celi i przynosi małeńkie z proszkiem naczynie (1), przestrzega ją że ma go wziąć o czwartej godzinie w nocy z czystą wodą, przypominając aby napisała list do Rómea.

Julja powraca do matki z temi naiwnemi słowy.

—Prawdziwie! brat Lorenzo jest najlepszym spowiednikiem w świecie, tak mnie ośmielił, że przeszłego mego smutku już wcale niepamiętam!

I wrócili do domu.

Przychodzi owa czwarta godzina w nocy, kiedy Julja bierze proszek w zimnej wodzie. Służąca jej przytomna jest temu, a gdy odchodzi, Julja wstaje, ubiera się jak na śmierć, kładnie i ręce na krzyż na piersiach składa — czeka skutków napoju i — we dwie godziny jest już na pozór umarłą.

Rano znajdują ją zimną i obudzić nie mogą, — przypominają sobie zaraz jak piła wodę z proszkiem jakimś i mówiła, że ją gwał-

(1) *Un piccolo vasetto di polvere.*

tem za mąż nie wydadzą— Żal służącej która jęj wodę podawała jest okropny, rzuca się wyrzekając na jęj ciało i płacze — wszyscy sądzą, że wzięła truciznę— ojciec posyła jeszcze po najslawniejszego lekarza z Werony, ale ten potwierdza tylko wzięcie trucizny i śmierć!

Rospacz matki opisana jest gorącemi choć krótkiemi słowami, jest jednak więcej patetyczna niż naturalna. Potém następuje wspamiętały pogrzeb w grobach Cappellettów u franciszkanów.

Tym czasem list Julij napisany do Romea, zakręca się w drodze dziwnym sposobem. Lorenzo któremu był powierzony, dostaje rozkaz oddalenia się za sprawą klasztorną i list ten oddaje jednemu z braci, idącemu do Mantui. Ten przybywszy i nieznalazłszy Romea w domu, a niechcąc go oddać komu innemu jak jemu samemu w ręce, zatrzymuje go, gdy tym czasem Piotr sługa i powiernik Julij leci do Mantui z nowiną o śmierci swojej pani.

Przybywszy tam Piotr, uim ten ksiądz, oddał list Julij Romeo — opowiada mu wszystko.— Romeo porywa naprzód szpadę i zabić się chce, lecz rozbrojony, woła.

—Życie moje dłuższem być nie może, bo życie moje umarło! O Juljo moja, ja jestem two-

jéj śmierci przyczyną— bom ci pisał, że przybędę porwać cię od ojca i nieprzybyłem — tyś umarła żeby mnie nie opuścić i nie naleźć do drugiego, a ja z bojaźni śmierci, miałbym żyć sam jeden?— O! tak nie będzie.

I włożywszy ubogie i ciemne ubranie Piotra, jedzie z nim Romeo do Werony. Przybywszy i lękając się aby nie był poznany (bo go za zabójstwo Tebalda prześladowano) ukrywa się w kościele, czeka nocy, aby się udać do grobu i na nim zabić się (1).

W nocy Romeo uzbrojony latarką, wielkiem wysileniem ciężki kamień grobowy Cappelletich podnosi i wchodzi i leci przez kości i trumny do Julij.

I ujrzał piękną Julję swoją wśród kości i popiołów jak umarłą leżącą i płakać zaczął narzekając.

O! oczy, drugie oczy moje, zgasłyście— jasne światła! o! usta tysiąc razy słodko całowane, z których tyle rokosznych słów słyszałem,

(1) Era questa Chiesa nella Citadella, ove questi frati in quel tempo stavano, e avvegnache di poi, non so come, lasciandola venissero a stare nel borgo di S. Zeno, nel luogo che ora S. Bernardino si nomia, pure fu ella dal proprio S. Francesco già abitata, presso la mura della quale, dal cento di fuori crano allora appoggiati certi avelli di pietra etc. etc.

o piękne piersi, któreście moje serce tak gościnnie przyjęły— znajduję was zimne, nie poruszone milczące! Bez was jakże ja żyję, poruszam się i mówię! o! biedna moja, gdzież cię miłość zaprowadziła? Tutajże to dwoje smutnych kochanków, po długim niewidzeniu zobaczyć się miało? Także miał być koniec wszystkich moich nadziei— Nieszczęśliwe życie, na cożes mi się zdało?

Czemu te mury, co nademną stoją, niespadną na moją głowę i nie skończą go prędcój!

I to mówiąc wyjmował truciznę Romeo i pił.—

—Co za przeznaczenie przywiodło mnie tu, umrzeć na grobach nieprzyjaciół? Umrzeć — lecz kiedy ona mogła, czemuż ja nie potrafię.

I trucizna już była w piersiach jego (1), a on rzucił się jeszcze na ciało kochanki.

—O piękne ciało, wołał, piękne ciało, cel najdumniejszych życzeń moich, jeśli ci po odejściu duszy, została jeszcze cząstka czucia, jeśli mnie czujesz umierającego tak okropnie— niech cię to niegniewa— jakżem miał żyć bez ciebie?

(1) Zdaje się, że myśl do ostatniej sceny Hernaniego, mogła podać ta scena, którą Romeo kończy passując się z trucizną.

I ścisnął ją, całował oblewając łzami, aż w jego uścisku odżyła Julja i obudziła się, a czując, że ją czyjeś otaczają ręce, myślała że mnich zdradził ją i Romea.

—Gdzież jestem? -- woła, -- kto mnie ścisną? nieszczęśliwa! kto mnie całuje? -- ach! -- Takżeś to ojcze dochował wiarę dla Romea? także to oddajesz mnie całą w jego ręce?

Lecz Romeo czując jej poruszenia, słysząc jej słowa struchlał i myśl jego wpadła na Pigmaljona.

—Nie poznajesz mnie, droga moja? nie widzisz mnie, ja smutny mąż twój jestem; przyszedłem tajemnie z Mantui unieść na twoim grobie.

I Julja poznaje go, podnosi się i ścisną go znowu.

—Jak się stało żeś tu przybył, gdy ci listem doniosła, że będę dwa dni umarła, a potem z bratem Lorenzo dostanę się do ciebie.

Romeo porywa się przestraszony.

—O losie mój przeklęty! nieszczęśliwy Romeo! jam nie odebrał twego listu!

Położenie kochanków coraz straszniejsze się staje, Romeo opowiada jej, że przed chwilą wziął truciznę, że czuje ją w sobie. Julja w rozpacz bije piersi, targa włosy i pada.

—Tak więc przy mnie i przeznaczenie u-

mrzec masz? I niebo pozwoliło, żebym cię choć chwilą przeżyła? Czemuż nie mogę dać za ciebie życia mego i umrzeć sama jedna?

—Jeśli ci miłość moja drogą była! żyj Juljo, żyj, proszę ciebie.

—Ty umierasz dla mojej zmyślonej śmierci, nie mamże ja umrzeć dla twojej prawdziwej. O! mam nadzieję, że cię i chwilką nie przeżyję, że będziemy konać razem.

Julja przchita upada i tchem ostatnim szuka ostatniego westchnienia Romea, aby się ich dusze połączyły, gdy z ciała wychodzić będą.

W téj chwili Lorenzo, wiedząc, że przyszedł czas przebudzenia po proszku, zdziwiony naprzód przez szparę grobów ujrzaném światłem, podnosi kamień i wchodzi.

—Na miłość Boga! -- woła zakonnik, -- zamykaj trumnę i chodź! zdaje mi się że mam nóż w piersiach i z bólu i przestachu umieram!

—O ojcie mój! ojcie, — dobrześ list oddał, dobrześ mnie poślubił, dobrze oddasz mnie w ręce Romea; spójrz, oto umarły leży na moich piersiach!

Mnich słyszy całe opowiadanie — ośupiały, nie wie co począć, rozpacza i odchodzi od zmysłów.

—O Romeo, co za nieszczęście odebrało mi ciebie! przemów choć słowo; odwróć odemnie

oczy twoje. O Romeo, spójrz na twoją najdroższą Julję! czemu téj nie odpowiadasz, na której łonic spoczywasz.

Na imię Julji Romeo podnosi oczy mdlejące (*i languidi occhi*) — i umiera.

Gdy się ku dniowi miało, po długim płaczu i narzekaniu, mnieh wręście Julji zapytał:

—A ty Juljo co poczniesz?

—Umrę jak on.

—Jakto córko? nie mów tego, możesz się zamknąć w zakonnim klasztorze, możesz resztę życia modlić się za siebie i za zmarłego męża twójego.

—Ojcie, innć łaski nad tę jedną nie proszę, którą uczynić, zaklinam na to przywiązanie, któreś miał ku niemu. Pozwól mi umrzeć i niech nasze ciała w tym samym leżą grobie, niech ojcowie nasi, w imię téj miłości, która nas łączyła, która nas do jednéj przywiodła śmierci, pozwolą, abyśmy tu razem spoczywali!

I Julja rzuca się znowu na ciało Romea.

—Coż będę robić z życiem bez ciebie mój luby! — coż mi innego zostało, jak pójść za tobą? O! śmierć jedna mogła nas rozdzielić, ale i ta nas nie rozdzieli!

I Julja umiera.

Włoska powieść jeszcze się na tém uie kończy — opisano jakim sposobem dowiedzieli się

ludzie o losie Romea i Julji. Bratu Lorenzo wywiązała się z tego brzydka sprawa, w której posadzony został o obdzieranie trupów — zmuszony naleganiem i siłą, braciszek długo tłumaczy się i wywija — ale nieprzyjaźni mu zakonnicy, podlegają na niego.

Tymczasem rozchodzi się wieść, dowiadują się Cappelletti i dziwią się nie pojmując, co w ich grobach robi trup Romea Montetchi. Przyciśniony Lorenzo opowiada nareście jak się to stało.

Dwa ciała wniesione zostają do kościoła. Bartolomeo della Scala ulitowany nad losem kochanków, w mnóstwie ludu, idzie zobaczyć ich także. Tu tak długo nieprzyjazne dwie familje, połączone żalem, zjednoczone łzami, godzą się, podają sobie ręce i ściskają się.

Scena wielka — prawdziwie teatralna! cudowna!

Kończy się na wystawieniu pomnika wspamiętającego dla Romea i Julji; pomnika, który przed kilku laty jeszcze stał w Weronie u Kapucynów niedaleko wchodu.

Tak nieszczęsny był koniec miłości Romea i Julji, jakieście słyszeli, i jakim ja wam pielgrzym Weronieński opowiedział!

Długi wykrzyknik autora nad zepsuciem czasów, nad niewiernością kochanków i t. d.

zamyka smutną i tém smutniejszą, że prawdziwą powieść (1), której treść niezgrabną oddaje Pani, nie mogąc nic więcej dla Romea i Julji uczynić.

Z resztą Pani, co tak łaskawie i grzecznie umiesz *karty rozdzierać*, jeśli się te nie podobają, możesz i z niemi postąpić sobie jak z pewną kartą znajomej mi książki. Ja to przyjmę z taką wdzięcznością, jak tamtę przyjąłem -- bo kto rozdziera ten czyta przynajmniej; -- a i to wielka pociecha!!

(1) Powieść ta w Medjolańskiej wyż cytowanej edycji in 8vo majori, zajmuje (Nro 41 Novell. Vol. 2.) od 173 do 215 karty.



NIEBOSZCZYK HOFFMAN.



Nieboszczyk Hoffman za rządu pruskiego był Konsyljarzem w Warszawie, — ale wówczas nikt się nie starał o jego znajomość — nikt go nie znał — jego, który w lat kilkanaście miał poruszyć wszystkich belletrystów, romansopisarzy, poetów prawie całej Europy, jedném skinieniem swojego fantastycznego pióra. Talent jego kwaśniał z początku na suchych urzędowych pismach, na czynnościach prozaicznych, które umysł mniej czynny, mniej gorącą wyobraźnię, mogły przydusić i ostudzić. Ale on! — on biedne swoje ubogie życie całe walcząc z najprozaiczniej-zemi potrzebami jego, w duszy jak się urodził tak został poetą.

Dziś i u nas przez tłómaczenia znają już powieści Hoffmana (*Szczęście w karty* w *Dzien.*

Wileńs., *Dwór Króla Artura* tamże, *O Hoffmianie i wyjątki* tamże; wszystko tłómaczone z tłómaczenia P. Loeve-Veimars przez Rogalskiego); ale mało kto umie je cenić, mało kto z nich poznał duch pisarza, bo tłómacz wybrał z jego pism najmniej oryginalne, najmniej pod względem wynalezienia i imaginacji odznaczające się.

Żeby poznać Hoffmana trzeba go przeczytać całego, przeczytać raz i drugi. i wpoić się w jego najtajniejsze myśli, trzeba się zniemczyć czytając, aby zasmakować w tej niemieckiej potrawie.

Jan Paweł Rychter jest także bardzo narodowym pisarzem niemieckim, ale daleko mniej popularnym od Hoffmana, trudniejszym do zrozumienia dla stylu i form nasrożonych różnego rodzaju przenośniami i erudycją. Jan Paweł znany jest Europie ledwie z kilku tłómaczeń; Francuzi mają tylko tłómaczenie jednego romansu dawne, wyjątki z jego dzieł *Pani Stael* i nowo (1834) tłómaczonego *Titana*. U nas jest *Kmotr Maciej* jedno z najwolniejszych pism pod względem obyczajowym i religijnym, wyjątek z *Siebenkaese* tłómaczony w Tygodniku Petersburgskim, i *Śmierć Anioła*, powieść allegoryczna. Więcej nie znamy Rychtera, a i ci co są dobrze

z językiem niemieckim oswojeni, bardzo trudno niektóre jego wykrzykniki i długie frazesy wyrozumieć mogą. On więc będzie długo nieznanym i na słowo tylko Niemców cenionym w Europie — ale Hoffman! — tak dziwny, tak poetyczny, tak jest przytém prosty w układzie i stylu, że już go wszędzie przetłómaczono.

Mają go nawet w Anglii, w Anglii tak dumnej swoją literaturą, tam przemysł księgarski wlał go do wielkiej masy ksiąg angielskich, łapczywie rozechwytywanych i zapominanych tak prędko!

My, jakem mówił, znamy tylko okruszyny Hoffmanna, dwie czy trzy powiastki (bo zapomniałem *Pannę Scuderi*), ale nie znamy *Księżniczki Brambilli*, nie znamy *Marino Falieri*, ani sławnych *Rozmyślań kota Murra*, ani żadnej z *Powieści nocnych*, ani *Salvatora Rozy*, ani wielu i wielu innych — a jednak nie można powiedzieć żeby nam zbywało na fabrykantach tłómaczeń, którzyby nie tylko po niemiecku, ale po turecku nauczyli się dla tych nieszczęśliwych pieniędzy.

Tymczasem jednak nie umieją zwykle nasi tłómacze innego prócz francuzkiego języka, a wcale się nie wahają przetłómaczywszy

z francuzkiego kłaść na czele, że przeleli z oryginału, chociaż możnaby im pićrwszą kartą dowieść, że nie umieją języka, z którego niby to tłómaczyli. U nas takie są prawie wszystkie tłómaczenia, czy to klasyków dawnych czy nowych pism jakich, — wyjąć jednak należy z téj liczby Błotnickiego, Sieńkiewicza i kilku innych sumienniejszych a mniej interesowanych.

Daj Boże, żeby i nieboszczyk Hoffman na jednego z takich trafił, któryby go tłómaczył wprawnie, nie gwałćąc języka i rozumiejąc go dobrze w oryginale — mogliby wówczas wszyscy poznać rozmaitość talentu Hoffmana, żywość jego kolorytu, dziwaczność jego myśli, i przy tém wszystkiem co składa poetę, dosyć ducha obserwacji, dość trafne malowanie charakterów pospolitych, a nadewszystko nieocenioną mieszaninę fantazji i prawdy, której dotąd w tym samym stopniu nikt naśladować nie umiał. Inne powieści fantastyczne są zawsze albo za mało, albo nadto wyłącznie fantastyczne, u niego w samą miarę.

W każdéj z nich prawie można oddzielić część rzeczywistą, od téj, która jest tylko w pewnym sposobie rzeczywistością inaczéj widzianą i opisaną. W Księżniczce Brambil-

ła, w bajce o salamandrach (1) każdy to widzi, każdy pozna, że Hoffmann chciał tylko w pół-oszalałych dziką wyobraźnią ludzi malować, i mieszał ich marzenia, ich myśli, ich nadzieje, z tém co się rzeczywiście działo.

Toż samo i w innych powieściach spostrzeżać się daje. Zastanowiwszy się nad niemi i nad myślami, które się roją w głowach tylu młodych ludzi, marzących o tajemniczym świecie, zarzuty przesady Walter-Scotta wydają się bardzo a bardzo za surowe.

Niech każdy zda sobie sprawę ze swoich duman wieczornych i snów nocnych, wieleżby to z nich powieści było, gdyby je umiał napisać! Ale łatwiej daleko, napisać nierną, regularną, bladą, nic nie dziwną i ani trochę smaczną powiastkę, niż co fantastycznego; bo trzymając się krok w krok dawnych reguł i oklepanych wypadków romansowych, książka napełni się jakąś tam siekanką patetyczności i intrygi, i pójdzie w świat tak dobrze i tak cicho jakby co najlepszego — ale w fantazji! aha! trzeba być oryginalnym i mieć smak przytém, trzeba mieć talent, trzeba pisać z zapamiętaniem, z natchnieniem! — To się nie każdemu u-

(1) Garnek złoty.

daje, a z małej liczby probujących, u nas nikt, ale to nikt, nie tylko fantastycznie jak nieboszczyk Hoffman, ale w jakimkolwiek innym rodzaju oryginalnie nie napisał. — A tyle mamy książek!!

Proszę przewrócić cały katalog Bętkowskiego i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi — i proszę z tego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju, choćby jedną pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiegokolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i inuagimacji nadała ruch myślom i wpływała na epokę? Prócz oryginalnego jenjuszu Kopernika — któż więcej stanie? — Może jeden (1) — może żaden.

Nie płakalibyśmy długo, gdyby od pożaru Aleksandryjskiej biblioteki i nasze się zajęły — straciłibyśmy wiele rzeczy mających wartość pamiątek — a mało ważnych prawdziwie. Nie zaprzeczam ja wielkiego talentu wielu pisarzom, ale prawie wszystkim braknie oczywiście na smaku, na oryginalności, na śmiałości i zapale — a dzisiaj na czytaniu jeszcze.

(1) Kiedy mówię jeden, niechże sobie jaki warjat nie wyobraża, że należę do wielkiej egotystów szkoły! Ja pamiętam co Pascal napisał.

Suycerz, malarz, stara się oglądać obrazy, posagi wszystkich mistrzów, każdej szkoły: pisarz zaś nie miałby szukać natchnienia i smaku w jak największej liczbie wzorów? Nie żeby je naśladować! Broń Boże! naśladowanie nas zabija! Villemain powiedział nawet, że nie trzeba naśladować nikogo, ale dla obznajomienia się z mechanizmem, dla nabrania siły, której naszym pisarzom (jakkolwiek ich jest mało), wszystkim brakuje.

Nieboszczyk Hoffmann miał tyle wrodzonego zapatu i tak mozną imaginację, że jej od nikogo pożyczać nie potrzebował — smak niemiecki dopomógł mu wprawdzie, ale i sam przez się wiele zrobił, bo fantastyczność ledwie znajomą, ledwie dotkniętą, wykształcił i daleko dalej niż przedtem chodziła rozciągnął i wyłącznie jej używał.

Teraz naśladują go! — ale czemuże są naśladowania, czemu są naśladowcy? gdyby nie mieli Hoffmanna pastwilih się nad kim innym — wszak naśladowali Walter-Scotta, wszak naśladują wszystko, co tylko ma za sobą pochwały mody i smaku — biedni naśladowcy, pasażyci jak jemioła, goszczą się na najmocniejszych i najwyższych drzewach.

Spójrzmy na wszystkie szkoły pisania — powstaje wielki jenjusz — rodzi myśli, formy,

smak — wszystko! za nim do otwartego źródła cisną się drobne karzełki, aż póki źródła nie wypiją do dna, do mętów. A potem nowy Mojżesz czarodziejską różdżką wyprowadza ze skały czyste wody — i ci co w skale tylko skałę widzieli, piją, piją, robią z tego źródła studnię, robią jezioro, robią rzeczółkę — na niej stawiają swoje młyny i tartaki — aż póki z czystego źródła nie zrobią kałuży.

I tak w każdej szkole przeżyje tylko pierwszy jej przewodawca; ten zostanie na długo, a naśladowcy jak przyszli tak znikną.

Czyż Wilibald Alexis pójdzie na równi z Walter-Scottem — czy Pan Janin dożyje śmierci Pana Hugo? — czy Pan Hugo zagasi Shakspearą?? Zobaczemy — zobaczemy!

I Hoffmann może się spodziewać, że będzie jednym z tych nieśmiertelnych o których jeszcze lat ze sto będą pisać i mówić — lecz ci co pisali Fantazje, fantastyczność, fantasma-gorje — czy będą jak on szczęśliwy? Wątpię. Zobaczemy — zobaczycie!



8.

VILHELM DE CABESTAN.

HISTORYJKA HISTORYCZNA Z XIII WIEKU.



De bien aimer ne puet nus enseigner,
 Lors que li cuers qui done le talent,
 Qui bien aime de fin cuer loyaument,
 Cil en scait plus, et moins s'enpeut aidier.
Teobald Król Nawarry (1).

Jeśli się dziwuję fanatyzmowi jednych wieków, obłąkaniu drugich, niedowiarstwa innych, jeśli się dziwuję jakimkolwiek fenomenom ogólnym, które umysłem całych ludów i całych wieków władały— niemożem się nie dziwić miłości, która za czasów Trubadurów czy Truwerów tak wyłącznie panowała we Francyi. Wszysey i wszystko nią tyl-

(1) Sławny kochanek Królowej *Blanki* matki Ludwika IX. (Świętego Ludwika).

ko oddychało, sprawy narodów, wojny, nieprzyjaźnie, wyprawy, wszystko miało jeden cel lub jeden powód— miłość.— Kobięty królowały, Trubadurowie rządzili, a wojownicy panowie, posłuszni byli. A sprawy miłosne miały swoje osobne trybunały w posiedzeniach tych sławnych *Cours galantes. Cour d'amour*, na których zasiadali Margrabiowie *des Fleurs et des Violettes*.

Śliczny to był czas, wesoły, poetyczny, roszkoszny— wówczas pieśń poety, sonet trubadura dawał serce kobiety tak łatwo, jak dziś pięćdziesiąt tysięcy intraty — w ówczas miłość chociaż materialna i na wdziękach tylko zasadzona, trwała długo, była stała, szła przez tysiąc niebezpieczeństw do drogiego celu i u celu często umierała z roszkasy, umierała z zazdrości, umierała z rozpaczey z własnej ręki. W ówczas Trubadur był takim mężów postrachem, jak dziś dawny kochanek wracający po szluby, w ówczas— ale wiem, że mi pewnie nieuwierzą, tak dalece dzisiaj odstroiłiśmy się od śpiewu dusz XIII wieku. O! trzeba było żyć i umierać wówczas, żyć tylko dla kochanki i dla niej umierać— trzeba było wówczas być poetą i trubadurem i kim bądź — byle nie mężem.

A propos tego czasu, mężów, trubadurów

i kobiet, muszę wam powiedzieć historyjkę bardzo osobliwą, bardzo dobrze ten wiek malującą, prawdziwą i pewno wam nieznajomą— o Wilhelmie de Cabestan Trubadurze prowancskim.

Wilhelm był piękny, młody i dość sławny Trubadur, z zamku do zamku, ze dworu do dworu jechał z pieśniami swemi, zyskując słodkie kobiet wejrzenia, i broń bogatą, konie, ubiory, a nawet pieniądze od mężów— bo było zwyczajem nagrażać Trubadurów, i nie być zazdrosnym chyba w ostatniej ostateczności. Pan *Dangier* (tak nazywano mężów przed wszystkimi Trybunałami Miłości) musiał poklaskiwać, kiedy przy dźwięku arfy lub violi trubadur z oczyma zwróconemi na jego żonę, spiewał jej sonet, romans, rondo, balladę— które zawsze o miłości tylko mówiły— Pan *Dangier* musiał uśmiechać się, kiedy jego żona rzucała kwiatek trubadurowi z westchnieniem, i z ręką na sercu, ze łzą w oku, pokazywała mu milczącymi usty, jak pieśń jego była jej drogą.

O biedny Pan *Dangier*! Jakże niespokojne sny mieć musiał, po czułej trubadurze baladzie!

Wilhelm zajechał na dwór *Beranzery des Baux*, jej mąż spotkał go gościnnie, wesoło,

a gdy trubadur spiewać zaczął, poklasnąwszy parę razy spać poszedł— pocziwy!

Beranżera była piękna — bardzo piękna, ale kwiatki jój twarzy pobladły z nudy w starym zamku, i oczy już trochę przygały — bo już— już jój lata nie liczyły się na wiosny. Była jednak ładną, a jakże piękną musiała być w młodości, kiedy resztą swoich wdzięków, jeszcze wielu młodszym od siebie królowała.

Ona od pierwszego wieczora pokazała trubadurovi, że pieśni jego przeszły jój prosto do serca i w sercu zostały— on spiewał jeszcze głośniej z radości— jeszcze piękniej, a Beranżera kochała go coraz mocniej, a mąż jój spał tym czasem.

Tak w śród pieśni Wilhelma, w śród miłości Beranżery i snu jój męża, leciały godziny długie— bo ileż to lat można, przekochać, przespiewać i przespać??

Ale nakoniec— trubadur się znudził, — pieśni jego były słabsze, rzadsze, zimniejsze, a miłość Beranżery była taka jak z początku i sen męża równie mocny— tylko trubadur się znudził,

I Beranżera zobaczyła to sercem— przeczuła, poznała i nie płacząc jak drugie— powiedziała tylko sobie:

—Ten człowiek, który spiewał dla mnie, którego kochałam— któremu oddałam wszystko i więcej jeszcze— ten człowiek pójdzie z tąd znudzony i będzie drugiej kobiecie spiewał pieśni, i będzie kochał drugą i od niej będzie kochany i z nią na posłaniu rokoszném, w śród cichój nocy— na téj samój arfie będzie spiewał mój wstyd, moje nieszczęście temi samemi usty, któremi spiewał moje pochwały, moją miłość i rokosze. Nie! Beranżera nie będzie drugą kochanką w sercu nieczyjém, kto ją kochał i nie kocha, nie będzie kochać drugiej— i umrze.

I kazała wezwać do siebie trubadura— ubrała się jak w dzień wesela— otoczyła kwiatami, położyła się na miękkim łożu— i postawiła przed sobą dwa kubki.

Wilhelm przyszedł i ukląkł— na chwilę miłość jego zawrzała jeszcze— spiewał, całował jęj ręce i usta, potem ostygnął i drzemał nad arfą i nad rankiem żegnał ją chcąc wyjechać.

Beranżera nic niepowiedziała— ani Bądź zdrów, ani zostań, tylko podała mu kubek obcieraając oczy i sama wzięła drugi.

Wilhelm pojechał— zadumany na swoim koniu, przebywał drożyny kręte między górami, mijał przepaści i spoglądał czy gdzie zamku

nie ujrzy. Wicczór się zbliżał i Wilhelm uczuł ogień jakiś w piersiach i głowie. Potém zdawało mu się jak gdyby siedział na obłoku i jechał do słońca, potém widział tysiąc trubadurów siedzących w gwiazdach i spiewających pięknie— sto razy piękniej od niego i pokazujących go palcami, jego biedaka siedzącego na chmurze z zerwaną arfą, z rozbitą głową, z piekłem w sercu — potém widział ciemność w koło— i góry chodzące i morze maleńkie jak puhar do wina i smoka i Beranżerę i aniołów i piekło.

Biedny Trubador zwarjował po napoju Beranżery.

A ona cieszyła się w swoim zamku i mówiła swojemu sercu— Wilhelm nie będzie spiewał żadnej kobiecie — i żadna kochać go nie będzie.

Ale słudzy Trubadura zawiezli go do zamku Pana Seillanu (Sire de Seillan) i tam piękna i młoda Bianka siedziała nad jego łóżkiem, zbierając zioła i robiąc napoje dla biednego Trubadura— długo leżał chory— potém wyzdrowiał! Piérwsza pieśń jego była dla Bianki — piérwsze wejrzenie na nią. — Ale jój mąż nie spał i czuwał zazdrosny, bo była młoda i spiew poety dochodził prędczej jój serca niż pieszczoty męza.

Trubadur został w zamku — on kochał Biankę wdzięcznością i miłością, bo serce Trubadura tak jest miękkie. A Pan Sejlłanu widział wszystko i nieśmiało go wygnać z zamku — bo wygnać Trubadura! któżby się odważył — prędzej wolno go było zabić! ale wygnać!

I raz Pan Sejlłanu widział, widział! — jak w nocy, w ogrodzie, przy świetle księżyca, przy śpiewie słowika, wśród zapachu róż i fiołków wiosennych, Trubadur ścisnął i całował jego żonę, klęcząc u nóg jej i przysięgając, że drugiej nigdy — nigdy kochać nie będzie!

Stojąc za drzewem przysięgał także mąż, ale jego przysięga była inna — straszniejsza i mocniejsza, Bo kto przysięga kochać — ten nie pyta czy zawsze kochać może, a kto przysięga zabić ten wie, że będzie nienawidział do śmierci.

Gdy Bianka i Wilhelm rozeszli się — Pan Sejlłanu kazał sługom zabić Trubadura i przynieść sobie jego serce — serce Trubadura — A Bianka tym czasem spała w marzeniach miłosnych!

Studzy spełnili rozkaz i zakrwawione serce przynieśli. on porwał je i poniósł z sobą — poniósł na ognisko, oblał winem i miodem,

nalal wodą, zgotował i śmiejąc się sam, swemi rękoma na stole postawił.

—Ty lubisz tę potrawę — rzekł do żony, przynosząc ją dla ciebie — Bianco — dla jednej ciebie — Wszak smaczna?

—O! bardzo! w życiu nie takiego moje usta nie tknęły? I cóż to jest mój panie drogi.

—Serce Wilhelma! odpowiedział śmiejąc się okropnie.

—Serce Wilhelma! powtórzyła Bianka! po takim jedzeniu mogęż więcój jeszcze jeść cokolwiek? wszystko będzie niesmacznem.

I wstała od stołu młoda Bianka i poszła do siebie zamknęła się i położyła na łóżku.

Potem nie jadła nic dłużej — i umarła z głodu.

Niewierzycie? myślicie, że jaki poeta tę powieść wymarzył, a jednak to szczerą prawdą i cóż w niej tak dziwnego? wszak nie zazdrość kobięca, wszak nie zazdrość mężowska, wszak nie miłość trubadura — chyba ta śmierć z głodu!

To dziwne — ale cóż robić kiedy tak było?



9.

O RÓŻNYCH RZECZACH.



Video meliora proboque, de-
teriora sequor.

Byłem bardzo młody i nadto młody, kiedym zaczął pisać -- wyobraziłem sobie dziecinnie, że dość jest chcieć ażeby zrobić dobrze -- wyobraziłem sobie, że przeczuję świat i ludzi -- bo znać ich nie mogłem -- pisałem więc -- z początku mi odradzano, potem śmiać się zaczęto.

I w istocie było z czego.

P. Walery, którego drukowałem pod obcym nazwiskiem śmiesznym, (które mi Bóg wie wiele przykrości zrobiło), *P. Walery* jest nieforemną rapsodją, w której chciałem gwałtem mieć dowcip -- a w istocie napakowałem tylko frazesów.

Potem nastąpił zawsze *P. Pasternaka* (nieprzeżenmie), pisany *Wielki świat małego*

miasteczka, piśewko trochę zgrabniejsze pod względem układu, bez myśli jednakże, z najgłępszym jak być może rozwiązaniem, w którym imaginacja wyraźnie jest torturowaną, żeby coś urodzić i rodzi tylko słabe bardzo kopje.

Nie dziwno mi wcale, że znaleźli się tacy, którzy chwalili tę książeczkę w jakiejś gazecie — interes księgarza wymagał tego.

Potém już niby mocniejszy, śmielszy, odważyłem się na *Kościół Śto Michalski*, w wielu miejscach fałszywy co do badań historycznych o Wilnie, lepszy co do wykonania, ale również bez planu zupełnego, jak poprzednie próby.

Po kościele spadłem na drugi gorszy daleko obraz historyczny, nudny i źle pisany — a pisany daleko wprzód od kościoła, chociaż drukowany później. Będę sobie miał długo do wyrzucenia żem go drukował — na co się to zdało, kiedy nie zabawne i nie nauczające?

Pan Karol wystąpił po tém wszyskiém — ułożyłem go, napisałem, przepisałem we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miałem zatrudnienia, tak mało wypracowany, chociaż więcej ma ciągu i myśli, chociaż żywiej interesuje, choć będzie się wielu osobom zdawał wcale oryginalnym — plan jego jednak tak

jest już stary jak wszystkie Don Juany! A przytém wyrzucano mi nadto gruby, często nieprzystojny sposób obrabiania rzeczy, któreby się grzeczniej i przystojniej powledzieć dały. Nie przyjmuję tego zarzutu co do rozmów, bo te dla naturalności musiały być w całej swojej naiwności wypisane; ale co do opisów. -- Z resztą charaktery są przesadzone i nie nowe.

Cztery wesela jakkolwiek niewypracowane lepsze są pewno od wszystkiego, co je poprzedziło, przynajmniej w moich oczach -- i nie jest to uprzedzenie autorskie -- wszak mówię com zrobił złego? -- Z resztą daję moje zdanie nie jako dobre, -- ale jako moje (1). W Czterech weselach mniej jest przesady, dosyć ciągu i wiele życia. Nie bez tego jednak, żeby i w nich wiele do krytyki i śmiechu nie było. A naprzód, co znaczy zemsta P. Hilarego -- jego obejście się z pierwszą i drugą żoną? potem Adolf nie jest że nadto głupi i słaby? a Julja nadto niecuotliwa? P. Aleksy nie jest że karykaturą?

Improwizacje -- pisane od razu bez poprawek do druku (tak jak ta książka) tém są złe. że są niepoprawne -- potem, że ton panują-

(1) Montaigne.

cy w nich, jak w P. Karolu, wielu osobom słusznie za nadto grnłym się zdaje. Artykuł o osłach jest nie nie znaczący, o djabłach niekompletny, o gryczanej kaszy bez sensu — niepotrzebna jest fantazja niedokończenia ostatniego artykułu o Pannie Chorążance.

— Ach! — zawołają czytelnicy, — czemużeś sobie tych uwag przed drukowaniem nie zrobił? czemuś nie poprawił, nie wygładził, nie okrzesał?

— O! moi mili Panowie, gdyby to warto było tyle pracy, pewnobyś jej nie odmówił. — Dawniej strojono pieczyste w pióra ptaszków i kwiatki, dziś go nie stroją — a i dawniej i dziś dobre pieczyste jedzą — a złego nie chcą — chyba głodni.

15 Listopada. Romanów.



**POWIEŚCI
WIECZORNE.**

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

He! Monsieur un roman est un miroir qui se promène pour la grande route. Et l'homme qui porte le miroir dans hotte sera par vous accuse d'être immoral! Son miroir montre la fange et vous accusez le miroir! Accusez bien plutôt le grand chemin ou est le borbier et plus encore l'inspecteur des routes qui laisse l'eau croupir et le borbier se ferme.

*De Stendhal. Le Rouge et le Noir.
Chronique du XIX siècle, T. III.
Chap. XI — IX. — 1832.*

I.

IMIENINY.

OBRAZEK HISTORYCZNY..

Il n'y a point de héros cour
son valet de chambre.

Prov. Français,

Był to sobie dzień 19 marca 179.... pogodny, mroźny, słońce już było zeszło, ósma godzina wybiła, kiedy Hrabina Emilia, przeciw zwyczajowi swemu obudziła się i nawet wstać myślała, co w życiu kobiety wielkiego tonu, było jeśli nie cudem, to arcy wielką rzadkością. Ledwie piękne, czarne oczy i białą rączką przetarła je od niechcenia, pociągnęła za sznurek dzwonka, wiszący nad ozdobnym jej łóżkiem i podniosła się z uśmiechem na ustach.

W chwilę lekki, ale szparki chód odezwał się w przedpokojach, słychać było otwieranie

drzwi, i ładne dziewczę, garderobiana Pani Hrabiniej weszła do pokoju, ubrana od niechceenia w biały ramiy szlafroczek.

—Dzień dobry pani.

—Dzień dobry, moje dziecię -- Podejmij firankę tego okna do połowy i powiedz mi która godzina?

Lizetka spojrzała na zegareczek zawieszony u pasa i potrząsając głową zbliżyła się do Hrabiniej.

—Cóż to ósma?

—Ósma! dawno to już pani o téj godzinie wstawiała, ale dziś... Służąca lękała się dokończyć słowami, figlarnym tylko uśmiejchem, mającym w sobie ziarko pochlebstwa, zamknęła mowę....

—Jakże też dziś wyglądam Lizetko?

—Przedziwnie-- jakby w ósmnastym roku, jeśli mi pani nie uwierzy, może się zapytać zwierciadła....

—Czy przyniesiono już kwiaty z oranżerji Ministra P. ... przerwała Hrabina, odsuwając ręką zwierciadło, jakby go się lękała.

—Jeszcze nie,...

—Jeszcze nie! powtórzyła trochę nienkontentowana Hrabina — prawdziwie! ci ludzie, nigdy nie w czas nie robią!

Lizetka uśmiechnęła się nieznacznie zakry-

wając się szlafrokiem, który podawała swęj pani i pobięła po śniadanie.

Hrabina poszła do zwierciadła, ziewnęła parę razy, spójrzała po pokoju i od niechcenia rzuciła się na sofę — przed którą stał ogromny stół mahoniowy, zastawiony różnego rodzaju zbytkowanymi przedmiotami. Parę serwisów japońskiej porcelany, kryształ, srebro, zadziwiającej roboty, alabastrowe urny i mnóstwo mniejszych rzeczy, leżało na nim bez ładu — obok widać było nierozpakowane jeszcze pudła na ziemi. Hrabina spójrzała na to wszystko, i zuów uśmiech po pięknych jej ustach przeleciał.

Weszła Lizetka, w jednym ręku trzymając, z wrzącą czekoladą filiżanką, w drugim małeńki bilecik.

—A toż co? zawołała Hrabina pokazując na list.

—To od przyjaciółki pani.

—Przyjaciółki? rzekła podnosząc się nieco. Hrabina, trochę zmarszczona, jak gdyby chciała strofować swoją służącą. Piękne kobiety, niemają przyjaciółek, ale za to tylu przyjaciół. Lizetka chciała żartować, a Hrabina żartów nie lubi, bo się ich lęka.

—Od kogoż?

—Od Hrabiniéj Palmiry!

—Od Palmiry! powtórzyła Hrabina z niecierpliwością wyciągając rękę— podaj że go, dawaj!

I zaczęła czytać z wielkiem natężeniem umysłu, a list był zapisany, na wszystkie cztery strony. Czasami wśród czytania, ruszała głową lub ramionami, czasem się uśmiechała dumnie, a Lizetka stała tylko i spoglądając po suficie niecierpliwie czekała przeczytania listu, wreszcie nabrała odwagi i odczytywała się z cicha.

—Czekolada osłyguie.

W kilka minut gorący napój i kilka biszkotków zniknęły z tacy, lice Hrabini zajaśniało żywszym rumieńcem... turkot pojazdu dał się słyszeć.

—Zobacz, zobacz Lizetko, może to Palmira.

—Nie-- odpowiedziała służąca spuszczać nazad zieloną firankę, którą była podjęła, żeby oknem zobaczyć— To Pan Hrabia wyjeżdża zapewne do miasta, lub do Króla na ranne wstanie --- (*petitléver*).

—Mniejsza o to, niech jedzie— będzie tam pewno pochlebiał Biskupowi jak wczoraj! całe miasto o tym gadało! Prawdziwie-- dodała pogardliwym tonem— mizerne starostwo, takiego poniżenia się nie warte!

—Ale bo też Pan Hrabia! odezwała się Lizetka kiwając głową.

Znowu turkot na dziedzińcu, Lizetka wyjrzała.

—O! to paryska zielona karéta Hrabiniéj.

—Chwałaż Bogu— przerwała Emilija, poprawując nieco szlafroka i przelotnie spojrzawszy w zwierciadło. — Przygotuj czekolady moje dziecię!

—Otóż idzie--- idzie! i to mówiąc ogromny woal czarny zarzuciła na stół i pokryła nim, rozłożone wytworne cacki.

Weszła Hrabina Palmira — była to kobieta wysokiego wzrostu, ale już nie bardzo młoda; twarz jéj nieco podobna do portretu Pani de Maintenon przetrwała młodość bez wielkiego szwanku. Czarne oczy, nos mały, usta ściśnięte, wszystkie rysy twarzy niezmiernie regularne, nadawały jéj minę bardziej nakazującą poszanowanie, niż miłość. Hrabina Palmira była ładna, bardzo ładna, jak na swój wiek — ale zawsze były to tylko, piękne ruiny Palmiry. Przeciwny zupełnie wyraz nosiła twarz Emilii, jéj wdzięki, podobniejszą ją czyniły do Ninon de l'Enclos lub Marji Stuart. Wiele dowcipu, wiele lubieźności, i trochę miłego smętku, rozlanego po całej twarzy, nagrażały sowicie, mniej regularne rysy twarzy.

—Dzień dobry!

—Dobry dzień!

I obie uściśnęły się serdecznie, z uśmiechem bardzo łagodnym, a potem rzuciły na się ukradkiem wzrok zazdrośny jakby się zjeść chciały. I nie dziw było to pojednanie rywalki.

—Jakże dziś pięknie wyglądasz!

—Jak świeżą masz cerę!

Potem obie panie powtórzyły z małą odmianą, znajomą scenę komedyi Moliera, a Lizetka, która uczyła się w przedpokoju Hrabini, kursu znajomości serca ludzkiego, śmiała się z nich w duchu.

—Wszystko się doskonale składa — odezwiała się nareście Palmira. Książę Józef, nie przyjmuje dziś gości, wyjedzie gdzie może sam na kilka godzin — potem wróci wieczór do domu. Mój *François* namówił kamerdynera, dadzą nam znać.

—Będzie to wyborna siupryza!

—Ach! doskonała! To mówiąc Palmira rzuca wzrok ciekawy na stół — radaby przebieć oczyma, okrywającą go zasłonę, ale pani domu zwraca natychmiast rozmowę, na dworskie nowiny...

—Król czy zdrów?

—Mówią że chory po baraniuie czwartkowego obiadu.

—A Biskup! nudny Biskup!

—Niewspominaj mi o nim!

—A Książę C.... czy zawsze w sporach z Generałem...

—Wiecznie...

—A nasz poeta!

—Napisał odę do Króla i t. d. i t. d.

Przeleciawszy w czwał po nowinach dworu, pomyślały dwie panie o swoim interesie...

—Co ty kupiłaś dla Józia?

—Ja! Bagatele!.. kilka biustów; dwa stoliki perłową macią wykładane, inne mniejsze cacki — a ty co?..

—Ja! prawdziwie -- jedno nie!... widzisz to na tém stoliku, ale prawdziwie i patrzeć nie warto...

Palmira spojrzała, zagryzła usta, dygnęła i zwróciła się ku drzwiom.

—Będę więc czekać!..

—Bardzo dobrze!...

—Adieu!

—Adieu!...,...

..... Około godziny czwartej z południa, kiedy Emilja leżała na sofie, rozmyślając zapewne o pierwszym kochanku; turkot dał się sły-

szuć na dziedzińcu. — Palmira weszła do pokoju.

—No już czas moja duszo! każ spakować twoje sprawunki! Jedzimy! Księżę Józef jest już w Łazienkach! Dziś obiad u Króla był bardzo wcześnie!

Służąca weszła w téj chwili i przewodniczyła kilku lokajom do zabrania rzeczy rozrzuconych po stole; powynoszono paki, paczki, pudełka, założono niemi całą karétę i drugi pojazd jeszcze i dano znać nakoniec, że wszystko gotowo.

Obie panie wyszły.

—Do pałacu pod Blachą! -- zawołała Palmira na woźnicę.

—Do pałacu pod Blachą! -- powtórzyła Emilja spuszczać firanki u karety -- ruszaj!

—Wiesz co, — dodała ostatnia po chwili z westchnieniem; — Gdyby też wiedziano, co my wyrabiamy!... Oto! Jedzimy same do domu Księcia! jak gdybyśmy!... ach! Palmiro; jaka jest moc miłości!...

—Prawda! -- dość oziębło odpowiedziała zagadniona; — robimy szaleństwa! szaleństwo prawdziwe! gdyby też to nasi mężowie wiedzieli.

—Nasi mężowie! alboż nie wiedzą, że go o-

bie kochamy, że obie mamy prawo do jego serca! z resztą, trzeba gardzić przesądami!...

—Stój!... odezwał się głos na ulicy.

—Ach!... — Palmira struchlała i zakryła oczy rękoma. Był to głos jej męża. Woznica posłuszny stanął; otwierają się drzwiczki karety. Palmira miała czas przybrać minę surową.

Na ulicy pokazuje się kilka osób otaczających karétę.

Otwierający drzwiczki mąż Palmiry był człowiek około pięćdziesiąt-letni, małego wzrostu, obłąsiały, koło oczu miał czerwoną obwódkę, zwykły order pijaków i lubieżników. Na piersiach obwieszony był wstęgami i orderami, dwie gwiazdy zabrudzone wisały mu u boku; minę miał sowią, a z otwartej gęby i poruszeń łatwo poznać było można, że wracał z obiadu, na którym wina nie brakło.

Za nim długi, suchy, żółty, kościsty, w białym płaszczu hiszpańskim stał mężczyzna, nieruchomy jak Król Zygmunt na Krakowskim Przedmieściu. Piersi jego okrywały także ordery, krajowe i zagraniczne, między niemi widać było Order Maltański i Złotą Ostrogę.

Za tymi dwóma stało jeszcze kilka figur, małych i wielkich, żółtych i czerwonych, bez orderów i z orderami; wszyscy wracali z obiadu, wszyscy byli pijani, -- i nie po dzisiejsze-

mu; nie temi winami, które jak ptaszek przeleca tylko i lekką mgłą mózg okryją, ale Madera, starém węgierskiém, napojami, które oburącz chwyciwszy za głowę trzymają ją pół dnia w swoim uścisku i ciążą na niej jak centnar ołowiu.

—A! dobry wieczór! — odezwał się otwierający drzwiczki karéty mąż Hrabiny Palmiry. — Dokądże się to panie wybrały?

Na przejażdżkę! — odpowiedziała prędko i niecierpliwie nieco pomieszana żona, spoglądając na swoją towarzyszkę.

—Ależ Mościa Dobrodziójko! — odmruknął mąż podchmielony oblizując się ze zwyczaju i odwracając się do tych, którzy za nim stali. — O takiej porze! na przejażdżkę! zimno i śnieg pruszy!

—Młó mi było, więc... chciałam użyć świeżego powietrza, — odpowiedziała Palmira.

—A! i Pani tu! — zawołał w tej chwili suchy i długi mąż Emilji; — i Pani jedzie na spacer! O! i Pani! — powtórzył zażywając tabakę z tabakiery emaljowanej z królewskim portretem.

—Jadę! — odpowiedziała cichuteńko Emilja.

—I dokądże przecie?

—Do... do... jeszcześmy się nie namysliły, — zapewne tak sobie... po mieście.

—Ha! to dobrze, — rzekł tłusty Hrabia; — i nam właśnie potrzebne jest świeże powietrze; gotowiśmy towarzyszyć Paniom moim.

—Ależ!.. — prędko przerwała uderzając po kolanie Hrabina Palmira; -- mamy wstąpić do sklepów, do magazynów, do księgarni, do kościoła!... Bóg wie gdzie!

—O! o! to i my z wami. A przecież wart może z nas który, żeby dla nas to wstępowanie po wszystkich kątach na inny czas odłożyć!

—Nam pilno.... bardzo pilno.... to być nie może!

— Nie chcemy tego i kwita! -- dodała druga.

—Ba! ba! Mościa Dobrodziejko! A jeśli naręście o wstępowanie chodzi, my, gdzie będziemy mogli wstąpić, lub podrzemiem czekając was w karęcie!

—Wszystkie te projekta, na nic się nie zdały, -- przerwała popędliwie Palmira; -- mamy z sobą zabierać sprawunki, na które miejsca nie będzie, jeśli zechcecie posiadać i przykrość nam wyrządzić!

—No! moja duszko! -- rzekł tłusty; -- kiedyż bo mnie nogi bołą. Suięg pruszy, zamoczę się lub zaziębię i całą noc stękać będę na tę przeklętą podagrę. Wszak wiesz sama moja duszko!

—Na cóż bo było odsyłać swoją karetę! Tymczasem weź najemną.

—Nie mam pono pieniędzy Mościa Hrabino! zgrałem się w Marjasza z Księdzem Biskupem. Wystaw sobie, że w ostatniej partji miałem kralkę żołądną, paulila i...

—Oto masz mój woreczek, -- przerwała Hrabina z pośpiechem podając mu go. A mąż wziął łapczywie, uklonił się nisko i kładnąc do kieszeni mrugnął na towarzyszków szepejąc:

—Pójdziem na Węgrzyna.

Lokaj przymknął drzwiczki karety, furman zaciął konie -- mieli jechać....

—Stój! -- odczwał się głos drugiego męża, z drugiej strony; -- Stój! -- Chudy mąż Hrabiny Emilji otwiera drzwiczki.

—Mościa Pani, karetą twoją jak uważam idzie z tyłu i zapewne ci niepotrzebna, bo jedziesz z Hrabina. Ja ją biorę!

—Ach! Broń Boże! wiozę w niej sprawunki dla Księżnej; pełna ich karetą.

—A to! do diabła! -- krzyknął trzaskając drzwiczkami pan mąż.

Polecicli czwałem.

Odurzone jeszcze spotkaniem mężów, nie przemówiły ani słowa przez całą drogę dwie pojednane Hrabine, i rozmyślały tylko z oczyma wlepionemi w przednie okna karęty.

Stały na koniec przed pałacem.

Po cichu, ostróżnie, oglądając się wysiadły obie Panie, a naprzeciw nich wybiegł zaraz na wschody uśmiechając się ulubiony Kamerdyner Księcia.

Ubrany był w galonowane i całkiem zahafrowany złotem frak, w czarne spodnie, w ponczochoy i trzewiki z wielkimi kameryzowaniami sprzączkami, świeżo i wytwornie ufryzowane miał włosy, a cały zlany był perfumami, które na kilka kroków od niego słychać było.

Nie można policzyć, ile razy i jak rozmaicie ukłonił się nim wprowadził obie Hrabine na szerokie, lśniące marmurowe wschody.

—Więc wyjechał? -- zapytała Palmira.

—Wyjechał do Łazienek; powróci za godzin parę.-- Odpowiedział uśmiechając się białymi ząbkami Francuz.

—Wybornie!

—Doskonale! -- Odezwały się obie Hrabine; a grzeczny Francuz, cały w podskokach, zastępując swego pana, wprowadził i przyjął gości.

Nie tracąc czasu zaczęto natychmiast znosić paki i paczki, wyrzucać dawne meble, ustawiać nowe, nową porcelanę, zwierciadła, obrazy, srebra, biuśta i mnóstwo tych beczuży-

tecznych a pięknych drobnostek, które należą do ubrania wytwornego pokoiów.

Obie panie roskażywały z zapalem, pospiechem, a co większa bez sporu, jak ich kosztowne podarunki ułożone być miały.

—Tylko prędko!

—Tylko prędko! -- odzywały się obie, zawieszając firanki, ustawiając alabastry i naczynia, a na stołach porządkując porcelanę i imbryki, w których za chwilę przygotowane już napoje rozlane być miały.

—Teraz, mój drogi Panie Alfonsie, -- odezwiała się zadyszana Hrabina, obracając się do Kamerdynera, który się ciągle ze swego obowiązku uśmiechał. -- Jak Księżę przyjedzie proszę mu nic nie, ani słowa nie mówić, żeśmy tu były, że jesteśmy. Karety każ wciągnąć do wozowni. Tylko Księżciu proszę bardzo nie mówić; daj mi słowo honoru, Panie Alfonsie.

Pan Alfons dał słowo honoru, uradowany, że Pani Hrabina mówiła mu o honorze, o którym on sam nigdy nie myślał.

—O! ani słowa! bardzo dobrze! bardzo dobrze! -- powtarzał; -- to pewno, za to ręczę!

I kłaniał się uradowany i uśmiechający, poprawując mankietki i karbowane żaboty batystowej koszuli.

Teraz zobaczymy, co się dzieje z droгим, o-

czekiwany, kochany i miły solenizantem. Po obiedzie u Króla, Książę z bolem głowy powrócił do pałacu pod Blachą, spojrzął w zwierciadła ziewając kilka razy i przypomniawszy sobie, że się znudził w wielkiem towarzystwie usznurowanym w etykietę, -- zadzwonił na Kamerdynera.

—Alfonsie! -- rzekł; -- poślij natychmiast do mego kuzyna Księcia Biskupa i oznajm mu, że dla chwilowej słabości nie będę na wieczorze, który był łaskaw dać dla mnie. Goście i bezemnie wypiją moje zdrowie! Powiesz, że jestem chory na głowę, na nogi, na bok.... powiesz co zechcesz! I każesz przeprosić, pięknie przeprosić.

—Bardzo dobrze!

—Każ mi podać karetę! karetę bez herbów; pojedzie ze mną służący bez liberji. Nie lubię żeby całe miasto wiedziało, gdzie się tylko ruszę. Przejadę się do Łazienek — jak ta zima trwa szalenie długo!! — Jeśliby kto przyszedł, powiesz, że jestem chory i niktogo nie przyjmuję, choćby samego Króla— Chcę być przecie sam jeden spokojny, bez tych hałasów, bez téj ciżby, która mnie goni wszędzie.

Kamerdyner wyszedł — Książę się zamyslił— Książę był ślachtetny, wspaniały, ognisty, odważny, przyrodzenie dało mu, ciało mo-

gące w sobie utrzymać duszę wielką, dało mu duszę, którą on nie poniżył nie długiem lecz chwalebnym życiem swoim. Lecz—możnaż, nazwać słabością— że lubił kobiety. Dewotki tylko stare a brzydkie, fanatycey i rygoryści robią z tego wielkiej wagi przestępstwo; gdy tym czasem w tym jak w innym chwilowym kaprysie, niema nic złego.

Bywają przypadki — lecz pytam którądy przypadki nie przychodzą? Ludzie unierają od zapachu kwiatów. Kłótnie, nieszczęścia zaczynają się często od niegodnych uwagi drobnostek— O! i kobiety mogą poniżyć człowieka, zepsuć go, zruć go nieszczęśliwym! — Lecz Książę nadto był dumny i cnotliwy, aby go kto poniżyć potrafił, nadto był stały, aby go jedna kobieta popsuć mogła, nadto nareście dogadzając swoim urojeniom pogardzał w duszy kobietami, aby się im aż do nieszczęścia dał doprowadzić — Książę się nigdy niecożenił, lubił kobietę jak potrawę, jak suknię, jak konia, udawał, że kocha i śmiał się— była to cecha owego czasu— z takimi uczuciami można było być bardzo szczęśliwym. Szkoda ciębie złoty wieku XVIII wieku filozofij Woltera i Rejencji— niedowiarstwa we wszystkim i wytworniej, dobrego tonu rozpusty!

Książę lubił kobiety, kobiety lubiły Księcia,

był młody, bogaty, znaczący wiele, miły i uprzedzający. Dobijano się o niego--- on śmiał się po cichu, a kochał się głośno, w obliczu całego miasta--- Zaczynano na ówczas wstyd przesądni nazywać!

Wyjechawszy do Łazienek, Książę wstąpił na chwilę do pewnego domu, na pewnej ulicy, a w tym domu na pierwszym piętrze w ozdobnych pokojach, mieszkała Panna S.... Może nie wiecie co to za jedna była ta Panna S....? At sobie! aktorka! z resztą bardzo ładnie i potulnie stworzenie.

Obwinięty w długi płaszcz szary, w swojej czapeczce paśowej złoteni wyszywanej nasuniętej na oczy, Książę wbiegł do jej mieszkania. Chód jego pewny, trzaskania drzwiami i piosnka którą nucił; od razu dały poznać, że ten co wchodził, być musiał Księciem, lub przynajmniej Hrabią, albo nareście bogatym, bardzo bogatym liwerantem.

Panna S.... siedziała na kanapie z gitarą, ubrana w białą suknię, spiętą wstęgą niebieską; a we włosach jej po nad bogatym grzebieniem powiewała także niebieska wstążeczka--- Była zupełnie ładna z noskiem zadartym, z miną figlarną, podskakująca, zwinna, miała w sobie coś pośredniego między ptaszkiem a figurką tańczącą w jasełkach.

Książę wbiegł szybko nie zdejmując czapki ani płaszcza i w patrząc się w nią z zapalem zapytał:

—Czy grasz dziś w teatrze?

—Ach! ach! wykrzyknęła naprzód udając przestraszoną bardzo biegle aktorka — ach! ale jakżeś W. Książęca Mość przeląkł! Serce tak mi bić zaczęło! myślałem że się Bóg wie co stało!

—No! no! mów prędzej! zawołał Książę tupiąc nogą niecierpliwie — czy grasz w teatrze.

—Gram M. Książę.

—No, to niech cię Zośka zastąpi, albo kto inny, albo niech dziś teatru nie grają!

—Książę! — mój benefis!

—A! mniejsza oto — niech djabli wezmą teatr i twój benefis — Pojedziesz ze mną do Łazienek — I Książę rzucił rulonik dukatów na stolik marmurowy.

Panna S.... wybiegła nie mówiąc i powróciła w krótko w kapeluszu i salopie.

—Służę Księżciu! — mówiłam Pannie Zofii.

—Jedziemy! podchwycił nieśłuchając Książę — jedziemy! — I pobiegł tak prędko po wschodach, że biedna aktorka cała zadyszana; ledwie w kilka minut drobnymi kroczkami zdążyła za nim do karéty.

—Do Łazienek! — zawołał kamerdyner do woźnicy— i pojechali!

—Wiesz co— moja droga— rzekł Książę podsadzając do karety Pannę S...., kiedy już wracali z Łazienek— jedź ze mną do pałacu, do mnie. Zjemy wieczerzę, napoję cię słodziuchnem winem jak twoja buzia, pogadamy sobie, zaspiewasz mi.

—Dobrze! najchętniej M. Książę --- odpowiedziała z uśmiechem Panna S...., bylebyś mnie W. Ks. Mość, odesłał nazad nie koczem, nie żadnym innym pojazdem, ale karetą.

—Choćby dwóma! rzekł Książę. Pojechali znowu, przez ulice, przez ulice, do pałacu pod blachą i zajechali szumnie na dziedziniec.

Wieczór już był późny— w około cichość-- Książę wysiadał powoli.

—Cóż to jest? tyle światła w oknach? we wszystkich oknach! Ten francuz upił się albo zwarjował. A! rozumiem, dodał po chwili— To zapewne chciał mnie tak świetnie przyjąć dla imienia— chce kilka dukatów!

Kamerdyner biegł na spotkanie Księcia po wschodach i śmiał się w duchu.

—Wysiadajże! zawołał Książę do P. S.... i piękna aktorka lekką stopą sparła się nie dbale na stopniach karety.

Kamerdyner spójrzał i struchlał-- uśniętym

skonał na szeroko otwartych ustach, oczy otworzyły się jakby miały wyskoczyć z głowy — stał, patrzył i niewiedziało co począć.

—Cóż to ci jest Alfonsie? zapytał Książę, zwarjowałeś zapewne — wszak znasz moją przyjaciółkę Pannę S....? Cóż to jest!

—Nie! nie! na honor — M. Książę — nie! — tylko na honor! honor.

I stał zakłopotany, czy miał złamać urodzony dnia tego honor swój i oznajmić Księżciu, że dwie Hrabine czekały go w sypialnym pokoju, i że tym samym przytomność Panny S...., była zupełnie zbyleczną? czy miał zamilczeć i dozwolić rzeczom iść według ich przeznaczenia.

Myślał jeszcze, a Książę już był na górze z Panną S....

—Siurpryza za siurpryzę! pomyślał kamerdyner biegnąc za Księżciem na górę, zdziwił się pięknie! — na honor!

Książę otworzył drzwi i wszedł — Spójrzył na odmianę ozdób i meblów, na nowe przepych pokoiów, zmarszczył brwi, obrócił się prędko do kamerdynera wchodzącego dopiero i zapytał żywo.

—Co to jest? co to znaczy? co to za meble? co to za obrazy? z kąd to? na co?

—Ja — ja — ja panie nie wiem! nie nie-

wiem odpowiedział Francenz i żeby nie być przymuszonym do dalszych tłumaczeń, a tém samém złamania słowa — uciekł jak szalony.

Książę niemogąc się wydziwić odmianie, ruszając rannionami i stawając co chwila przypatrzeć się nowym ozdobom, poszedł dalej.

Minęli razem z Panną S.... kilka przepysznie przystrojonych pokojów i weszli nareszcie do sypialni — Był to malenki salonik z wyzłacaną misternie alkową, w której stało łóżko za pięknymi pąsowymi firankami — Ani się domyślał Książę, że za firankami ukryły się były dwie Hrabine, chcąc korzystać i przypatrzeć się podziwieniu swego kochanka.

Ledwie za Księciem ukazała się we drzwiach Panna S..., z dwóch stron dwa przeraźliwe kobiece, ostre, gniewne dwa krzyki wyleciały — Palmira pierwsza ukryta długą firanką urwała ją popędliwie i z gniewem do szaleństwa dochodzącym stanęła nagle przed Księciem.

Struchlał i on widząc za nią wybiegającą drugą Hrabinę z równym gniewem z drugiej strony łóżka — struchlał i puścił rękę aktorki, która sobie także krzyknęła przeraźliwie, lecz mniej arystokratycznie i wybiegła ukryć się w innych pokojach.

—Boże! zawołała jedna.

—Cóżem widziała! krzyknęła druga.

—Aktorka— podchwyciła Palmira, aktor-
ka! niewdzięczny! kiedy my żyjem tylko two-
ją myślą, kiedy się jednamy dla ciebie— ty—
o Boże!— aktorka!

Gniew zatamował jęj mowę — Druga do-
kończyła Filipiki.

—Zdrajca!— zawołała zrzucając serwis kry-
ształowy ze stolika— on gardzi naszymi ofia-
rami— najdroższymi ofiarą honoru i miło-
ści własnej— o Boże! aktorka!

I w gniewie porwała alabastrowy zegar no-
cny i strzaskała go o przepyszne zwierciadło,
to uderzenie było hasłem powszechnego zni-
szczenia. Co tylko znalazło się pod ręką, dro-
gie sprzęty sprowadzone zdaleka, szkło, por-
celana, gipsy, zwierciadła— wszystko leciało,
pękało, wywracało się, gniotło, trzaskało na
kawałki. Podłoga pokryła się szczątkami o-
zdób, które wprzód pyszne ze swęj nowo-
ści i ceny oczekiwały Księcia.

A Książę stał jak niemy i próżno po kilka-
kroć, pomieszczanym głosem starał się upamię-
tać dwie nieubłagane kochanki swoje.

—Ale pani!— prawdziwie! na honor! Pa-
ni Hrabino! Palmiro! ale bo— w istocie. Nic
nie pomogło i (proszę wybaczyć za stare po-
równanie) jak w śród burzy morskiej i huku

bałwanów nikną słabe majtków głosy, tak wśród wrzasku, hałasu, trzasku dwóch rozgniewanych pań, niknął słaby głos Księżcia.

Niestalo co tłuc, nie było co mówić—nie można było dłużej pozostać, bo gniew mógł się uśmierzyć, obie więc wybiegły—karęty nie było na podwórzu—musiały czekać na nią. Późno stroskany Książę na klęczkach prosił o przebaczenie, wymawiał się, zaklinał—one uparły się i przebłagać się nie dały. Zaszły nareście karęty, siadły prędko i uwiozły z sobą zazdrość i gniew za nieszczęśliwym trafem wyrządzoną obelgę.

Turkot odjeżdżających pojazdów zginął był w oddaleniu—Książę stał w sali i patrzył zdumiony niedowierzając swym oczom, na ruiny świetnych ozdób, które jak nagle i niespodziewanie przyszły, tak dziwnie zniszczone zostały.

Świeće z długimi knotami płonęły po kątach, inne osadzone w połamanych kandelabrach gały na podłodze, na sofach podarte firanki sztukami wisiały, a we drzwiach do drugiej sali prowadzących wyglądał nosek zadarty i białe ząbki Panny S....

W pewnym oddaleniu stał niemy i prze-

lękuiony kamerdyner zażywając po cichu tabakę z złotój malenkiej tabakierczki.

Księżę po chwili podniósł głowę, rozśmiał się głośno sam do siebie i podając rękę Pannie S...— zawołał.

—Dawać wieszczę!— Alfons!— Chodźmy moja droga!

r. 1831. *Włho.*



II.

LEON LEONTINA.**POWIEŚĆ WARJATA.**

... un paese di dei, abitato da diavoli...



§ 1.

Bodaj to niebo i słońce Hiszpanów i Włochów, tego wielkiego ogniska, przy którym jeździ się grzać Europa cała. Tam to człowiek żyje, tam czuje siebie, tam wszystko rozkoszą, wszystko obrazem, aż do potłuczonej gitary bajadery, wszystko mówi o charakterze Hiszpanów. Wszystkie cechy ich narodowego charakteru stoją wypiętnowane przed okiem podróżnego; kościoły bez liku, wielkie, bogate, stare; księża jak mrówki, biali, szarzy, czarni, processje cały dzień po ulicach, cygara dymiące na Prado, na balkonach okien, przed domami, w domach i na progu kościołów, w ustach nędzarza i granda, papierowe i królew-

skie; domy wielkie, dumne a puste, których okna zasłonięte jak w haremach; potem kobiety, ich wzrok, ich chód, ich ubiór, którym starają się być podobne do Mai -- wszystko, co tylko spotkasz, co zobaczysz, co posłyszysz, będzie rysem ich obrazu, w którym fanatyzm, gruzy Maurów, gitary, kochankowie, duma i zazdrość, będą pierwsze zajmować miejsca. Tyle też już o nich pisano, tylu obcych szukało natchnienia w ich fanatyzmie, tła obrazów w ich niebie, bohaterów w ich tłumie.

Ja i Leon byliśmy na wieczorze w Madrycie, u wdowy Marji, na prawdziwem hiszpańskim wieczorze, na który jadą mułami lub przenoszą się w lektyce, w mnóstwie kobiet, mężczyzn, szpad, piór, śpiewów, zapachów, cukrów, konfitur suchych, owoców, chłodników; gdzie było tyle oczu czarnych, przeciwnych czarnych oczu i nóżek umyślnie pokazanych na złość, wyraźnie na złość.

Leon zawsze żywy, tego wieczora mając szczęście uściskać kilka razy rączkę malenki Marji, oszalał był zupełnie. Wróciwszy do domu, bił, tłukł wszystko, chodził, zrywał się, skakał, rozbierał się do naga aby się ochłodzić, pił limoniadę, jadł pomarańcze, śpiewał, krzyczał i kłócił się.

Ja -- starszy i bardzo z charakteru powolny

napróżno filozoficznie starałem mu się dowieść ulubione moje aksjoma, że kobieta młoda i młoda kobieta wszystkie są sobie równe.

On, pomimo naszej przyjaźni, deklamując o jednem sercu i jednej miłości, o mało mnie nie zabił. Zmartwiło mnie to mocno. poznałem chwyciwszy go za rękę, po 80 razy bijącym pulsie na minutę, że może zachorować. Szkoda mi go było, bo miałem nadzieję, że po kilkunastu latach, jak się wyszumi, będzie człowiekiem doskonale obojętnym na wszystko, pogardzającym, zimnym, a zatém tak jak ja filozofem. Chciałem dla przecięcia jego myśli, pogadać z nim o czasie pierwszego potopu, ale on nie słuchał, jedno i jedno chodziło mu po głowie.

Gdym zamilkł, zaczął chwalić Marię.

—Cóż w niej tak osobliwego,— zapytałem; — czarne oczy, jakich tysiące w Madrycie; nóżka mała, jaką sto razy na dzień pod grubą wienśniaczki zobaczysz spódniczka.

—Ręce tak białe i jak atlas gładziuchne!

Zacząłem się śmiać serdecznie.

—A serce!

—Byłżeś w nim? — zapytałem zimno.

—Znam go. znam tak, jak gdybym był w nim, —podchwycił:—znam go jak swoje. Serce anioła, dusza niebieska!

—Możebyśmy się spać pokładli? -- zapytałem; -- bo dłuższe rozważanie wdzięków wdowy Marii, może ci zaszkodzić Leonie.

Nie słuchał mnie i gadał ciągle.

—Anioł kobieta! Uważ jeszcze co za skromność nad zwyczaje narodowe, nad powszechną Hiszpanek rozwziętość, nad wiek swój młody -- od śmierci męża nie miała kochanka, całe miasto wie o tem, każdy ci to powtórzy: anioł!

—Wszędzie zbyt czyste mieszkienie szkodzi, -- zawołałem. -- Aniołowie z daleka, często są z bliska bałwanami z gliny, pobieleni tylko po wierze. Żaden mężczyzna nie poznał kobiety, na to kobietą być potrzeba.

—Gdybym nią nawet był, -- przerwał Leon; -- nie odkryłbym w niej plamy, ręczę za to, o! ręczę!

—Uważ, że wcalebyś inaczej sądził będąc kobietą...

—Nigdy! nigdy! -- wołał zapalony.

—Nie wierzę!

—Musisz wierzyć, jestem tego pewien. Chciałbym, o! chciałbym na dowód tego zostać na jakiś czas przynajmniej kobietą. Przekonałbym cię na ówczas niedowiarku.

—Siebie byś tylko przekonał, -- odpowiedziałem, rozśmiałem się szydersko, zapaliłem cygaro i wyszedłem na balkon.

On poleciał na balkon za mną. Z niego spojrzeliśmy na Madryt, na ciche ulice, po których się sunął rónť nocny z halabardami; na jasne niebo; odetchnęliśmy powietrzem balsamiczném nocy hiszpańskiej, zaprawnéj wonią pomarańczowych kwiatów, których dwa drzewa tuż rosły. Blisko nich cicha uliczna fontanna biła w górę, a księżyc w jej kropelkach odbijał się pokrajany na drobne cząstki. I słysząc było zdaleka dzwony klasztorów rozmawiające między sobą i gitary, gitary brzęczące w oddaleniu jak muszki w locie.

—Duszę bym oddał djabłu na wieczność całą, — zawołał Leon dręczony mojem niedowiarstwem, — gdybym mógł zostać kobietą i przekonać ciebie.

Kiedy kończył te słowa, wybiła północ u San Isidoro, i śmiech jakiś odezwał się niewiadomo z której strony: pod nami, nad nami, czy z boku. Leon świstał patrząc na ulicę, ale w duchu był trochę przestraszony śmiechem i godziną, ja śmiałem się z niego.

§ II.

Nazajutrz obudziliśmy się nie rano, bo maty spuszczone na okna naszego skromnego mieszkania, nie wpuściły do nas promieni wscho-

dzącego słońca. Podniosłem się nad poduszki i spojrzałem w około.

Służąca wuiosła nam czekoladę i podjęła maty — słońce świeciło w całej swojej chwale. Służąca stawiając czekoladę na stoliku, spojrzała na łóżko Leona, spojrzała, zdziwiła się i wskazała nań palcem.

—Co to jest? — zapytałem.

— Santa Marja! — zawołała służąca; — jakaś kobieta!

—Kobieta? — i wychyliłem głowę i zobaczyłem w istocie na poduszkach łóżka twarz piękną otoczoną blond włosami długimi z zamkniętymi spiącymi oczyma. Jedną ręką dziewczyny biała i kształtna leżała po nad głową, druga obok niej na poduszce. Służąca patrzyła, ja zbliżyłem się do łóżka i wywróciłem krzesło niby niechcący, aby ją obudzić. Kobieta przetarła oczy, westchnęła i zawołała nad spodziewanie nasze z przekleństwem bardzo dobitnym.

—Kto tam?

—To ja! — rzekłem zbliżając się z uśmiechem. Kobieta podniosła się trochę i njrzałem nicostonione jej piersi, białe, kształtne, jak z marmuru toczące. W oczach émić mi się zaczęło; służąca po cichu odczywała się:

—*Maja!*

—Co tu robisz? — zapytałem z uśmiechem.

—Co tu robię? — odpowiedziała dziewczyna; — osobliwsze pytanie! Spałem, a teraz się budzę.

—To widziałem, lecz z kądzies się tu wzięła? — zapytałem znowu, uważając z podziwieniem, że głos téj kobiety miły i pieszczony, podobny był jednak dźwiękiem do głosu Leona.

—E! na honor! — odezwiała się kobieta, — musiałeś zwarzjować Giuseppe? czyż mnie nie znasz?

Odstąpiłem dwa kroki.

—Zdajc mi się, że nie mam tego szczęścia, — odpowiedziałem.

Dziewczyna zaczęła się śmiać, potem, jak gdyby jéj włosy zaczęły zawadzać, wzięła się za głowę, spojrzała na siebie, krzyknęła okropnie i wyskoczyła z łóżka w koszuli.

Służąca uciekła żegnając się i wzywając N. Panny z Atocha.

—Co to jest? — krzyknęła przeraźliwie. — Co to jest? coście wy mnie zrobili? Giuseppe! kto ja jestem?

Stałem osłupiały. — Kto jesteś, nie wiem! — odpowiedziałem; — widzę tylko żeś kobieta!

—Kobieta! — krzyknęła dziewczyna; — nie!

nie! to być nie może! to kłamstwo! to piekielne oszukaństwo! Co to jest? co to jest?

—Ja tego nie rozumiem.

—Jakto? nie znasz mnie? nie znasz? jestem przecie Leôn, twój przyjaciel Leon.

Uśmiechnąłem się z przymusem i cofając się ku drzwiom mimowolnie przeżegnałem.

—Co robisz! precz z krzyżem! zawołała dziewczyna rzucając się na łóżko. Na co się żegnać— chcesz żebyś mnie uciekł! mnie to boli! okropnie boli, na co to? na co to?

I byłem już blisko drzwi i chciałem uciekać, bo strach ogarnął mnie nie pomatu. Ona porwała mnie za rękę. Przyznam się, że mimo całej mojej odwagi, ręka moja prawaszyła znowu krzyż rysować na piersiach, a dziewczyna odskoczyła krzycząc przeraźliwie.

—Wiem teraz, wiem co się stało — zawołała! — o! ja nieszczęśliwy! Jestem kobieta! jestem Leon kobieta! Leon! — pamiętasz wczorajsze moje słowa o północy, wczorajszy śmiech dziki, wczorajsze życzenie, o! przekłete życzenie— zostało wysłuchane!!

Byłbym zawsze sądził, że to są żarty, lub scena na umyślnie przygotowana, gdyby nie boleść dziewczyny wyryta z całą cechą prawdy na jej twarzy i we łzach. Przeglądnie-

nie i żal szarpały mnie, stałem u drzwi i nie-
uciekałem— Ona, wołała łkając ciągle.

—Jestem kobietą! o! Marjo straciłem cię na
wieki!— Czuję, czuję już w sobie inne my-
śli, inne serce, inną duszę! Na cóż mi pamięć
przeklęta została?— O! ja nieszczęśliwy.

—Nie opuszczaj mnie przynajmniej, zawo-
łała potem nie opuszczaj mnie, bądź jak da-
wniej przyjacielem moim, przyjacielem potę-
pionego — potępionój! — Dodała po chwili.
Moje serce męskie, moja dusza, myśli dawne
wszystko zginęło! — moje rokosze — o! nie-
szczęśliwa godzino!

Chwilę milczała dziewczyna, potem por-
wała się z łóżka i poszła do zwierciadła. I wi-
działem jak raz pierwszy, wzrok chciwy, wzrok
żarłoczny, wzrok kobiety utopiła w nim i szu-
kała siebie i pytała go o swojej piękności. Wi-
działem jak rumieniec pokrył jej twarz i po-
dobieństwo uśmiechu przeleciało po wargach,
przesunęło się i znikło.

Przed zwierciadłem dopiero uczuł Leon, że
został kobietą i ja poznałem to po jego na-
miętnym wzroku, który uwiązał w zwiercie-
dle, Tak! on został kobietą!— potępioną ko-
bietą! — Miałem dotrzymać mu przyjaźni
i potępiać się niechcibnie w jego, a raczej w jej,
towarzystwie? Strach brał mnie za kołnierz i

wyprowadził za drzwi; łzy i prośby, a raczej piękność mojej potępionej przyjaciółki trzymały mnie jak przywiązanego przy kłancie.

Zgadnijcież czym uciekł, czy zostałem?

§ III.

Zaprowadziłem Leontynę do wdowy Marji i poleciłem ją jej przyjaźni jako siostrę Leona, a sam z boku patrzałem na ich przywitanie. I widziałem jaki był wzrok obojga — nie ten już co przedtém. Marja była niby zmartwiona, niechętna i mierzyła dziewczynę okiem zazdrości. Leontyna bowiem była piękna, jak anioł i piękna nie po hiszpańsku, lecz jak prawdziwa kobieta, bo blondynka.

A Leontyna patrzała na Marję zimno, poważnie przymrężając oczy i bawiąc się wachlarzem. Siadły koło siebie — ja udawałem, że czytam, ale patrzałem na nie. Ich wzrok śledził wzajemnie najdrobniejsze szczegóły — były to dwie kobiety! Patrzyły sobie na ręce, na płeć, na twarz, na nogi, jak gdyby się lękały piękności swojej wzajemnie! śledziły się jak dwóch mężczyzn kiedy się z sobą spotka szuka i śledzi, myśli i sposobu myślenia swego, wybaduje słowami, uśmiecchem, przystuchuje się i sądzi po cichu.

Potępiona swými bystreimi przymrężonemi

oczyma nie długo poglądała na Marję, potem odwróciła się dumnie i obojętnie. Znać było że z pierwszego widzenia obie się nie pokochały. Ja zapomniawszy o wszystkiem, radowałem się tylko, że Leontyna już dzieli moje zdanie. Lecz tryumfować nie mogłem jeszcze.

Poszedłem zostawiając je na dzień cały razem z sobą.

Wieczorem Leontyna wróciła do domu w lektyce Maryj, rozebrała się nic nie mówiąc i położyła w łóżko spokojnie, przyniosłem jej dawnym zwyczajem cygaro— Niechciała palić, bała się o swoje ząbki— była kobieta.

Powoli i ostróżnie, jak ze zwyciężonemi postępować potrzeba, aby ich nadto nie upokorzyć, przystąpiłem do jej łóżka, usiadłem w nogach i niby od niechcenia zapytałem.

—A cóż Marja?

—Marja! odpowiedziała potępiona rumieniąc się trochę— Marja! miałaś słuszość— daleka od anioła, dość kilka godzin być kobietą, aby ją poznać.

—Niezaprzeczysz przynajmniej, że jest piękną.

—Piękną! podchwyciła Leontyna po cichu— zapewne! ale gdybyś widział ją jak ja w kąpieli. Ja jestem daleko piękniejsza—!

Zaczynałem to czuć, ale umyślnie udałem
żem nie słyszał i zapytałem.

—A serce?

—Serce! jak zwykle— bardzo płochie, bardzo gorące, lecz że wdowa, że widziała świat pod trzema postaciami, świat panieński, świat mężatek i świat wdowi, umie nie nie pokazać po sobie, zmyślać litość i czułość gdzie potrzeba. być obojętną na pozór, kiedy się jej dusza hurzy. O! gdybym ją była znała będąc jeszcze męszczyną, tak jak ją znam teraz, byłabym już jej kochankiem— nie kobietą!— nie szczęśliwą kobietą! potępioną!

I tży błysły na chwilę w jej oczach i powróciły nazad z kąd przyszły, do serca.

—Cóż mi z tego życia, wołała— potępiona! nie mam przyszłości. To moje, co przeżyję, czego doznam i skosztuję w życiu.

Porwała się i siadła na łóżku.

—Muszę mieć kochanków zawołała— kochanek, to życie kobiety, jej przyszłość, jej skarb.— Ty mnie nie kochaj— dodała, zrobiłabym cię nieszczęśliwym, czuję, czuję Giuseppe, że do mego szczęścia trzeba wielu nieszczęśliwych, nie będę miała rokoszy bez cudzych łez i mąk, użytych za jej przyprawę. Jestem potępiona!

Zemsta— moje życie— Będę kochać i rzu-

cać, zabijać i męczyć! muszę użyć życia i wdzięków — Wszak jestem ładną? nieprawdaż? I znowu poszła do zwierciadła używać oczu swoich świadectwa. Ja byłem przestraszony i poruszony, serce biegało po moich piersiach, czułem niespokojność nadzwyczajną. Spójrzałem na nią — śmiała się, a w tym uśmiechu splecione było nicbo i piekło, miłość i szyderstwo.

— O! niekochaj mnie! powtórzyła z tym uśmiechem — będziesz nieszczęśliwy — nie — żadnej nie kochaj kobiety, a mnie najbardziej — jestem potępiona! O! bodajbym tylko pożyła jeszcze, a życie moje opłacić mi straconą wieczność!

Odstąpiłem kilka kroków od łóżka zamysłony. Północ, godzina przegradzająca dziś od jutra, wybiła głucho u San Isidora. Dwie świece nasze zagasty. Lcontyna zasnąć musiała, bo próżno pytałem ją kilka razy, nie mi nie odpowiedziała.

§ IV.

Lcontyna tańczyła *Bolero*!

A w około stali grandy hiszpańskie i książęta obcych krajów i możni panowie i kobiety.

W około błyszczała sala światłami i stroja-

mi, a przez otwarte okna z podwórza gość miły, przechodził zapach pomarańcz, granatów, jaśminu, kwiatów bez liczby i nazwiska, które woń swoją pałą przed panem swoim, człowiekiem. W salach mieszały się te zapachy, z zapachami kobiecych strojów, z gorącym tchnieniem kobiet hiszpanek, z zapachem ich krótkich sukni, ich czarnych lśniących włosów, ich zasłon cienkich i przezroczystych. Słudzy roznosili bezustannie cukry i konfitury, wina i chłodniki, damy zabierały cukry w chustki i kieszenie, zabierały chciwie i pożerały łąpczywie.

Dalej starsi, a mniej ciekawi, paląc cygara *del Rey*, jakich my dymu nieślyszemy nigdy na drugim końcu Europy, patrzyli zimno, milczący, dumnie, potrząsając tylko głową poważną i próżną i patrząc to na miasto, to na salę.

Leontyna tańczyła *Balero*. Ona cudzoziemka, ómiła wszystkie hiszpańki, które poglądając na nią zazdrośne i na swych mężczyzn stojących z uwielbieniem w otwartych ustach, darły końce chustek w których były ich cukry, ich powszednia rokosz.

Leontyna tańczyła *Balero*, jej noga nie-tykała podłogi, ciało zdawało się przełamywać, chylić, zginać; prostować, zmniejszać,

powiększać, według jej woli. Był to taniec bańki mydlanej świetnej, błyszczącej latającej na skrzydłach wiatru.

A Grandy hiszpańskie milczące i dumne z łańcuchami na piersiach i ogniem w oku uwielbiali ją po hiszpańsku, to jest patrząc chciwie i niemówiąc ni słowa.

Ona! tak była ładna! — Ja sam, ja mimo mojej powolności czułem już zazdrość w sercu, pierwszy miłości początek, czułem zazdrość, że ją tak inni uwielbiali, że na nią patrzyli, chciałem ją odprowadzić do domu, chciałem ją zamknąć — Nie myślałem już o potępieniu — Serce moje wrzało!

I ja śmiałem kiedykolwiek filozofem się nazywać! o! profanacja!

Skończyła Bolero i siadła zwycięzka. Wszyscy zbiegli się do niej i otoczyli ją, patrząc jeden na drugiego z boku jak psy, kiedy się do jadła zbliżają. Pytali, wielbili, klękali prawie przed nią — ona zdawała się być szczęśliwą, uśmiechała się radośnie, wesoło, ale nie patrzała na mnie, nie myślała o mnie — byłem zły i gniewny.

Do niej zbliżył się jakiś młody człowiek — ubrany był bogato, a choć był bardzo młody jeszcze, nosił już na piersiach ozdoby tak drogie w oczach Hiszpanów. Was jego i bródka

Isniły się od czarności, nie tknięte jeszcze od swego urodzenia, twarz miała ten ciemny kolor Hiszpanom właściwy, który tak pięknie od żywego odbija rumienca.

Widziałem jak się zbliżył do niej z gałązką jaśminu białego w rękę, jak się uśmiechali do siebie oboje, jak od niego kwiatek przyjęła, jak wszyscy zazdrośnie na szczęśliwego patrzali.

Zę złością wybiegłem ztamtąd, poleciałem nie wiedząc gdzie idę i uszedłszy wielki kawał drogi, stanąłem oparty o poręczę mostu na Manzanaresie, rzeki, która swoją małością żartuje z Madrytu i mostów nie wielu na niej wzniesionych.

Noc była tak piękna! ta sama noc, którą widziałem kiedy Leontyna była Leonem; którą widziałem przed chwilą zaglądającą w okna sali balowej to samo powietrze, ta sama spokojność. Podemną biegł Manzanares z brzegu trzcina zarosły, przedemną widać było miasto i wieże blachą kryte i gałki złożone i krzyże oświecone księżycem, dalej drzewa, gmachy milczące, ogromne i puste Eskurjału, a gdzie niegdzie światła nieliczne migające, a nad głową iskrzących gwiazd miliony.

Stałem tak długo.

Dwie osoby przyszły na most.

Mężczyzna i kobieta.

On w płaszczu i kapeluszu z piórami, ona w Mantilli. Rozmawiali — ja stałem ukryty i patrzałem i widziałem nawet nie mając co innego do roboty, każde ust ich poruszenia. Noc była jasna, bez chmurki, przezroczysta, jasna jak dzień, lecz nie tём światłem rażącym słońca, ale gazowem, drżącym naszego przyjaciela księżycy.

Mężczyzna obejmował w pól i całował kobietę, w same usta! ach! jakżem mu zazdrościł! Potém klękał przed nią i zakładał palec na palec.

Może przysięgał-- ale nie słyszał przysięgi. Potém dziewczyna potrząsała głową, jakby nie wierzyła, on klękał znowu, wskazywał na księżyc i zakładał palec.

Potém ona wyjąwszy rękę z pod Mantylli, poruszała nią, trzymając w palcach coś białego, może jakie kwiatki.

Dziewczyna, mówiąc coś do niego, zbliżyła się do samego poręcza mostu i rzuciła kwiatki w wodę, widziałem jak leciały, padły i zabielały na fali.

Mężczyzna podniósł się nagle, rzucił płaszcz i z piórami kapelusz pod nogi dziewczyny i skoczył z mostu w wodę, kładnąc rękę na sercu. Szukał zapewne rzuconych kwiatków.

A dziewczyna stała nad poręczem mostu schylona, patrzyła w rzekę i uśmiechała się.

On płynął długo bezskutecznie z rzeką, po tém wrócił, kręcił się w koło, szukał na prawo i lewo.

Kwiatków nie było. Dziewczyna stała i patrzyła obojętnie jednym wzrokiem na niego i na wodę i uśmiechała się. Ja drżałem z ciekawości i przestachu, zapomniałem był całkiem o sobie, żyłem życiem pływaka, poruszałem się mimowoli, kiedy się on poruszał, machałem rękoma, jak gdybym płynął sam, oddychałem ciężko jak gdybym był strudzony.

Zanurzył się w wodę! — Dziewczyna patrzyła obojętnie, bez poruszenia, bez niecierpliwości, bez bojaźni — ja jakbym sam był w wodzie, zatrzymałem oddech niespokojnie, długo, długo, o małym się nie udusił.

On nie pokazywał się nad wodą — podbiegłem kilka kroków po moście, spójrzałem w rzekę, krzyknąłem, klasnąłem w ręce. Dziewczyna stała i patrzyła nieporuszona, tylko wiatr kołysał jej Mautyllą i szeleścił nią w powietrzu.

Długo nie pokazywał się nad wodą.

Pobiegłem mostem do dziewczyny, spójrzałem i krzyknąłem. To była Leontyna.

—Ty tu? — zawołałem.

—Tak! ja! — odpowiedziała obojętnie.

—On utonął!

—Utonął,— odpowiedziała spokojnie, patrząc jeszcze w wodę; — utonął! Cały wieczór kochaliśmy się. Jutro byłby ostygł i ze wschodzącem słońcem byłby sądził o mnie bez uczucia, bez miłości, bez zapалу, zimno i szydercko, jak wszyscy mężczyźni, jak ja sama dawniej. Jutro byłby się śmiał ze mnie i z łatwego zwycięstwa nad słabym sercem kobiety, a słabszą jeszcze jej enotą. O! dobrze że utonął!

—I ty o tém mówisz tak obojętnie?

—Jestem potępiona! — odpowiedziała mi patrząc w rzekę.

W téj chwili po nad wodami pokazał się niej trochę chłopiec; — poznałem go, ale twarz miał siną i płynął z wodą jak kawał drzewa, a za nim tuż biały bukciecik jaśminu.

Rzuciłem się ratować go — już nie żył.

§ V.

Cały Madryt uwielbiał Leontynę, starzy i młodzi. A kobiety -- one byłyby ją struły, zabiły, gdyby mogły. Ja, ukrywałem w sobie uwielbienie i miłość ku niej, ale kochałem ją, bez nadziei ostygnięcia kiedykolwiek i rzuci-

łem dawną moją filozofję precz, jak niepotrzebną suknię.

Ona czy wiedziała o tém, czy nie? nie wiem; aleśmy o tém nigdy nie mówili z sobą.

Leontyna wyniosła się na mieszkanie za miasto, żeby nie patrzeć na kościoły, nie słyszeć dzwonów i nie oglądać co chwila z okien processij i uciec od śpiewów księży. Była potępiona — wszystko, cokolwiek świętość przypominało, piekło ją jak gorące żelazo; krzyż, woda święcona, szkaplerz, różaniec, konwulsjami ją nabawiały. Kazała mi mieszkać z sobą, mieszkalem. Jej życie upływało na zabawach, wieczorach, w kochankach, ale żaden z nich dłużej dnia jednego z nią nie przebył. Ukazał się i niknął bez śladu, bez powrotu. Następował drugi, i tego tenż los czekał — gdzie się podzieli, nie wiem; a chociaż ginęli, było ich zawsze wielu nowych. Ona wybierała jednego, uśmiechała mu się rokosznie, zatrzymywała go u siebie — i więcej już się nie pokazywał.

Pytałem ją bojaźliwie co to znaczyło?

Odpowiadała mi obojętnie:

—Dłuższe kochanie nic nie warto! Ja, nie mogę życia marnować, jedno mam tylko życie, bez przyszłości, bez nadziei. Przechodzę z kochankiem w parę godzin całą drogę mi-

łości, którą inne kobiety przechodzą tak powoli, a potem -- Adios!... na wieki!... nie mam czasu!!

—Cóż się z niemi dzieje?

—Jak przejdzie krótka noc rokoszy, z moich objąć oddaję ich w chłodne objęcia mego przyjaciela Manzanaresu. -- Odpowiedziała potępiona. -- Kto chce szczęścia, drogo opłacić go musi. A z resztą, oni mogą śmiało umierać; oni mają jeszcze przyszłość, wieczność, niebo, — a ja jestem potępiona!

Drżałem gniewny i oburzony.

—Jak śmiesz przyznawać mi się do takich rzeczy? — zawołałem. — Ja cię wydám! Mój honor, moje sumienie, religja, cnota, każą mi wydać ciębie.

Patrzała na mnie wielkimi oczyma i ruszała ramionami, przebierając po gitarze.

—Idź i wydaj mnie,— mówiła;— skróć moje życie, oddaj mnie piekłu, jeśli chcesz... idź!

Stałem.— A gdybym poszedł?— zawołałem.

—Idź! — odpowiedziała obojętnie przyspiwując i rozśmiała się szydersko.

—Wiesz chyba, że cię kocham, potępiona!-- zawołałem.— Wiesz! o! nacom tego dożył, żeś mi droższa nad sumienie, honor, cnotę, nad religję, nad wieczność, nad życie, nad wszy-

stko! nad niebo! Wiesz to, przekłeta; wiesz i uragasz się ze mnie?

Ruszyła ramionami.

—Ja nie wiedziałem o tém! — rzekła cicho.

—Rozumiem! — zawołałem; — nie chcesz o tém wiedzieć, nie kochasz mnie. Ty co każdego dnia uszczęśliwiasz jednego, mną gardzisz, mnie nie kochasz, nie wart jestem nawet umrzeć dla ciebie i pójść z tobą do piekła!

I upadłem przed nią na kolana w zapale.

—Chcesz że jak oni utonąć w Manzauaresie, — zawołała szybko. — Przyjacielu! mówiłam ci, żebyś mnie nie kochał — uciekaj jeszcze, jeszcze pora. Idź! idź sobie! Idź! uciekaj!

—Nie pójdę, — zawołałem; — kochaj mnie pół chwili i zrób potem co zechcesz.

—Nie! nie! odpowiedziała — kochałam cię mężczyzną i nie mogę cię zgubić — Idź sobie w świat — albo. —

Niedokończywszy tych słów, rzuciła gitarę o ziemię i strzaskała ją na kawałki, i pobiegła. Ja zostałem sam z twarzą i sercem w ogniu, w rozpaczach ze spuszczonej rękoma, bez myśli, bez przytomności, jak winowajca złapany na uczynku.

Noc się zaczynała.

W nocy śniło mi się, że mnie ktoś w twarz

całował. na twarzy była plama jak od oparzenia. Nazajutrz Leontyna znikła, znalazłem tylko kwią pisana karteczkę na moim stole.

Karteczka zawierała te słowa:

Przyjacielu!

Nie zobaczymy się więcej — chyba nie na tym świecie, nie kochaj mnie i zapomnij — Wam to tak łatwo! — Nie żałuj żeś nie był szczęśliwy ze mną — niema czego żałować — Ja pozostanę w Madrycie, lecz próżno szukać mnie będziesz — nieznajdziesz pewno. Razem nie mogliśmy żyć dłużej, szło o twoje szczęście i zbawienie.

Ja jestem potępiona. W moim uścisku konała kochankowie, mój pocałunek jak ogień parzy, zostawiłam ci go na pamiątkę — Ja, jak wąż obejmuję i duszę. Sztylet, woda, trucizna, są moimi przyjaciółmi — Piję krew ciepłą jak wodę, łyżę jak wy limonadę — o! słodka krew wasza, miłe łyżę wasze! — Gdybym dłużej żyła z tobą nie wiem czylibym się od ciebie wstrzymała, możeby nowe moje ciało zwyciężyło chęciami swemi, dawniej przyjaźni pamiątki — Możeby mi zabrakło kochanka i ty byś zginął biedny. Nie! niechcę tego, niechcę, znałeś mnie w mojej młodości człowiekiem, kochałeś mnie! niechcę luby — Chciałabym

umrzeć! żyj szczęśliwy i nie kochaj potęgionej Leontyny.

§ VI.

Jednego dnia pobożny lud Madrytu zbiegł się na ulice. Okna, balkony, drzwi, dachy, drzewa, wszystko było ludźmi zasiane, powiewały mantylle, płaszcze, pióra kapeluszków, błyszczały szpady, dymiły nicodstępne cygara.

Cóż to było? Czy Torreadory z pourowianymi płaszcami idący na walkę byków? Czy processja Bożego Ciała? Czy wejście wojska do stolicy? — Czy biczownicy krwią zlani? Czy trup znaleziony na placu? Czy relikwie prowadzone tryumfaluie dla uproszenia deszczu??

A gdzie tam! — Było to — *Auto-da-fé*.

Szli księża i tajemnicze szeregi penitentów — szarzy, biali, czarni, kałowi w kolorowych i białych ubiorach uroczystych, komżach, stułach, kapach. Przed nimi niesiono latarnie z malowanemi szklami, zielone i czerwone świece otoczone wiankami, ołtarzyki, ubrane w paciorki i wstęgi, krzyże, wielkie i małe, czarne i kolorowe, posążki strojone w paciorki i kwiaty, chorągwie i chorągiewki, bębny i bębenki. Potém szli znowu zakapturzeni księża z oczyma świecącymi

przez otwory kapturów, ze złożonemi na krzyż rękoma, śpiewając psalmy.

Potém, dalej, powiewała chorągiew zwycięska Ś. Dominika, a na niej pies z pochodnią w pysku, świat i obłoki; dalej straż miejska ubrana odświętnie i słudzy świętej *Hermandad*, dalej księża, księża, księża, cały naród księży, a wszyscy śpiewali śpiewali i szli.

Potém szli skazani na śmierć i ci którym straszne widowisko przeżyć dozwolono. Malowane *San Benito* pokrywało ich. Na głowie i całym ciele, mieli ubiory na których płomienie pomalowane były. Jedne płomienie paliły się do góry, jakby za gardło chwycić chciały nieszczęśliwych, drugie gasły na dół zwrócone. Każdy z skazanych niósł świecę.

Twarze ich blade z czerwonymi plamami, włosy krótko ostrzyżone, członki powykręcane torturą, nogi białe i skrwawione, w nikim niewzbudzały litości.— Byli to heretycy!

Za niemi szli inkwizytorowie bledzi jak ich ofiary, za niemi W. Inkwizytor, mały, chudy z kaszlem w gardle.

Wielki plac przed Eskurjałem gotów był do świątobliwej ekzekucji. Stosy z palami powbijanemi w środku z łańcuchami wiszącemi, obok stały milczące i groźne.

Zaczęły się obrządki— Oddziolono licznych

skazanych, od niewielu, którym przebaczone i pozwolono żyć uczyniwszy ich ciało niezdatuem do życia. W. Inkwizytor siadł na przygotowaném podwyższeniu, a w koło—siedzieli: Król, Królowa, Ministrowie, Biskupi, Grandy dumne w kapeluszach, młodzieź, Domy czarnookie—Dalej lud ciekawy stał tysiącami oczu patrząc ciekawie na plac. Księża skruszeni stali w szeregach, chorągiew podskakiwała w powietrzu, roznoszono na galerjach chłodzące napoje, toczyły się rozmowy, rozsądzano czy auto-da-fe więcej czy mniej zajmuje od walki byków.

Skazanych przywiązywano do słupów.

I ja podniosłem się na palcach aby ich zobaczyć, ich którzy za chwilę mieli być garstką popiołu, ich których dusze miały za chwilę oglądać świat ten tajemniczy, o którym my marzym całe życie, zaglądałem ciekawie przez kornet starcej baby stojącej przedemną w rozłożystych okularach i czarnej zastonie.

Spójrzałem i krzyknąłem z podziwienia.

Wszyscy obrócili na mnie oczy. Pomiarkowałem się i chcąc naprawić com popsuł, zacząłem się śmiać.

Jakiś czarno ubrany, suchy i blady jegomość przystąpił do mnie i grzecznie zapytał.

—Czego się śmieję?

—Z niczego— tak! tak sobie! odpowiedziałem.

—Może z obrządków inkwizycyjnych? zapytał.

—O! bynajmniej!

A on patrzył na mnie, jak gdyby mi moje myśli chciał z głębi duszy wyciągnąć.

Był to— *familiaris* Świętej Inkwizycji.

Patrzałem— na jednym stosie przywiązywali dwaj pachołcy kobietę do słupa— Była to Leontyna! Cierpliwie dawała z sobą robić co chciano; ciało jej do połowy obnażone, poszarpane było i pokaleczone torturą, piersi czarną zaschłą krwią okryte były, twarz tylko boleścią odmieniona, nie tknięta była żelazem. Odwracała oczy od krzyżów i zakrywała je rękoma póki miała ręce, gdy je skrepowano zamknęła oczy. *Familiaris* nie odstępował odemnie.

Ognia niepodkładano jeszcze.

Zapytałem go, za co tę heretyczkę na piątym stosie od brzegu palić mają?

—Jest to najszkaradniejsza czarownica, odpowiedział mi po cichu, kiwając głową, żegnając się i całując krzyż z relikwiami pod suknią ukryty.— Czarowała ona i przyciągała do siebie oczyma, a potem zabijała ich i krew z nich piła. Okazano to dowodnie. Był to szatan w kobięcém ciele, inaczej jak ogniem nie można

go było wypędzić— od niego uciecze pewno, od święconego ognia.

I kończąc te słowa znowu się przeżegnał bojaźliwie. Dano znak podpalania stosów. Czarni ludzie z pochodniami przystąpili, otworzyły się podwójnie oczy całego ludu— śpiewy zabrzmiały— W. Inkwizytor spał na podwyższeniu.

W kilka minut suche drwa stosów zajmować się i płonąć zaczęły. Ja, niemogłem nawet pokazywać po sobie boleści i żalu, bo Familjarris ciągle stał przy mnie. Dymy ze wszystkich stron kłębamися wznosić się zaczęły.

Wówczas to kiedy pierwsze płomienie dogrzewać zaczęły nieszczęśliwym, trzeba było słyszeć ich jęki z całą siłą życia odzywające się, wśród nabożnych pieśni nieporuszonych bractw i penitentów. Niektórzy chcąc stałość charakteru okazać długo ani się odezwali, inni niepomni na wszystko wśród mąk okropnych, krzyczeli, targali się, rzucali głową, oczy ich błyszczały okropnie, ciała sine i okopcone wyglądały drgające wśród dymu.

Pieśni brzmiały. W. Inkwizytor spał na podwyższeniu.

Potem okropniejsze jeszcze dźwięki słyszeć się dały, płomienie dosięgały głów nieszczęśliwych, dusili się, konanie tuż było, śmierć przez płomienie zaglądała im w oczy.

I jakaż śmierć! — w obliczu tysięcy ludu, patrzącego na nią z założonemi rękoma — cygarem w ustach i religijną skruchą.

Pieśni nabożne brzmiały. W. Inkwizytor spał na podwyższeniu.

Czasami dym zupełnie okrywał stosy, czasami widać było papalone ciała heretyków i czarnoksiężników i żydów, dziesięcioletnich dzieci, siwych starców i młodych kobiet. Jedni żyli jeszcze jęcząc przeraźliwie, drugich paliły się trupy czarne z głową zwieszoną, z językiem wiszącym, z oczyma wysadzonemi nad głowę, z opalonym włosem. — Okropnie patrzeć było. A lud prawowierny patrzył i uwielbiał nieugiętą *sprawiedliwość*.

Pieśni nabożne brzmiały. W. Inkwizytor spał na podwyższeniu.

Ja cały żyłem oczami, a Familiaris nie spuszczał ze mnie wzroku ani na chwilę.

Na piątym stosie paliła się potępiona!

A z nią było serce moje na stosie, a usta moje, bały się słowa z żalu wymówić, oczy, łzy żalu uronić. Podły! cenilem nędzne życie; więcej niżem czuł boleść.

Jój stos palił się powoli, ona niekrzyczała, twarz jój niezmieniła się, oczy miała zwrócone na mnie, na mnie! tak! na mnie. Wi-

działa mnie i żegnała biédna potępiona! O! jakżem chciał ją ocalić!

Lecz żal mój nie był zapałem, życie było mi drogie.

Kiedy dym gęsty coraz bardziej buchać zaczął i okrył ją mglistą szatą swoją, widziałem długą jój główkę otoczoną płomieniem palącym się we włosach— potém— dym zakrył wszystko.

Pieśni nabożne brzniały, W. Inkwizytor drzémał.

Nagle wrzaskiem straszliwym rozległo się powietrze, nawet W. Inkwizytor się przebudził. Lud krzyczał i uciekał bez ładu. Mni chy opuścili chorągwie i rozbiegać się w popłochu zaczęli — Familjaris mój zniknął, ja stałem jeszcze.

Widać było opadający dym i płomień piętego stosu. Zamiast trupa Leontyny, pokazał się przykuły do słupa łańcuchem, czarno czerwony, rogaty, z ogonem, z pazurami, z uśmiechem piekielnym, djabeł szkaradny.

Potém ziemia się rozstała nagle i piąty stos zniknął w jój wnętrzościach.

Potém pół roku chorowałem na gorączkę. Teraz, bardzo niesprawiedliwie oddano mnie do domu warjatów.

V.

B E D L A M.**RZECZ LEKARSKO - FILOZOFICZNA.**

Wszyscy bez braku chorujem na głowę,
Choć jeden wziął funt głupstwa a drugi połowę.
Naruszewicz.

§ I.

Gdybym nie był doktorem w Bedlam, to jest Doktorem warjatów, chciałbym być warjatem — jest to stan bardzo szczęśliwy.

A choć ja zawsze z professji muszę we wszystkiém trzymać się środka, z charakteru jednak wolę ostateczności, i uważam za rzecz daleko pożądanszą być całkiem oszalałym, niż tak przez połowę jak my wszyscy. Tak! wszyscy — bo któż z nas pochlubić się może rozumem stałym, na wszystkich punktach jego działania? Każdy ma rodzaj szaleństwa sobie wła-

świwy, zacząwszy od dzieciństwa aż do śmierci, przechodzim tylko rozmaite zmiany pomieszania umysłowego, lecz nigdy się z niego wyleczyć całkowicie nie mogę.

Nigdzie się tyle razem heroicznie zbudowanych ludzi, nigdzie tyle dusz śmiałych napatrzyć nie można, jak w Bedlam. Wielu z tu-
tejszych szaleńców, wysunąwszy się za granice ogólnego wszystkich ludzi szaleństwa, miało przed wejściem do Bedlam dwojaki los przed sobą: Być okrzyczanemi wielkiemi, albo oszaleć. — Tu wszystkie prawie indywidua mocną kompleksją żartują z chorób, a zdolnościami moralnemi byliby pewno doszli wysoko między ludźmi, gdyby na drodze do wielkości, zapędziwszy się w biegu, nie wyskoczyli za granice najśmielszych pospolitych myśli, nie pomięszali wyobrażeń, nie przystali nareście formą i ubiorem swych myśli do reszty ludzi. Mijam bowiem tych, którzy nieszczęśliwemi wypadkami życia rozkołysaną mając duszę i wstrząśnięty umysł, stanęli myślą na jednej z epok swojego życia i stoją nie mogąc się wywikłać ze swych *idées fixes*. Ci pokutują tylko za swój egoizm i czułość zbytęzną.

Lecz wielu jest i takich, których skazano na pokutę za to, że nadto myśleli i myśleli o rzeczach, o których myśleć nie wolno pod ka-

rą szaleństwa lub rozpacz. Oni spalili się przy ogniu wyobrażeń błędnych, których sami pojąć nie mogli. Myśl ich chodząc po mózgu popaliła jego naczynia, rozerwała jego niteczki, przewróciła go, zmięszała, zgniotła na miazgę. Stali się ludźmi innego świata; świata, którego sami są ludnością, prawodawcą, Królem, mówcą i słuchaczem. Nie bez przyczyny, każdy kto się puszcza w ciemny labirynt rozważania rzeczy, których nigdy pojąć nie potrafi, kontentując się swými i cudzemi paradoksami, męcząc się żeby ujść dalej niż drudzy, lękać się powinien szaleństwa. W Beldam wielu jest bardzo warjatów, którzy od myślenia oszaleli. Są, powtarzam, rzeczy których ludzie nigdy pojąć nie potrafią, i o którychby powinni zakazać sobie myśleć, w takich razach lepiej dozwolić działać sercu niż głowie, i spuścić się na przeczucia. Są inne rzeczy, które pojawiawszy, człowiek pali się od nich, usycha i ginie; w ogólności najszczęśliwsi i najzdrowsi są głupcy, a ci bardzo się różnią od warjatów, a prawie nic od zwierząt. Oni nie myślą, nie pojmują i działają tylko instynktowie; trawiają doskonale, śpią smaczno i żyją długo.

Co się tycze pojmowania, niech mi wolno będzie przykład jeden przytoczyć.

Weźcie dwie szklanki równej wielkości, równo szerokie od spodu i z góry. Czy nie śmiesznie byłoby chcieć, aby jedna szklanka objęła drugą, aby się jedna zmieściła w drugiej? nieprawdaż? Jest-to rzecz, którą każdy sprawdzić może każdego czasu w kredensie — lecz jeśli wolno (tak, jak się od wicków dzieje bez najmniejszego sensu) z fizycznego świata brać miarę o moralnym; powiem wam, że toż samo się dzieje z rozumem i duszą tych ludzi, którzy chcą pojąć siebie i swoją duszę i jej naturę?

Jest to rzecz niepodolna — Rzeczy albowiem jednej natury zlewają się w jedno, mając gorycz w ustach, nowej tego samego stopnia goryczy nie uczujem; światło potrzebuje ciemności, żeby się światłem wydało. Dusza więc to tylko pojąć może, czemu jest tak przeciwną jak słodycz goryczy, ciemność światłu, — to jest, pojąć może wszystko, co jest materialnym, siebie zaś i prawd niematerialnych nie pojmie, bo sama jest jednéj z niemi natury. Bóg tylko jako istota jednéj natury, będąca wyjątkiem i koroną jestestw duchownych — pojmuje sam siebie.

Dusza, każdą myśl, którą pojmuje, ubiera wprzód w szaty zmysłowe: nikt nigdy nie

niał prawdziwie oderwaną i czysto umysłową myśl. Byłoby to przeciw naturze.

Droga zaciękań metafizycznych jest prostą drogą do powątpiewania o wszystkiém; z niego rodzi się szaleństwo umysłowe. A jeśli silne usposobienie moralne wytrzyma bez naruszenia się okropne chwile powątpiewania o wszystkiém, rodzi się rozpacz, sto razy gorsza od szaleństwa.

Wiara! ślepa wiara — oto droga do spokojności i szczęścia, ona jak tarcza zasłania nas od wszystkich plag umysłowych; a człowiek, który nad tem tylko myśli i rozważa, o czém się potem dotykać nie będzie mógł przekonać, jest bezwątpienia najrozuźniejszy z nierozumnych — ale szczęśliwych.

§ IV.

CELA POD Nro 3.— SALA Iśza.

Cela pod Nro 3. jest podobną do wszystkich cel w Bedlam. Mała, z jednym kraciastem oknem, ze ścianami niebielonymi od dawna, z drzwiami od sali, z łóżkiem twardém, stolikiem i krzesłem. (Ogrzewają się wszystkie cele wielkim piecem, będącym w sali, w której są porobione.) Przybywają do niej tylko przypadkowo rzeczy, które chorzy wchodząc tu przynoszą

z sobą, są bowiem przedmioty, od których warjata oddzielić nie można, które stanowią węzeł łączący go z dawnym światem i mogą nawet czasem gwałtownem przypomnieniem przeszłości, dawny rozum przywrócić.

Od dnia 15 Lutego mieszka tu człowiek, który byłby niechybnie przodkował swemi zdolnościami w każdym zawodzie, gdyby był nie zwarjował.

Nie jest to jeden z tych patetyczno-płaczliwych, romansowych, *obłąkanych na umyśle*, tak często widzianych na naszym (1) Teatrze i w naszych poezjach i w romansach, których nędzna jaka boleść tego świata o utratę porządku umysłowego przywiodła; nie jest to jeden z tych pospolitych bohaterów egoizmu, którzy oszaleli po utracie majątku, matki, ojca, brata, kochanki, żony lub dzieci. Nie, ten człowiek jest jak wielki obraz, który byłby arcydziełem, gdyby jedno zbyt śmiałe pędza uderzenie nie zrobiło go niczém, nie poniżyło go do wartości prostego kawałka płótna. Znać w nim śmiałe zarysy, ale jest i plama.

Dawid ma blisko 40 lat. Życie jego całe upłynęło w próżnych usiłowaniach pojęcia rze-

(1) Angielskim.

czy niepojętych; dziwném usposobieniem swojem rwał się zawsze do tego, czego nigdy nie mógł dokonać, jak olbrzym darł się do nieba i niebo go ukarało. Najulubieńszem jego zatrudnieniem było rozmyślanie o przestrzeni, o czasie, o czasie, materji, wieczności i tym podobnych rzeczach. Dusza jego poetyczna i ognista rzuciła się w młodości na te marzenia jak na pastwę, obracała je, bawiła się z niemi. Dawid pisał poemata metafizyczne o czasie, ody o czczości, epigramata o wieczności, myśl ta gnała za nim w każdym życia kroku.

Lecz z początku nie zapuszczając się głęboko, błądził tylko po widomej powierzchni tych przedmiotów i przestawał na téj częstce wyobrażeń, na jakiej wszyscy przestają. Potém, kiedy nie stało mu nowych cudzych pomysłów, chciał tworzyć swoje; pusił się i ugrzązł od pierwszego kroku. W około siebie ujrzał rzeczy dziwne, niepojęte, pomieszane, niewyraźne, ujrzał prawdy dalekie jak mgły niedostrzeżone i czarne wątpliwości wstające do koła. Przestraszyły własne wyobrażenia, chciał się cofnąć, nie mógł, uciekł, goniły za nim wszędzie, wszędzie, nawet we śnie.

Zdawało mu się, że przebiega światy, że chce zajrzeć co się dzieje za widomém niebem, za atmosferą, za gwiazdami, za słońcem,

szedł, szedł przez nieskończone przestrzenie, spotykał nowe światy, nowe nieba ciągle, ciągle — bez końca. Łatwo sobie wyobrazić jak to marzenie które w miarę trwania swego niecierpliwiło i drażniło, jak silnie działać musiało i do czego mogło doprowadzić, kiedy myśl nie miała celu, na którymby się oparła i odpoczęła.

Ile razy cały w ogniu i oblakany Dawid, wyobrażał sobie dla zaspokojenia siebie, że przestrzenie i światy kończą się gdzieś, przychodziła do jego głowy z piekielnym uśmiechem, myśl straszna, niezrozumiała, niepojęta, ciągnąc za sobą znak zapytania, którego jej nikt odpowiedzią nie mógł odebrać.

Cóż jest tam gdzie nie ma? Co się zaczyna tam, gdzie się kończą światy i przestrzenie?

Biędny Dawid raz się w ten odmięt puściwszy wydobyć się z niego nie mógł, pieszczoty żony i dzieci, myśli ziemskie i powszednie nie wyгнаły ani na chwilę z jego głowy, gościa przywłaszczyciela. Było to jak z uczniem czarnoksiężnika w Goethem — myśli szły, niosły jedna drugą, zalewały i nie było dla nich zakłęcia ani sposobu.

Uważając jak długo Dawid wytrzymał te męczarnie, dziwować się należy jego silne mo-

ralnej i żałować, że do innego celu skierowaną nie została. Z jego energją, z jego pojęciem, z jego ciałem nareście, które wytrzymało bez szwanku— rzucającą się w środku siebie i targającą duszę, duszę któraby innego zabiła;— bez wątpienia byłby mógł być użytecznym, czynnym i niepospolitym człowiekiem. Lecz Dawid z nieszczęśliwą myślą swoją, skazał się na bezczynność, na pośmiewisko i nakoniec na utratę rozumu.

Przyszedt do tego stopnia, że musiał umrzeć, albo oszaleć. Lecz ciało jego przeznaczone i zbudowane do długiego życia, w samej sile niemogło nagle spaść z zupełnego zdrowia na ostatni stopień życia stykający się ze zniszczeniem, marzenia jego przeciwiły się samobójstwu— oszalał.

Żona jego oddała go do Bedlam.

Tu nawet marzy on o rozmiarach przestrzeni; opowiada że myśl jego idzie wysoko w górę przez światy, słońca, gwiazdy do końca wszystkiego. Codziennie zapisuje krédą na murze celi swojej ile uszedł drogi myśląc w tej swojej szczególniejszej wędrówce. Ciągłą ma przytém nadzieję, że prędzej później dojdzie końca i pojmie czas i czczość. Co dzień żegnając się ze mną wieczorem, ściska silnie moją rękę i wskazując na ścianie ogromny sze-

reg kresek krédą pokreślonych, szepce mi na ucho pełen radości, że jutro skończy robotę. Gdyby miał rozum, niemiałby nadziei, tak więc dla niego korzystnem jest szaleństwo, bo zasnąć może z szczęśliwą myślą, że przejdzie nazajutrz ostatecznie przeszkody i zobaczy koniec nieskończoności, Nie śmiałem go leczyć, gdyż niewidziałem lekarstwa na to szaleństwo; żadne albowiem inne zatrudnienie, żadna myśl obca, od jego ulubionego marzenia oderwać go niemoże.

§ III.

CELA POD N. 5.— SALA Isza.

Celę pod N. 5 w sali pierwszej, zajmuje wedle księgi naszych wpisów, od dnia 8 czerwca przeszłego roku — Izaak Seavy syn pierworodny pastora.

Ojciec jego mieszkał w hrabstwie oddalonym od stolicy i miast większych, zasuniętym w góry i jeziora i pozbawionym wszelkiego prawie związku ze światem naukowym i jego postępami. Chlubna popularną cywilizacją Anglija ma jednak takie kąty, do których światło odbite ledwie i słabe dochodzi, gdzie to co naucza religja, jest jedyną nauką, a szkoły złe utrzymane i puste nie prawie oświa-

cie nie dopomagają. W takim to zakęcie urodził się Izaak Seavy, jak wszyscy prawie pierworodni, mocny, krwisty, z włosiem czarnym, z tkanką komórkową tęgą i gęstą z czaszką uformowaną na jak najwygodniejsze dla mózgu mieszkanie. Doszedłszy do lat dwódziestu był dorosły, ale niezbyt wysoki, włos miał ciemny, a nie czarny, jednakże jak u potudniowców, ciało muskularne i bardziej suche, niż tłuste i nabrzmiate jak u osób stanowiących pośrednią klasę między kobietą, a mężczyzną, u mężczyzn blondynów, z światłemi oczyma, z skórą gładką, białą i miękką, z sercem bijącym za każdym silniejszym stukiem u mężczyzn, którzy się niechybnie pomylili rodząc mężczyznami.

Izaak był mężczyzną w całym znaczeniu tego wyrazu. Władze jego umysłowe i fizyczna, słowem cała ludzka dojrzałość nie przysłała w nim za prędko jak u indywiduów męzkich kobietą mających kompleksję, ale powoli, stopniowo i silnie. W dwódziestym drugim roku dopiero był człowiekiem, zaczął myśleć i odtąd myślał aż do umysłowej śmierci swojej.

Gdyby w młodości otrzymał był wychowanie, dając choćby początki niektórych głównych nauk, nie uległby nadal pewno losowi, który go spotkał, lecz ojciec ubogi nau-

czył go tylkō tyle ile sam umiał, to jest pi-
sać i czytać, początków rachunku i historij bi-
blijnėj. — Nauka Biblij stanowiła najwyższy
stopień doskonałości ich obydwoh. Myśląc
nad każdym wyrazem jedynėj swėj książki
Izaak wielu się rzeczy podomyślał, wielu nauk,
których w około nikt nie znał, i o których nikt
nie mówił.

Izaak czuł potrzebę nauki, którą chcąc za-
spokoić, nauczył się dociekać, rozważać i wy-
najdować. Zastanawiał się nad linjami, nad
własnościami liczb, nakoniec nad niebem i
gwiazdami, nad astronomją, którėj nawet nie-
znał nazwiska. Jeśli mu się cokolwiek prawdo-
podobnego wymyśleć udało, gorliwość jego
wzrastała, szukał, pracował, myślał, silił się
i szedł dalej.

Nie słysząc nigdy o tych naukach, który jak
drugi Pascal sam sobie powynajdował, wyo-
brażał sobie biedak, że był pierwszym ich wy-
nalazcą, marzył, że świat klęknie przed nim
słyszając jego dowodzenia o trójkątach, o liczbach
całych i niecałych, o gwiazdach ich
wschodzie i zachodzie i o tysiącnych innych
rzeczach, które o kilka mil z tamtąd znali wszy-
scy, przynajmniej z imienia. Lecz on odoso-
bniony i samotny, z ojca zaczytanego całego
życia w Biblii brał miarę o całym świecie

i uważał siebie wielkim, wielkim człowiekiem.

To było jedną i stałą myślą Izaaka, pracował dnie i noc, pracował tajemnie, nie chcąc nikomu prac swoich i wynalazków pokazywać, póki by ich do jak najwyższego nie doprowadził stopnia. Gdyby był przynajmniej miał książki, daleko łatwiej mógłby pracować z ich pomocą i nie byłby budował gmachu swojej wielkości na zasadach, które jeden wiatr z naukowego świata mógł zwalić.

Bez wątpienia gdyby się był urodził w owych wiekach, kiedy wszystko jeszcze czekało wynalazcy, jego imie byłoby sławném, i życie użyteczném; lecz winą losu za późno przyszedłszy zmięszany być musiał w tłum istot czysto naśladowczych i samych przez się nie czyniących, istot które korzystają tylko z doświadczenia wieków i nie myślą żeby ich obowiązkiem było, przynieść cegielkę do tej wielkiej budowy.

Nicwiem, ani mogę opisać jak daleko doszły mniemane wynalazki Izaaka; lecz każdy kto się uczył matematyki wie, że w niej dalej jak w innej nauce z dobrą głową, z cierpliwością, bez pomocy książek i ludzi dojść można. Izaakowi nie brakło żadnego z tych warunków.

Drećzył się tém tylko w cichości Izaak, że nie miał przed kim odkryć swój tajemnicy, czuł bowiem, że ani jego matka, kobieta pobożna lecz prosta i jak większa część kobiet nigdy myślą nad wiarę i pospolite wyobrażenia nie sięgająca, ani ojciec wcielony w Biblią, ani parobcy, ani sąsiedzi górale, popijający *whisky i ale*; pojąć go nie potrafiały.

Pracował i czekał pory. Nadeszła a z nią wszystkie jego nieszczęścia.

Został wysłany do seminarjum.

Proszę sobie wyobrazić podziwienie jego i rozpacz, kiedy pierwszy raz na lekcjach ujrzał na tablicy też same linje, te same trójkąty, te same dowodzenia, które on wynalazł, które były wielką jego tajemnicą, jego skarbem, jego życiem. Runął cały gmach jego nadziei — postrzegł, że ludzie nie tylko znali to co wynalazł, lecz nierównie od niego w tém doskonalsi byli.

W pierwszych chwilach tak bolesnych jego miłości własnej, wyzuty ze swego skarbu, Izaak o mało się nie utopił z rozpacz, kiedy prawdy swoje tak wielkie w jego oczach ujrzał pokreślone ręką żaków na murach ogrodu, na tablicach, na księgach, i usłyszał je wykładane sobie, powtarzane przez wszystkich, a co gorzej posunięte głębiej daleko,

posunięte do takiego stopnia doskonałości, jakiego on od razu pojąć nie mógł, którygo upokarzał we własnych oczach i z wielkiego wynalazcy, nędznym tylko robił uczniem.

Spaliwszy swoje foljały, cierpliwy i pracowity Izaak zazdroszcząc drugim nauki sam wziął się do niej. Umysł jego w samotności, w walkach z samym sobą wprawiony, przy pomocy ludzi i książek poszedł jak strzał. Stał się dziwowiskiem wszystkich, domyślał się zawsze drugiej połowy rzeczy, gdy mu pierwszą powiedziano, pojmował, pamiętał. Wszystkie prawdy w ustach jego nabierały nowój mocy, nowój jasności od wewnętrzne-go przekonania, od namiętności z jaką rzucał się do nauki.

Lecz chęć wynajdowania chodziła za nim wszędzie, jak nałóg w młodości zaciągnięty. Chciał coś wynaleść, koniecznie coś wynaleść, szukał, śledził, upatrywał, jak więzień otworu którymby się mógł wymknąć— A nigdzie nic nie było widać. Wszędzie stały gmachy wynalazków odwieczne, na których wznosiły się z każdym rokiem nowe piętra, nowe ozdoby, nowe rozszerzenia, w dół, w górę i w boki.

Biędny Izaak napróżno szukał w głowie swojej nowych pomysłów w naukach, wyższych

nad ich stan tegoczesny, wszystko zdawało się być skończoném, doskonałym, probowano wszystkich sposobów, dociekano wszystkiego — powietrze, woda, ziemia, niebo, były splądrowanemi kniejami, po których ledwie okruszyny cudze zbierać było można, a nie, nie nowego. Izaak nawet nie chciał wiele, im więcej się bowiem zastanawiał, tém bardziej upatrywał niepodobieństwo uskutecznienia swych zamysłów, mało żądał — cokolwiek byle wynaleść. Wszystkie jednak mniemane jego wynalazki i pomysły, po rozbiórce pokazywały się zawsze staremi i oklepanemi rzeczami. Niestawało naręście i myśli do wynalazków, bo w świecie fizycznym i naukowym stały wszędzie słupy *non plus ultra*, których przeskoczyć nie mógł. Nic go jednak niezrażało, ani bezskuteczne próby, ani śmiech powszechny, narzekał tylko w duchu, że się wprzód nie urodził — i pracował.

Zostawała mu jeszcze literatura, w której jeśli nie rzeczą samą, formą wynalazcą jeszcze być można, siadł więc pisać śmiało bezczelnie prawie, co mu tylko na myśl przyszło — pisał — wydrukowano.

W kilka dni jakiś *literary anthropophagus* w swojej *Review* zrobił rozbiór jego dzieła. Póki wytykał wady. Izaak był kontent, kry-

tyk mógł być uprzedzony, zazdrośny, mógł fałszywie sądzić, jego rozbiór nie był wyrocznią — kogoż nie ganiono! — Dzieła jenjusu oślepiają z początku, ocenić je w ówczas dopiero można, kiedy się z niemi oczy oswoją. Lecz na końcu swojej recenzji zabił go na śmierć *Reviewer*. Na końcu dowodził mu, że myśli jego były kradzione, wyrażenia pospolite, że dwa wiersze zawierały myśl wyraźnie ukradzioną Szakspearowi, drugie cztery wyjęte były z Kwintyljana, inne z Arystotelesa, Lucana, Milтона i niewiedzieć wielu innych, dowodził mu śmiało nieubłagany *Reviewer*, że on pokradł to wszystko, przywłaszczył, wcielił sobie; — łajał go, że śmiał tak nędzne mieć wyobrażenie o krytykach, aby im rzucać w oczy książką z szytą z cudzych myśli, sądząc, że się na tém niepoznają.

Była to *une bonne fortune* dla wydawcy *Reviewer*, przy tej bowiem okoliczności, sygnął swoją erudycją jak gradem i usprawiedliwił godnie tytuł swój: *Członka wielu uczonych Towarzystw*; nabywając prawa do imienia nieubłaganego krytyka i stając się literackim straszidłem na wróble w oczach wszystkich abonowanych swoich.

Izaak był w rozpacz — w istocie większa część jego myśli zgadzała się prawie słowo

w słowo z innemi dawnemi myślami, powtarzaniami przez kilkaset lat.

A przecież Izaak większej części cytowanych pisarzy nie czytał?

Jeszcze nielitościwy *Reviewer*, szydersko, wielkimi literami z punktami i wykrzyknikami, dodającami mocy jego ucinkom, jak jesta mowie, zakończył swój artykuł francuzkiem przysłowiem: *Les beaux esprits se rencontrent!*

—Oni mnie nie znają! — wołał w rozpacz; — oni myślą że piszę dla zysku, że jestem tak jak ten szewc uliczny (1), co łata tylko, a nic nowego zrobić nie umie! Oni mnie nie znają.

Izaak odpisał na krytykę stylem wrzącym od gniewu, bez żartów, bez ucinków, bez uwag i grzeczności. Odpowiedź jego nie została przyjęta do żadnego publicznego pisma jako nadto obelżywa, bardzo pospolita, a mało mogąca nadać zajęcia pismu, w którymby umieszczona była, o co przed wszystkiem żurnalistom chodzi.

—Pisałem ją w takim gniewie, — mówił Izaak; — że gdyby przekłęty *Reviewer* był mi

(1) Savetier.

się w ówczas nawinął na oczy... byłbym... nie wiem doprawdy cobym z nim zrobił, chyba-
bym może zabił!

—Być może,— odpowiedział dziennikarz;— ale teraz tak dobrze gniew udają, że go od prawdziwego rozpoznać nie można. Mnóstwo jest podobnych szarpiących zarzutów i odpowiedzi, a cała ich moc zniknęła dla tego, żeśmy się z niemi oswoili. Pan łajesz z gniewu, inni łają z zimną krwią i wyrachowaniem;— interessowałoby zapewne pańskie łajanie, bo jest bardzo zjadliwe, ale się od innych nie różni. Są to rzeczy oklepane.

—Oklepane!— powtórzył Izaak.— Tak więc nic już nowego znaleźć nie można na świecie?

Potém zwarjował.

Teraz zdaje mu się, że co chwila wynajdzie kwadraturę koła, kamień filozoficzny i Bóg wie nie co. Całe dnie maluje na ścianach więzienia swoje projekta. Życie jego burzliwe i czynne znużyło go zupełnie; zestarzał prędko, wybladł, wychudł; zdaje mi się i cieszę się tém, że wkrótco umrze. Dla niego nie ma lekarstwa, chyba by przypadkiem w szaleństwie co nowego doprawdy wynalazł. Lecz na nieszczęście gdy co dzień prawie jedne szumniejsze od drugich, *Review. Chronicle*, Kurjery i ga-

zety ogłaszają wielkiej wagi wynalazki, on biędny nie nowego wynaleść nie może.

Hogarth podobnego jemu szaleńca odmalował w swoim ostatnim obrazie z życia Rozpustnika (1), kręślącego kwadrans na ścianie.

§ IV.

SALA 5cia — CELA 5ta KOBIECA.

Kobięta od mężczyzny tak jest różna składowaniem ciała, iż wymagać nawet nie można, aby mu moralnie podobną była, gdy ciało tyle i tyle wpływa na usposobienia umysłowe. A dusza jak płyn układa się do takiej formy, jakiej formy jest naczynie, w które ją wlano. Mówię o kobiecie, która jest zupełnie kobietą, bo jak są pewne indywidua między mężczyzną a kobietą pośrednie, tak są też i kobiety na mężczyźni zakrawające, które przypadkiem urodziły się kobietami i to bardzo nieszczęśliwym przypadkiem — dla nich i dla nas.

Prawdziwa kobięta więcej czuje niż myśli, czucie wydoskonalone u niej przez samą jej ciągłą działalność, zastępuje wszystko. Kobięta nierozumie, ani chce rozumieć co to są

(1) Rakes progress.

abstrakta, Bóg, dusza, czas, wszystko w jej głowie przybiera ciało, kolor, postać. To tłumaczy widzenie pewnej kobiety, która jak powiada *S. Tertuljan de Anima. Cap. VII.*, widziała duszę jakąś w postaci jakiejś błyszczącej, przezroczystej, lekkiej, ale naturalnie zmysłowej, kiedy ją oczyma widziała i opisywała językiem zmysłowym jej przymioty.

Życie kobiety jest wiecznie bierne, pasorczytne, jest to życie chmielu, bluszczu, życie mchu na drzewie. Człowiek żyje ażeby żył, sam sobie i dla siebie, kobieta żyje dla drugich, dla męża, dla dzieci. Ta, która nie ma męża i dzieci, nie odpowiada wyrażnie swemu przeznaczeniu, spojrzawszy na pierś swoją powinna przypomnieć sobie na co ona jest przeznaczoną, pewnie nie dla gorsetu. Odpowiedź sławna Napoleona Pani Stael jest bardzo sprawiedliwa. Kobieta żyje zawsze cudzemu życiu: za młodu życiem ojca i matki, potem życiem swoich kochanków, (nie mówię jednego, bo nie ma kobiety, któraby przez ciąg młodości jednego tylko kochała), potem życiem męża, potem nareście życiem dzieci. Odebrać jej dziecko jest to odebrać jej życie, węzeł łączący ją ze światem, jej szczęście.

Kobieta, która zamiast dzieci, rodzi książki i zajmuje się umysłową pracą, puszcza się na

drogę bez wątpienia nie dla niej przeznaczoną. Obdarzona smakiem, czując silnie wady i piękności dzieł, umiejac ocenic wszelkie lzej-sze plody literatury, pospolitym bledem wyobraza sobie, ze znajac co jest dobre, a co zle, potrafi utworzyc cos dobrego. A jednak od cennienia i smakowania daleko jest jeszcze do tworzenia.

Widzieliśmy mnóstwo ksiazek kobiecych, we wszystkich zasłaniają się one ciężką drape-rją rozumowań powikłanych i pospolitych, aby sobie nadać jakąś powagę, wszędzie czuć brak oryginalności i ciągłą czkawkę literacką. Po przeczytaniu bowiem każdej książki, siadając do pisania, pisze pod wpływem tego, co przeczytała, i nie mając swego ani stylu, ani sposobu pisania, przybiera coraz odmienne kolory, nadstawia się ile może cytacjami jak Lady Morgan, frazami jak Pani Stael.

Nie powinnyby się za to co piszę gniewać kobiety, ich powołanie bowiem, matek ludów i bohaterów jest tak piękne, że znając jego wartość, nigdyby go dla innych zwodniczych nadziei rzucać nie powinny. Opuszczam tu przyczyny lekarskie, dla których skupienie życia do głowy jest bardzo niebezpiecznym, bo te prawdy fizjologiczne obraziłyby może mnie-

maną skromność wielu osób, które fałszywym wstydem chcą niewinność zastąpić.

Pewna jest, iż kobieta nic nigdy nie wynalazła, cała jej rzecz cenić i naśladować, w rzeczach smaku nie przeczę im pierwszeństwa, osobliwie jeśli to, co oceniają, dla nich jest pisaućm. Piękność nadaje wiele bardzo praw, których użycia zdolności nie usprawiedliwiają. Jak bowiem istota tak słaba, tak odmienna, sądzić o czém sprawiedliwie lub tworzyć co może? Ona, która sama przez się nic nie działa, której charakter rozwijają i kształcą najłżejsze okoliczności, nieczyniące najmniejszego wrażenia na mężczyźnie; ona, która łatwiej da się zepsuć i naprawić, niż najbezwładniejszy z nas. — Tak, kobieta nie jest sobą, jeśli jest sama sobie zostawiona. — mężczyzna przywyka do samotności, kobieta nigdy; w niedostatku osób, kochać będzie psa, kota, ptaszka, drzewo, bo kochać musi, bo cały interest jej życia od tego zależy.

Man's love is of mans life a thing apart,
Tis woman's whole existence, may man range
The court, camp, church, the vessel, ant the mart
Swort, gown, gein, glory, offer in echange,
Pride, fame, ambition, to fill up is heart,
And few there are w hom these cannot estrange
Man have all the resources — we but one
To love again, and be again undone (1).

(1) L. Byron. DON JUAN C. I. s. CXCV.

Nie jest to tylko jedynie wymysł poetyczny, jest to prawda. Od wieków usunięte od rządu prawem Salicznym, od nauk wyższych, od większej części sztuk, pozostały przy kochaniu i macierzyństwie, przy prawdziwym celu swojego życia, którego im nikt, chyba one same sobie odłhćrają. Guiewały się pewno na prawa, które im bez opiekuna sobą i mięniem w wielu krajach rozrządzać nie dają, lecz one tak łatwe do uwiedzenia, gdyby były sobie oddane, ileżby na tém od złych ludzi szwankować mogły. Jezus Chrystus odsunął je od kapłaństwa, a wszystko to razem wzięte dowodzi zdania, którego się wyrzec boję i po które odsyłam czytelnika do Czarnego Lekarza (1).

Śmiejęm się nie raz z tego, że Mahomet wygnał je z rajn i odmówił im duszy, lecz cóżbyśmy dziś powiedzieli, słyszac pytanie roztrząsane na Koneyljum Makońskim (2): „*Cum inter tot sanctos patres Episcopos quidam statueret non posse nec debere mulieres vocari homines: timore Dei publice ibi ventilaretur et tandem post multas vexatae hujus quaestionis dissertationes, conclude-*

(1) Stello p. Alfred de Vigny. Chap. XXVII.

(2) Lyserus. Polygamia Tryumphantrix. p. 125.

retur mulieres sint homines!!! — Wielka łaska ze strony nie eukumenicznego Makońskiego Koncylium!! wielka łaska ze strony księży, którzy zazdrośni, że im kwiat życia, miłość kobiety odjęto. mogliby byli postąpić tą razą jak lis w bajce — i połowę rodzaju ludzkiego najpiękniejszą zrzucić bardzo nisko!

Utrzymują lekarze, że w ogólności więcej kobiet niż mężczyzn dostaje pomieszania zmysłów; i w Bedlam potwierdza się to, ale mało kobiet z powodów umysłowych, naukowych podlega temu. Większą część pozbawiły rozum straty, których silnem obdarzone czuciem przenieść nie mogły — majątek, sława, cnota, spokojność i osoby nareście, do których nałogowie przywiązane były, a które utracić musiały, przywiodły je do tego stanu.

Jednakże w celi pod Nro 5, w sali 3ej, znajduje się kobieta młoda godna uwagi, straszny przykład dla tych, które chcą naszą *Glorvinnę* (1) napuszoną swoją literacką sławą i arystokratycznymi swemi związkami, naśladować.

Fanny Mac' Rough — zajmuje celę pod Nro 5; jest to młoda jeszcze dziewczyna, ofiara swoich poetycznych zapałów.

(1) Lady Morgan.

Fanny przejęta ważnością swoją, od dzieciństwa wbiła sobie w głowę, że ludzie nie umieją cenić kobiety i wyobraziła sobie, że do niej należy wywieść ich z tego błędu, i pokazać im, że kobieta zdolna jest do wszystkiego, do czego tylko zdolny jest człowiek.

Fanny pochlebiała sobie, że urodziwszy się zdrową i silną, z żywém pojęciem, z uczuciami mocnemi, potrafi pokazać ludziom w sobie ideał kobiety, wszelkich doskonałości. Nieznała biédna ani siebie, ani medycyny. Niezastanawiając się nad sobą, brała swoje uczucia za myśli, a sofizma za rozumowanie— Nie jęj się z początku niepobobném niezdawało, rzuciła się jednak na przód do poezij.

Lecz ciągle dążąc i drapiąc się do wielkości, przymuszona walczyć sama ze swemi siłami, uródziła rzeczy w których tylko chęci widać było; a chęci za skutek nigdy się w literaturze niebiorą.

Poezje jęj za wielkimi staraniami dobiwszy się druku, wyśmiano, a co gorsza zapomniane zostały.

Nieustając w przedsięwzięciach, Fanny Mac' Rough, napisała romans, ale kobiety nawet śmiały się z jęj bohaterek ulanych na wzór męczenniczek katolickiego kościoła. Tytuł romansu był: *Doskonała Kobieta*, a bohaterką

jego, Królowa Amazonek, prócz mnóstwa historycznych— przeciw duchowi czasu, podobieństwu i zdrowemu rozumowi omyłek, ekzaltacja tak była śmieszna, że romans upaść musiał niedostąpiwszy nawet ani cienia sławy w pierwszych chwilach swego urodzenia.

Niepowodzenie ciągłe, rozdrażniło tylko Fanny, stałość jej przemieniła się w zajądlność. Zaczęła się uczyć matematyki i wyższych rachunków, chodzić na publiczne lekcje uniwersytetu; zdała nakoniec egzamin i dostała stopień uczony. Gazety pół roku mówiły o niej, pół roku była szczęśliwa. Oślepią swoją wielkością Fanny rzuciła się znowu do pisania i napisała matematyczno-romansowe dzieło; stała się znowu pośmiewiskiem, i tą razą jako znajomsza już światu, gorzej jeszcze za swoje zuchwalstwo pokutować musiała. Umysł jej pracą wysiłony i wstrząśnięty niepowodzeniem wybiegł nareście z zwykłej formy— oszalała.

I w Bedlam ona pisze ciągle, utrzymując, że ją mężczyźni przez zazdrość, dla jej nauki i rozumu więżą i dręczą. Ubiera się po mężku.

Przeszłego roku powiła syna w więzieniu, lecz gdyby nie osoby przytomne, byłaby go oknem, o płci jego dowiedziawszy się, wyrzuciła. Ja inaczej do niej nie przychodzę jak u-

brany po kobiécemu, a chociaż mam wasy i zarastam czarno utrzymuję jednak, że to jest cechą niepospolicie zdolnej kobiety. Kochanek jój odwiedzając ją w więzieniu, miał nieszczęście zostać podrapanym i wybitym za to, że rozczuliwszy się powiedział jój, że do stanu szaleństwa, doprowadziły ją zbytnie do rozumu pretensje. Rzecz godna uwagi, iż kobieta ta mająca mężką kompleksją i charakter mocny, pokochała człowieka słabego na duszy i ciele, powolnego i nieśmiałego.

§ V.

CELA POD N. 8.

Celę pod N. 8mym zajmuje były professor uniwersytetu Oxfordzkiego Tymoteus Olaus Godman, który dość długi czas zajmował katedrę Bibliografji i zawiadował Biblioteką. Ten więc niema nad lat 30. Zbytńia skromność obyczajów i chęć nie pomiarkowana połknięcia tytułów wszystkich książek zaprowadziły go tutaj.

Godman chcąc odpowiedzieć jak najsilniej powołaniu swojemu Bibliografa utopił swój rozum w katalogu Biblioteki, niemogąc pojąć ani spamiętać ogromu rzeczy, które sobie sam codziennie narzucał. Zdawało mu się, że ponie-

waż książki pisane są dla człowieka, jeden człowiek objąćby je powinien. Uczył się wszystkich języków, chciał wszystko przeczytać, lecz widząc nareście, że życieby na to niewystarczyło, że każdy rok wnosił do tego morza nowe zalewy, rozpaczając poprzestał już na tytułach. Lecz i tu obejrzał się wkrótce, że gdyby je nawet wszystkie w swój głowie pomieścił, nauczyłby się ich w ówczas dopiero, kiedyby już nie było czasu z tej nauki korzystać. Widok tych sal pustych, w których od góry do dołu cisnęły się dzieła tylu ludzi czekające napróżno czytelników, nabawiał go niespokojnością i udręczeniem. Czytał i uholewał nad tém, że po kilka na raz dzieł czytać nie mógł, bo pojednemu szło bardzo powoli.

W tych zatrudnieniach strawił on drogą młodość, daleki od kobiet, od świata, od ludzi i przekonywał się co dzień, że cała jego praca żadnego prawie pożytku jemu ani światu przynieść nie mogła. Cóż komu przyszło, że on z pamięci cytować mógł wydania, format, ilość kart rozdziałów i różnicę edycji od edycji? Dziwiono mu się tylko jak żarłokowi, który pożera niezwykłą ilość pokarmów i każdy odchodził od niego niechęć nawet słuchać dowodów, jego na wagę życia kupioną erudycją.

Godman był nieszczęśliwy; bo w krótkich chwilach odpoczynku, kładąc się spać późno w nocy i wstając rano, kiedy myśl jego przebiegła życie przeszłe, czuł wśród pracy swojej nieopisaną czechość jakąś, jak gdyby mu brakło celu życia i nadziei.

Stawała czasem przyszłość przed nim z tysiącem tomów pod pachą, żółta, w pergamin oprawna, z szlafmycą z katalogów uszytą, z gębą mosiążnemi klamrami zaknętą. I za całą nagrodę prac swoich i trudu mógł mieć nadzieję, że ktoś kiedyś w przypisku nazwie go uczonym Bibljotekarzem, a potem zapomną go wszyscy jak zwykle zapominają Bibljografów i kompilatorów, doktorów, filologów, romanso-pisarzy i uczonych. Uczeni są to tragarze literatury — poeci, historycy, pisarzy wielkich sztuk dramatycznych i wszyscy inni, którym przypisują genjusz, składają naszą arystokrację i otaczają tron królów naszych — filozofów. Ci wszyscy długo nie giną i w języku świata zowią się nieśmiertelnymi; chociaż ta nieśmiertelność najdłużej kilkaset lat z rozmaitych przemianą uwielbień i naganą trwać zwykła. Świat, nawet nieśmiertelność swoją przeliczyć może.

Godman usychał w kwiecie wieku, znudzony lecz stały w przedsięwzięciu, bo słabi tylko ludzie spotykając zawady cofają się prze-

straszeni. Miał przed sobą morze do wypicia, jak mówią francuzi — on pił i pił. Lecz to zajęcie się które wszystkie jego władze wciągnęło ku sobie, które ssało jak upiór jego krew i przyspieszało koniec bytu jego ciała i tak nie bardzo silnie zbudowanego, to zajęcie się nie mogło go uchronić od oblegających go ciągle myśli o kobietach. Mimowoli biedny człowiek miewał sny w których, widziana w dzień przypadkiem panienka przypominała mu się, siedząca na książkach, na pergaminach, z liściem palmowym w ręku, z wieńcem piór gęsich na głowie, w sukni uszytej z filologicznych ropraw JuljuszaSkaligera— Przebudzał się— i w dzień gonił za nim ten obraz wśród pyłu książek, stawał przed nim na schodkach, na półkach, na każdej karcie czytanej książki, uśmiechał się do niego pod postacią każdej wielkiej litery początkowej— wszędzie, wszędzie. Śniły mu się wszystkie kobiety, jakie gdzie tylko zobaczył, przyrodzenie gwałtem o swój dług się upominało. Bibliograf jednak nie chciał się żenić, niemógł się żenić, mała jego pensja mogłażby wystarczyć żonie? I któraż kobieta chciałaby tylko dla niego?

Patrząc na cudze żony jak żyły dla siebie nie dla mężów, bał się Godman ożenić, ażeby mu życie gorzej nie zbrzydło.

Chęć połknienia żywcem całej Bibliografji świata, brak celu życia, zbytnia wstrzemięźliwość, bezsenne noce, ciągłe wysilenia mózgowe i smutek jednostajnie nad nim ciążyący wprowiły go nakoniec w bardzo skomplikowaną chorobę. Głowa jego i całe ciało razem uderzone zostały.

Jednego poranku Olaus Godman zaczął biegać w koszuli po korytarzach uniwersytetu, wywołując imiona kobiet, które zwał kochankami swemi. O niczem już niemyślał, tylko o kobietach. Niepamiętał nawet, że się uczył kiedykolwiek i że czytał — doktorowie użyci nawet w prędkim razie nic nie pomogli. Ubranego w mundur i przy szpadzie przyprowadzono do mnie do Bedlam.

Tu Godman o kobietach tylko mówi, wszystkie ile ich tylko pamięta, nazywają się jego kochankami. Jest nadzieja wyleczenia go, gdyż wstrząśnienie mózgowe było lekkie.

Ożenienie mogłoby mu przywrócić zdrowie i rozum, lecz proszę znaleźć kobietę, któraby się chciała dla niego poświęcić. Pewno ta któraby się uczynić to podjęła, niewartaby była nawet szalonego Godmana.

§ VI.

CELA POD N. 5.— SALA 4ta.

Inni tamtych sal mieszkańcy podostawali obłąkania częścią z przyczyny śmierci osób ukochanych bezrozumnie, częścią po przegranych sprawach, czasem z radości wielkiej, inni nareście bez żadnych widomych powodów przez familijną chorobę mózgową, inni z wyniszczenia i osłabienia, inni z powodów, na których zliczenie trzebaby osobnej książki. Rzecz dziwna, że szaleństwo jak wiele innych może być chorobą familijną, widziałem osoby które około pewnej liczby lat kolejno syn po ojcu dostawali pomieszania, lecz takowe choć bardzo trudne do uleczenia, bo pochodzące z złej organizacji mózgu, nigdy nie bywa bardzo gwałtowne.

Pomieszanie zmysłów jest także prawie zaraźliwą chorobą. Obcując z ludźmi pomieszanych zmysłów, trzeba się mieć ciągle na baczności, gdyż bezład ich myśli, wsłuchującym ciągle ich mowy, podobnąż robi w głowie mieszaninę. Przeto ci, których obowiązek do leczenia warjatów powołuje, powinni część dnia spędzać w towarzystwie osób zimnych i poważnych, ażeby przy nich ochłodziли się nie-

co. Samotność bowiem dozwala silnie działać wrażeniom nabytym.

N. 3, sali 4tej zajmuje lekarz Filip Rohant rodem z Pikardji naturalizowany w Anglii i od dzieciństwa zamieszkały w Lancastreschire. Dziwne były powody, które tego burzliwego i żywego człowieka do szaleństwa doprowadziły.

W młodości z wielkiem wylaniem rzucił się do Historij Naturalnej, a po długich badaniach, po długich geognostycznych pracach uroił sobie, że odkryć musi tworzenie się ziemi, teorją jej składu, zmiany jakim podlegała i jakim jeszcze podlegać będzie. Rohant śmiał się z epok Natury Buffona, rozwleczonych na mnóstwo szczegółów nadto paradoksalnych, sztukowanych marzeniami niepopartemi dowodami, lub popartemi takimi, które tylko w oczach nienuków za dowody uchodzić mogą, nie będąc w samej rzeczy oparte na rzeczywistych fenomenach.

Rohant siedział w ziemi, w kopalniach rozmawiał z kamieniami i górami, z pokładami wapna i stalaktykami o początku i odmianach świata.

Nie wiem, jaki był postęp jego myśli i na jakich zasadach doszedł do tego, czego potem tak zapalczywie dowodził i bronił. Jego syste-

mał sklejony częścią z myśli o perjodycznym
 .okn Stoików, częścią z niektórych zasad Bud-
 hyzmu, oparty na doświadczeniach tłómaczo-
 nych wedle jego woli, obejmował trwaniem
 świata nieskończoną liczbę lat, uważając wszy-
 stkie rachuby swoich poprzedników za bardzo
 drobne i niedostateczne. Rohaut dowodził, że
 świat od swego początku uległ mnóstwu po-
 topów, mnóstwu pożarom i przemianom całej
 jego powierzchni. Powiadał on, że ludzie nie
 po raz pierwszy stoją na stopniu tej doskona-
 łości, na jakiej są dzisiaj. Utrzymywał, że pier-
 wsze ich posady na ziemi trwały tak długo,
 że miały czas dojść do wyższych niż my do-
 skonalskości. Potém, kiedy ci ludzie sięgali już
 wynalazkami daleko i wysoko, kiedy po do-
 świadczeniach kilkunastu przeszłych wieków,
 drapiąc się szli szturmem do nieba, przycho-
 dził potop lub pożar — ginęli wszyscy, a z nie-
 mi nauki, z niemi księgi, z niemi cała mozol-
 na praca wieków. Zostawało gdzieś w kącie
 kilku, kilkudziesiąt ludzi na wysadki, ludzi
 ciemnych i ograniczonych, góralów, wypia-
 rzy, do których oświecenie z całym swoim
 blaskiem nie doszło było jeszcze. Ci w tysią-
 cznych latach stawali się ojcami pokoleń, lu-
 dów — od nich mgliste podarzia nauk i dzie-
 jów szły przez usta synów. Ale w pierwszych

wiekach nowej ziemi, pracując nad życiem swoim, w małej będąc liczbie, ludzie ci o sobie tylko myśląc i o dniu dzisiejszym ledwie się do nieobiecie potrzebnych rzeczy brać mogli; w kilkaset lat dopiero przychodziły sztuki, poezja, historia, nauki. Ludy szły, szły, szły do doskonałości i w chwili kiedy już o duszach swoich i świecie śmiało mówili nadchodził potop lub ogień, wstrząśnienie i zniszczenie — ginęło wszystko.

Rohaut utrzymywał, że my jesteśmy już piątym czy szóstym na ziemi pokoleniem, a nasza doskonałość piąty czy szósty już raz do tego stopnia dochodzi. Nie wiem czém popierał te swoje szalone przypuszczenia -- ludzie bardzo spzawiedliwie śmieli się z niego. Któżby się nie śmiał z tak dziwacznych marzeń.

On jeden tylko stale się ich trzymał i żądne w świecie dowody przeciw przekonać go nie mogły. W myśli jego stały potopy i zniszczenia, oczekiwał tylko i rachował rychło jaki z przechodzących komet sprawdzi jego twierdzenia. Byłby się cieszył potopem, jak dziecię zabawką, byłby tryumfował, i konającym, uciekającym, rozpierzchnionym, krzychałby nad uchem: „Albożem nie mówił? Tak być musiało!“

Lecz ciągle obcując z temi myślami, musiał naturalnie oszaleć, były one za wielkie na jego głowę, nie mogły się w niej pomieścić.

Czasami jakby natchniony, opisywał te chwile straszne, kiedy ludy gromadami uciekały od wody, zalewającej miasta, kościoły, księgi, wszystko, wszystko, zalewającej ludzi tonących jęcząc w objęciach jedni drugich, z łzą na oku, którą wody unoszą, z westchnieniem, które wiatry szarpia, z życiem które woda wydiera. Wyobrażał sobie to słońce zagaste i nieruchomie patrzące co dzień na straszne zbliżanie się ogromnej całego świata śmierci, i noc straszniej-zą jeszcze otwierającą czarną paszczę na pochłonięcie ludów całych. Wyobrażał sobie kometa przechodzącego koło ziemi, ocierającego się o nią, zajmującego swoją czerwoną twarzą połowę nieba, zalewającego ziemię w dzień i w nocy okropną światłością, idącego i sypiącego ogień po drodze, palącego na popiół lasy, domy, ludzi — patrzącego zimno na zniszczenie, na tysiące ofiar, miliony ofiar swoich leżących trupem z przepalonymi wnętrznościami i mózgiem, na zwierzęta zdychające rycząc w płomieniach, razem z ludźmi w jednych gromadach; na wody wrzące w morzu i jeziorach buchające parą w powietrzu. Ogień wszędzie, wydobywający się z ziemi

przez rozbite boki gór, spadający z wysoka z powietrzem, ogniem płonące chmury i niebo, ogień w oddechu, w napoju, żar, piekło!

Te straszne marzenia, do snów duszących podobne, ogromne wrażenie czyniły na nim i na koniec tak silnie wstrząsnęły mózgiem jego, że go zwały i przewróciły.

Rohaut toż samo dowodzi w Bedlam co i wprzód, tylko marzenia jego są jeszcze straszniejsze, bo widzi ciągle tuż nadchodzące zniszczenie. Kona całe życie, każdy szum zdaje mu się szumem wody lub ognia przychodzącego go póżrzeć. Pożar niedawno blisko Bedlam zdarzony, przeląkł go tak mocno rzucając światło niezwykajne w nocy na okna, iż dostał mocnego bicia serca i krwi, i gdyby nie prędkie ratunek, byłby umarł niechybnie z przestachu.

Pytam się jak go wyleczyć, kiedy jego szaleństwo jest tylko piątym aktem całego życia — szumnym finałem z tegoż samego tematu?

§ VII.

Reszta moich pacjentów nie jest godna opisu i zastanowienia, są to ci, którym ogolenie głowy, okładanie jej zimną wodą, spuszczenie kropel z góry, lekarstwa chłodzące, wanny,

puszczenie krwi z żyły cefalicznej i inne stare moralne i fizyczne środki niechybnie pomogą. Ci oddani zostaną towarzystwu ludzkiemu z niewielkim jego pożytkiem i pociechą. Ze mną zostaną się pewno do śmierci ci, którzy wszędzie, nawet w Bedlam, byłiby pierwszymi i nieuleczonemi.

Na świecie zobaczycie więcej godnych uwagi szaleńców, przypatrzcie się im uważnie, a naprzód każdy — sobie.

6 i 7 Paźdz. 1853 r.



VI.

UCZTA ŻEBRAKA.

B A J K A.



Piękne miasto Wenecja— stoi na morzu i króluje nad nim, żartuje z jego burzy i gniewu i żyje na łonie potwory, która tyle ludzi i ludzkich skarbow pożarła.

Gerolamo w nim się urodził. Matka żebraczka powiła go w nocy chłodnej i pogodnej, z jękami których nikt nie słuchał; na marmurowych stopniach pałacu Dożow; przy oddalonych dźwiękach gitar i pieśni— jego, który był przeznaczony na wieczną nędzę.

Urodził się i poszedł z matką przywiązany do jej piersi, pomagać dziecinnym swoim krzykiem jej żebraniu. Gerolamo był opatrnością matki, litowano się nad sierotą i dawano jałmużnę, w Wenecji nad kobietą nikt się nie lituje. Wszystkie jej proźby i błogosławieństwa, mniej daleko znaczyły od bolesnego krzy-

ku dziecka, które wisało szukając próżno mleka w wyschlęj od wstchnień piersi.

Pierwsza rzecz, której się Gerolamo nauczył, było wyciąganie ręki, chętnie kładziono na niej grosz jałmużny, bo widziano, że małe jego palce, które pieniędzy utrzymać nie miały, nie mogły jeszcze pracować. Żyli oboje, on i matka życiem żebraczem, nędznie żywili, bez jutra, bez myśli, życiem spoczywającym w ręku losu, który gnał przechodniów nie licznych do kościołów, na to, aby oni żyli. Kobiety częściej litowały się nad niemi, a matka Gerolama wiedząc, że najłatwiej u tych zyskać litość, którzy jej sami potrzebują, siadała częściej z swoim synkiem na kolanach, przed kościołami, gdzie ludzie idą prosić Boga, niż w ciasnych uliczkach, gdzie każdy przebiega zajęty sobą i niesposobny do litości.

Tak przeleciały pierwsze dni dziecięcia bez domu, bez kątki swojego, na ulicy w przysionkach kościoła, bez ludzi, którzy pod ich okiem wijąc się, schylali się pogardliwie, rzucaли grosz i szli dalej. Skazani na ocieranie się o świat i odrzuceni od niego, żebracy nie mieli towarzyszków prócz siebie. On i matka składali sobie cały swój świat, reszta otaczała ich tylko jak obłoki słońce, reszty nieznali, nie dotykali się. Usypiali nakryci niebem, owiani

zimnem powietrzem od morza, mieszkańcy ulic, codzieli w innym kątku, odpędzeni, bici, tłuczeni. Mały żebrak rośł w tćm życiu i pierwsze jego spójrzanie spotkało na świecie matkę najdroższą odepchniętą od wszystkich, ludzi zimnych litościwych z napaści tylko spotkało bogactwa na około, pałace, świątynie, zamknięte, nieznajome, tajemnicze dla niego, ubogiego przeznaczonego uędzy na pożarcie, lub na życie— lecz jakież życie! Lecz i spleśniałego chleba, poniżenia, pogardy, odrzucenia, życie wleczone jak ciężar nieznośny oberwane ze wszystkich przyjemności, które go znośnym czynią— życie żebraka jednćm słowem.

Prćdko dorosł Gerolamo i z rćk matki upadłszy, zaczął sam chodzić po ziemi. Mógł już pracować, zarabiać, mógł przestać być ciężarem malce — lecz ona niechciała się odłączyć od niego — była matka. Razem usypiali na zimnych kamieniach patrząc w gwiazdy i słuchając w nocy jak morze w powszechnej ciszy warczało groźne — razem dzielili się chlebem opowiadając sobie swoje życie, swoje nieszczęścia i szczęścia swoje — biedne szczęścia.

Nawet myślą nie rozłączyli się nigdy — od dzieciństwa przywykłszy myśleć, jednakowo

zbiegali się zawsze w słowach, nie pytali się nigdy siebie, bo się rozumieli, w oczach ich, w poruszeniu, w westchnieniu była połowa ich tajemniczego języka, niezrozumiałego reszcie świata — Byli jak jedno w dwóch ciałach, jedną duszę składali rozdartą tylko na dwie połowy usiłujące zlać się ciągle. Nigdy nawet nie wyobrażali sobie, że śmierć które z nich wprzód zabierze; było naturalnem, koniecznem umrzeć razem jedno przy drugim, aby w jednej chwili wejść na świat inny, szczęśliwy; w niebo, — w które wierzyli, bo byli nieszczęśliwi. — Nędza, cierpienia, łzy i boleści są to najlepsze dowody nieśmiertelności duszy. — Czy widziałeś kiedy dwie brzozy przy pniu zrosłe idące razem do góry z poplecionemi gałęziami? — zwaliwszy jedną uschłaby druga, bok którym była do towarzyszki przyrosła zostałby nagi, odarty, bez podpory — tamtędy weszłaby śmierć. Jak brzoza do brzozy przyrosły był Gerolamo do matki, każde z nich z osobna niemiałoby życia, oboje składali się na jedno — odjąwszy połowę — znikłaby całość.

Tak mijały im dnie, godziny i lata, matka zestarzała, Gerolamo wyrośł, zawsze razem.

Raz — noc była chłodna, ciemna, wiatr wiał od morza wodą przesiękły, a oni nie mieli

gdzie skłonić głowy. Nad niemi słyhać było gitary i śmiechy wesole widać było ognie i światła— a ich otaczała ciemność i zimno. Obwinięci w łachmany tulili się do siebie i drżeli na wschodach kościoła Ś. Marka. Plac przed niemi był pusty, cichy, łódki nawet nie szemrały w kanałach— usnęli znużeni.

Straszny sen wił się po głowie Gerolama, śniło mu się, że go ktoś zabijał, obudził się i ujrzał, że dzień wschodzi już na niebie.

Sen trwał noc całą. — Spójrzał i zdziwił się, że matka która się zwykle budziła razem z nim, spała jeszcze— zbliżył się, chcąc ją obudzić — była umarła. Stał osłupiały i stał nad nią niewiedząc co począć, w głowie, w sercu pomieszało się, zburzyło, przewróciło wszystko, niepojmował téj śmierci, niewierzył w nią — czekał czy sam nie umrze, bo połowy jego już nie było— on żył— stał i patrzył— nieumiał nawet krzyczeć i narzekać— dla kogożby krzyczał.

Tym czasem drzwi kościelne odemknęły się, zakrystjan wyszedł i nogą popchnąwszy trupa, zakrzyczał, aby się ze wschodów usunęła kobieta.

Trup potoczył się bijąc głową, ze schodu na schód — Gerolamo spójrzał na tego człowieka, łzy potoczyły mu się z oczu; chwycił

i zatrzymał ciało matki — ścisnął go w swoim objęciu i niewiedział co począć.

Mógłby był uciec i pójść żebrząc, zostawiając na los ciało matki, lecz serce jego oburzało się na to. Ona pierwsza i ostatnia jego przyjaciółka — jedyna na świecie, miałaż się zostać sama, mieliż ją ludzie obcy rzucić do wody klnąc ciężar jój ciała?

Serce jego było jeszcze religijne przywiązane do tego trupa — z niego się urodził. Stał niemy. Potém porwał ją na ramiona i niósł ją, tak jak ona go nosiła, kiedy był mały, zaniósł na brzeg kanału. Ukląkł i złożył ją na ziemi, płacząc gorzko i ostatniemi łzami zmoczył nogą i zimną pierś, która go karmiła. Potém modlił się — potém lekko powoli, rzucił ją do wody i patrzył jak popłynęła — długo, długo, nie mógł wytrzymać na koniec, porwał się, poszedł, poleciał i pierwszy raz znalazł się sam jeden na świecie, między ludźmi — mniej jak sam.

Z boleści Gerolamo zapomniał o głodzie i żebraniu, płakał i płakał. Czém są nasze łzy próżniackie, nasze łzy z musu, ze zwyczaju, łzy w śród których myślemy już o innych osobach, o świecie, łzy ocierane ręką przyjaciół; w stosunku tych łez które same, ciche biegły po twarzy i na gorącej pierśi wysychały nieliczone, nieznanne, — Nasze łzy są wodą, tamte są łzami.

Umrzeć jednak niemógł Gerolamo, musiał żyć i zaczął nowe życie. — Po chwilach żalu, nastąpiły chwile rozwagi, sam jeden, znużony przelatywał myślami, otaczające go przedmioty. — Ludzie wydali mu się poczwarami, widział ich w koło otoczonych zbytkiem, widział ich psy, ich ulubione zwierzęta karmione, i spokojne; — a on człowiek przeznaczony dorównych z niemi rokoszy, leżał pod pałacami i umierał z głodu. Pogardzał ludźmi, widząc ich okręcających się koło siebie z obojętnością, ze śmiechem, z radością, patrzących na nędzę nie zaćmioném łzą, spokojném, czystém okiem.

Prosił o grosz.

— Pracuj, — odpowiadał przechodzień śpiwając.

— A ty co robisz? — pytał żebrak.

— Bawię się, — mówił przechodzień i szedł dalej.

— Jestem przeklęty? — wołał sam w sobie nieszcześliwy; — na wieki, bez nadziei? czyż nigdy nie dotknę się tych sal, których okna urągają się ze mnie? tych pałaców, tych domów; nigdyż moje usta nie skosztują ich napojów, moje serce ich rokoszy? Boże, na coś mnie stworzył?

— Żebyś cierpiał! — odpowiadało mu za-

krwawione serce, a on spoglądał na niebo. Ziemia była dla ludzi, może choć niebo dla niego być mogło.

Myślał o niém, lecz i ziemia nęciła go jeszcze. Gerolamo przestając na chlebie i wodzie, każdy pieniądz zebrany chował starannie; chodził w starych swoich łachmanach, żył jedném niczém — czynny i chciwy rzucał się wszędzie, gdzie tylko mógł się rzucić, gdzie mógł co zyskać, płakał, klękał, prosił, czepiał się sukni, chwycił za ręce, naglił, błogosławił, gwałtem prawie wydzięrał jałmużnę.

Wszystko, co tylko może miłość własną przechodniów łechtać, lub litość obudzić — umiał wszystko — pochlebstwo i jęki, konwulsje i zakłęcia, modły i udana rozpacz, były jego narzędziami. Przez jeden też dzień zbierał sam więcej niż pięciu innych. Oni żyli jałmużną — on niczém prawie, ogryzkami owoców, zeschlłym chlebem, wodą, powietrzem; znosił głód okropny, umierał, a nie użył jednego grosza zebranego z jałmużny, zbierał i zbierał.

Tak od dwódnastego roku życia, wychudły, blady, nędzny, przeżył lat pięćdziesiąt. Pół wieku najokropniejszych męczarni. Śmierć była blisko, nogi się chwiały, głowa i ręce drząc

zaczynały — zajrzał do swoich pieniędzy i powiedział — dosyć.

Wówczas poszedł do najpiękniejszego pałacu i pytał o jego cenę. Śmiano się jak z szalonego — nalegał, powiedziano dla zbycia, on przyniósł pieniądze i kupił pałac.

Był to gmach wielki, czarny, z ogromnemi salami, z marmurami w około, okryty pozłotą i świetnemi barwami we środku, z tysiącem rzeczy, których wprzód nie znał, nie domyślał się nigdy. Gerolamo uczuł pierwszy raz w życiu tę dumę posiadania, tę roszkowniknien pod dachem sŁoty, skwaru, zimna, ciemności i zdawaŁo mu się to poŁożenie najwyższem szczęściem. Jemu, kŁórego doŁad gnali ludzie, wiatry, zimno, paliŁo sŁonce; nad kŁórym znęcaŁo się wszystko, on, co żyŁ doŁad na ulicach, na chŁodnych, mokrych brzegach kanaŁów. PowinnośĆ i potrzeba żebrania ustaŁa — byŁ wolny, robiŁ co mu się podobaŁo.

Gerolamo kazaŁ przygotowaĆ ucztę z caŁym przepychem, na jaki mógŁ się zdobyĆ. Przygotowano wino, potrawy, wonności, stoŁy ogromne i dŁugie, wanny i beczki napojów, kwiaty, kadzidŁa, tancerki, muzykę; wszystko, co tylko zamyśliĆ moŻna i znaleśĆ na uczcie królewskiej.

ZaprosiŁ potem, pod imieniem zagraniczne-

go ukrywszy się Książęcia, Dożę i Senatorów i wszystkich bogaczów Wenecji, z żonami, z dziećmi, z córkami — wszystkich kto tylko miał jakie znaczenie, bogactwa, imię, urząd, wszystkich zaprosił.

Gotowano się na wspaniałą ucztę, rozprawiając o nieznajomym, bogatym Księciu, który pół miasta zaprosił do siebie. Zbliżał się dzień biesiady i przyszedł nareście.

Szumiał pod gondolami kanał płynący u progu pałacu żebra, migały światła, rozlegały się krzyki, goście napelniali sale. Były tam czarnookie Wenecjanki, siwe Senatory, stary Doża, panie, panowie, cudzoziemcy, błyszczący strojem, pięknnością, młodością, wesołością.

Uczta zaczęła się radośnie — muzyka i wino podbiły Wenecjanów, chwalono gospodarza, czary krążyły — wszyscy otaczali stoły, pełno było ruchu, wesołości, — i Gerolamo sam zdawał się szczęśliwy, pił, rozmawiał, śmiał się, nie mu nie brakło.

Biesiada przeciągała się, co chwila weselszą, co chwila wolniejszą i rokoszniejszą się stając; zdawało się, że sale obejmując wszystkich razem, pobratały ich, ściskali się, mówili do siebie, tak jak gdyby się znali, jak gdyby wszyscy byli przyjaciółmi. Szczęście uśmiechało się

im na chwilę — otaczały ich kobiety, wino, muzyka, — wszystko co może wzbudzić żądanie i dopełniając go urodzić rokosz.

Gerolamo otoczony, chwalony, wśród opowiadań, uśmiechów, ukłonów, wśród tych kobiet, które widział raz pierwszy w całym blasku ich świetności, wśród tego życia szumnego, które go dotykało raz pierwszy, odrodził się po siedemdziesiątletniej nędzy, szczęśliwy, wesół, bez życzenia na jutro, bez troski.

Biesiada trwała ciągle, nikt nie myślał o końcu — nagle gospodarz zniknął.

Po raz drugi nakryto stoły, nalano dzbany i czaszki; po raz drugi zasiedli wszyscy — gospodarza tylko brakło.

Po kilku chwilach we drzwiach ukazał się żebrak w łachmanach z jękiem w piersiach, kijem w ręku, łzą w oku i drżącą ręką wyciągniętą jak po jałmużnę.

Światła padły mu na twarz — poznano gospodarza. — Zdziwieni stanęli wszyscy.

On siadł za stołem, wziął puhar do ręki i wśród powszechnego milczenia, odczuwał się głosem drżącym:

— Mielicie mnie za bogatego cudzoziemca — jestem żebrak. Siedemdziesiąt lat cierpienia, nędzy, upokorzenia przed wami, u bram waszych pałaców, przy waszych gondolach i mo-

stach i kościołach, składały się na tę ucztę. Siedemdziesiąt laty głodu i wichrów, snoty i chorób, wszystkiego co tylko wycierpieć można przed śmiercią, kupiłem sobie pierwszą i ostatnią wesołą chwilę życia. Chciałem się przekonać, czy Bóg stworzył mnie z takim sercem, jak was bogaczów, czy będę mógł się cieszyć tem, czem się wy cieszyacie, bom płakał długo nad tém, czego wy nie doznaliście nigdy. Byłem przecie tak jak wy szczęśliwy, ocierałem się o was, spotkały się nasze ręce, nasze usta — jestem taki jak wy człowiek. Widziałem ludzi po raz pierwszy śmiejących się do mnie przyjaźnie; ich — co dając nawet jałmużnę odwracali się ode mnie z pogardą; widziałem ich bez tej litości dumnej, z którą spotykałem was dotąd — słyszałem raz pierwszy waszą mowę i wasze myśli, noszące na sobie sukienkę waszego szczęścia. Ta uczta wypłaciła wam dług wasz, byliście weseli za grosz jałmużny. Mnie trzeba kończyć życie — cóżbym robił między wami? — Wybyście pogardzali mną, jabym was nienawidził jak dawniej. Trzeba się rozstać przyjaźnie i skończyć przy najmniej ze szczęściem na ustach, kiedy go w życiu nie było. Gdybym żył dłużej, zbrzydziłby mi jeszcze może dzisiejsze szczęście moje.

To mówiąc odkrył suknem zasłany środek

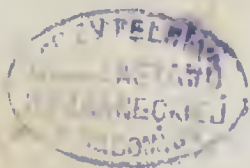
sali otoczony stołami i pokazała się trumna i grób czarny i kupa ziemi. Żebrak niósł do ust czarę i wychylił ją za zdrowie gości — była to trucizna.

—Każdy z was niech mi teraz da ostatnią jałmużnę — garść ziemi — i bądźcie zdrowi! ..

To mówiąc pobladł, posiniał, targnął się, rzucił, padł, jęknął i umarł.

30 Paźdz. 1853 r.





VII.

GILLETZ M.

GADANINA.



Między tysiącznemi mękami, do których przeznaczony jest człowiek, jest jedna straszna męka, której jednakże większa część ludzi nie doznaje, bo nie pojmuje nawet. Jest to przekonanie o prawdzie, o piękności, które mając w sercu i duszy, nie możemy dać zrozumieć ludziom. A oni zawsze pewni że sami tylko nie błędzą, z jego aktu wiary, z jego przekonania, śmieją się nielitościwie. Proszę sobie wystawić Europejczyka rzuconego między dzikich, bez znajomości ich języka; proszę sobie wystawić próżne jego wysilenia, aby się dać zrozumieć ludziom, którzy patrzą nań i z jego próżnych mąk się śmieją. Będzie to dokładny

obraz męki, którą mi się podobało nazwać *Galileizmem*.

W licznych tłumach ludzi prozaicznych, ziemnych, zbydlęconych, *positifs*, rozrzuconych są poeci i ludzie z wielkimi widokami, ludzie myślący, których samo myślenie doprowadziło do tego stopnia wyższości moralnej, że ogólnie nikt ich prawie nie rozumie. Tacy śmiać się będą z niższych od siebie, lecz i niżsi nawzajem będą się z nich śmieli. Niech tylko nie próbują ci ludzie przelać swego sposobu widzenia rzeczy mniej rozumnym, a nie mniej upartym — rzecz to jest niepodobna.

— Co mi do tego, — powiada wieśniak, którego syn napisał dwie ćwiartki wierszy ukradkiem; — co mi do tego mój synu, że ten a ten wielki człowiek był wielkim. Co mi z jego myśli? co mi z jego wielkości? Mędrzec ten umarł w szpitalu! Gdybyż jeszcze płacili Wasanu za tę bazgranię, jak tym, tym, co to Wasan wczoraj mówiłeś przy wieczerzy. Ale tu na pisaniu grosza nie zarobisz! a grosz, to rzecz. Co się tycze poezji, niech ją tam wszyscy djabli wezmą. Wszak i ja kiedyś pisałem powinnowania na nowy rok!

Niechże się kto pokusi odmalować im użyteczność i piękność poezji — czy ich przeko-

na? Możesz się zabić ze złości, kiedy po długich sporach zapocony cały, spostrzeżesz żeś swego przekonania, ani na szpilkę drugim nie przelał — będziesz mógł płakać i gniewać się — każdy ci przebaczy, bo wielkiem jest cierpieniem nie być rozumianym od ludzi. Gorzej jeszcze, jeśli cię rozumieją inaczej niżeli chcesz, jeśli przekrzywią twoje myśli i pochwalą je, widząc w nich zupełnie co innego, niżeliś ty widział pisząc.

—Wielki poeta,— wołają; — co za rymy!

—Wybornie pisze, -- styl gładki, aż czytać miło.

—To prawda, że bardzo gładko pisze, — mówi trzeci; — tylko nie wiem dla czego nic nie rozumiałem. Ale jaki styl!

—Styl! zapewne! Możnaby jednak więcéj pracować, wygładzać i poprawiać!

To się nazywa zdanie znawcy.

I tacy to barbarzyńcy zakrzyczeli Mickiewicza, że wiersze jego nie były poprawne; zakrzyczeli nie czując ich — chcieli, żeby styl wygładzał! styl!! — To toż samo jak gdyby żądali od Mozarta, aby ekzekwując im swoje rekwijem, wybijał takt w miejscach, w których uczucie odbiera mu pamięć całego świata.

Ciężarem jest przekonanie, którego nikt nie

dzieli, męczarnią jeśli ludzie zrozumieć nie chcą lub nie mogą. I Galileusz był pewny, że słońce stoi, śmiano się z niego, potem *kazano* mu być innego przekonania, kazali przysiędź że tak nie było. — Jakież to być musiały męki Galileusza! on czuł, widział, gotów był krwią swoją pisać prawdy swoje, a ludzie wmawiali mu, że był szalony, bezbożny i głupi. Cóż robić? — milczeć i znosić — przyjdzie przyszłość, spójrzy i osądzi, a wówczas zadrzą z radości, kości rozsypane w grobie. Dla czegoż prawda tak późno przychodzi, że często widząc ją długo poniewieraną, sami o niej wątpić zaczynamy?

— *Przyszedt do ludzi i ludzie go nie poznali.* — Powiada Chrystus. — Czy jeden przyszedt tak na próżno głosząc prawdę i piękność? Spójrzmy na każdego wielkiego człowieka rodzącego się, na wielkiego poetę — na każdą wielkość wschodzącą. Ludzie nie wierzą w nią zawsze z początku, i pytają jedni drugich, czy można pozwolić, aby ten a ten był wielkim? — i sami odpowiadają sobie: nie, nie! póki genjusz nie podbije ich zdania i nie zmusi olśnionych do wyznania, że jest wielkim.

Tylu poetów wielkich, pisarzy, poniewierają się po więzieniach, w szpitalach, w nędzy,

zapomnieniu, pogubionych, wyśmianych, niezrozumianych — tylu ich zginęło zapewne i świat o nich nie wie. Wszak Napoleona chcieli żenić z starą aktorką Montansier? Russo nóty przepisywał, Shakespeare trzymał konie przed teatrem. I smutno pomyśleć, że wiele, wiele zgniecionych, zmieszanych z błotem zginęło na wieki!

Jestże na to lekarstwo? — nie ma.

Tysiące prawdziwych genjuszów i talentów ginie zakopanych między tłumem ludzi, których całe życie składa się z jedzenia, trawienia, picia i spania, ogołocone ze wszelkich myśli, któreby zuchwale wyżej domowego komina sięgać chciały — ginie wielu prawdziwie wielkich, a mierni za to, ten niezdolny naród portakiewiczów, parazytów wielkości, wznosi się w niedostatku czego lepszego. Małe zdolności czynne zwykle bardzo, przez same przekonanie o nikczemności swojej — rozwinięte prędko, wystawione w przyzwoitem świetle, zajmują miejsca przeznaczone wyższym daleko od siebie. To przypomina owe ludy dzikie, chodzące po kopalniach żelaza, a używające kamieni do krajania. Biada temu, kto czując swoje zdolności, wyrwie się nie w porę — krzyk, hałas — zarozumiały! głupi! — wołają wszyscy. A ci których los postawił na wyższym sto-

puu, lękając się, aby nie spadli, gnębią tych, którzy się podnieść usiłują. Lecz są, są i tacy, którzy czystém zamiłowaniem prawdy i piękności wiedzeni, chętnie ustępują pierwszego miejsca tym, których wyższemi widzą.

Geoffroi de Saint Hilaire, odkrył talenta w Panu Cuvier, pchnął go i dał mu sławę, dał mu wielkość, która jego pierwszą sławę zacięmiła. Jeśli Geoffroi de Saint Hilaire domyślał się wielkości przyszłej w Panu Cuvier, zrobił bohaterską ofiarę z siebie dla prawdy, dla nauk, dla świata.

Nadludzkiej prawie potrzeba cierpliwości, aby zagrzebać w sobie męczarnie Galileizmu i nie dać poznać ich ludziom, którzy niedość, że są ich sprawcami, jeszcze się będą z nich śmiali. Straszne bo to są męczarnie, męczarnie Apellesa którego obraz szewc sądził, męczarnie aktora, który w najwyższym zapale, grając rolę Otella, słyszy w około pytających:

—Czemże on tak czarno twarz sobie usmoilił — Lub wykrzyknik:

—Jak przewraca oczami!

I w największém uniesieniu, trąca co chwila o niskie, ziemskie, wyobrażenia, bez czucia, bez koloru, bez poczji, która najbrzydsze

obrazy téj ziemi, umie niebieską swoją przyozdobić szatą.

Prawdę ktoś powiedział — poeci są to ludzie przepadli w tłumie (1), bo ktoś pojął poetę, kto godnie osądził wielkiego człowieka — drugi chyba jak on wielki — a za nim dopiero ziemia cała jak ogromne echo powtórzyła — wielki, zsypała laury — i niezrozumiała!

Piszesz, myślisz, troszczysz się życie całe, pracujesz jak Galileusz dla odkrycia prawdy lub piękności — dla kogo proszę? — Kto tak uczuje ciebie, jakś się uczuł i pojął. Z twoją duszą, z tobą razem zginie najlepszy wielbiciel, najlepszy znawca piękności i błędów dzieł twoich. I niech nikt nie zarzuca, że miłość własna sądem kieruje — niemierni tylko — te płazy, amfibje moralne postawione między wielkością a niczem, ci tylko mają zarozumienie i siebie nieznają. Wielcy ludzie widzą siebie na wylot, swoje wady i swoją wielkość, błędy ludzkie i dzieła swego jenuśzu — oni siebie i drugich najlepiej sądzą.

Lecz mogąż ten sąd powiedzieć? — ludzie

(1) *Enfans perdus de l'humanité.*

słyszając, że sami sobie wady przyznają— do-
daliby drugie tyle i zmieszałiby ich z błotem.
Dla czegoż zostawiono mierności wydawanie
sądów i wyroków o dziełach? czemu ten tyl-
ko prawie zawsze zostaje krytykiem, kto być
pisarzem niemoże, czemu dowcip obsiadł re-
cenzje i sądy literackie, tam gdzie powinno
być czucie i rozum. Dowcip, ta błyskotka tak
długo szanowana, pokarm mierności i jej dzie-
ło, rzecz ziemska zupełnie, której odjąwszy ję-
zyk jeden, w drugim nie przelejesz. Weźmy
jedno z tych pism jenjalnych piérwszój war-
tości, na których dobroć wszyscy się zgadza-
ją. czytajmy, a zobaczymy, że najmniej zawsze
mają zalet te części pisma, w których czytel-
nikom zamazano oczy dowcipem— bo ten ma-
jąc wartość zależną od języka, od czasu, oko-
liczności, starzeje, ginie i niebędąc sam śmie-
sznym, pisarza śmiesznym robi. Kto czém wal-
czy od tego ginie. Niemożna wymagać, aby w
piérwszój wartości dziele, takie się miejsca
nie znalazły; były to chwile ostygnięcia, zie-
wania, chwile znużenia, w których pisał je
jeniusz zlazłszy z wysokości swego zapału. Są
chwile, kiedy byś chętnie słuchał Poliszynel-
la i czytał Momusa lub Figaro, ale daleko wię-
cej takich w życiu w których rzucisz książkę ze
złością, widząc jak cię pisarz ciągnie gwałtem

za ucho, abyś się rozśmiał—Potrzeba ci czuć, ka-
że się śmiać— potrzeba myśli— każe się śmiać—
Płacz i śmiech wprawdzie ziemską są rzeczą,
lecz śmiech bardziej jest jeszcze ziemski od płą-
czu. Płacz wzbudza litość czasami, śmiech pra-
wie zawsze pogardę. W płaczu kryje się głęboko
myśl nieba i wieczności, myśl czysta i nadziem-
ska, w śmiechu przebija się to brudne zado-
wolnienie bydlęcia, któreby się nieba dla ziemi
zaparło.

Tacy to barbarzyńcy z workiem konceptów
i ucinków pod pachą, siadają zwykle sądzić
o dziełach, jak żołnierz pijany sądziłby o na-
gim posagu, z plugawym śmiechem, z cyni-
zmem, z nieprzystojnemi jestami i pół słówka-
mi — Rozcinają dzieło, rozdzierają, śmieją się
ze wszystkiego, umieją na swoją korzyść każ-
dą kommę obrócić i radzi z siebie puszczają
na świat krytykę, która żyje dzień jeden swo-
jém gorączkowém życiem i potem umiera na
wieki.

A dzieło zostaje— dzieło zostaje.

Jeśli któremu z recenzentów po opędzeniu
głodu i pierwszych potrzeb życia, zawitała
kiedy myśl sławy; lepiejby zapewne zrobił pi-
sząc Dykejonarz Kalamburów, bo ten przynaj-
mniej leżałby iak liść pokrzywy w zielniku,

w akademickich bibliotekach— a recenzje giną. Nawet Pan Hazzlitt i cała jego szkoła i cała Edyniburska Review zginie zapomniana— a ci się tak puszyli!— Jeśli złość i chęć ugryzienia powoduje recenzentem, może być pewny, że żaden z prawdziwie wyższych ludzi nie rozgniewa się nawet, nie pozwoli mu doznać tej przyjemności, jaką czuje dziecko, kiedy psa za ucho ciągnie, bo jego to nie zaboli, nie piśnie żebyś go wgniotł do ziemi.

Lecz męcząc Galileuszów ci panowie, powinni by przynajmniej jedno dobro zrobić, powinni by się wybijać między sobą, napadać na mierność bez żadnego względu, niezdolnych zrazić od pisania, bez żadnej litości, hie zabijać. — Na co te śmiecie w literaturze, te pisemka bez charakteru i harwy, ekskrementa wydane po strawieniu dzieł cudzych, które próżno zawalają księgarnie — ich trzeba zrażać, trzeba odrzucić ze złudzeń przyszłej doskonałości, jakie sobie roić mogą.

Niepodobna żeby najmniej biegły z recenzentów, ciągłą wprawą wyuczony niepoznał Galileusza od gryzmoły— Jeniusz zaczyna często od utworów słabych, napiętnowanych tylko charakterem wieku i naśladownictwa, póki się jego oryginalność nie rozwinie.— „He

moja znajomość świata — a tém samém i lepszość pism, — urosła nie mogę powiedzieć. chyba dowiodę faktami w opera omnia — powiada Herder cytowany przez Jean Paul Richtera — Sama wprawa w mechanikę piśmien-
ną potrzebuje czasu — póki te kajdany przy-
wyknieniem lżejsze się nie staną.

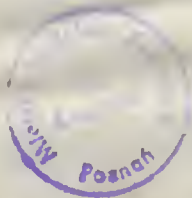
Gryzmoła zaczyna może słabo, mniej dziwnie, mniej oryginalnie i mniej śmieszenie, potem idzie, idzie równo, słabo, kulejąc, potykając się, powoli, omija zawady, ustępuje z drogi każdemu, kłania się większym i starszym gryzmołom od siebie — i kończy jak zaczął — ni lepiej, ni gorzej. Takiego to warto być i zniechęcać, niech sobie ze złości rozbije pióro, o własną pustą głowę. — Lecz litości! litości! dla Galileuszów — cóż wam winien ten męczennik własnej wielkości? nie dość, że dla niego codziennych przykrości życia, trzeba żeby krytycy bracia jego z nieprawego łoża mierzili mu życie? i nie umiając pojąć całej dzieła myśli, rzucali mu w oczy drobne błędy rozsiane po jego pismach, których jego oko przywykłe do większych obrazów, dojrzeć nie może? — Na nieszczęście większa część świata czytającego przez wasze oczy patrzy na wszystko — dumni swoją chwilową władzą i przywłaszczoną mocą, żyjąc moralnie i fizycznie

cudze mi błędami przez wdzięczność dla nich, powinniście im przepuścić tam, gdzie więcej jest dobrego jak złego (1).

1835.

-
- (1) Jeden z czytających uważał, iż ludzie szukający we wszystkiém *une arierre pensée*, mogą myśleć, iż pisząc ten urywek miałem siebie i moich krytyków na celu. Poczytuję więc sobie za powinność oznajmić, że *Galileizm* wyjęty jest z zaczętego pisma o Literaturze, którego wstępu jest częścią.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

I. Charakterystyka podań Gminnych	1
II. Wieczera Cagliostro	10
III. Nasza gawędka o szarej godzinie	59
IV. Śmierć Rabbi Ben Dawida	64
V. Wyleciała Baba z kwasu	67
VI. Romeo i Julja	73
VII. Nieboszczyk Hoffman	97
VIII. Wilhelm de Cabestan	105
IX. O różnych rzeczach	113
X. Imieniny	119
XII. Leon Leontyna	143
XIII. Bedlam	173
XIV. Uczta Zebraka	212
XV. Galileizm	225



Biblioteka Raczyńskich

JK 445



JK0445